

Sztuka to najwyższy wyraz  
samouświadomienia ludzkości

/.../

Dzieło sztuki – mikrokosmos  
odbijający epokę.

Józef Czechowicz



Cena zł 65.—

a

nr 3 (9) 1982

akcent

literatura i sztuka  
*kwartalnik*



AKCENT nr 3 (9) 1982

akcent

a

rok III  
nr 3 (9) 1982

# akcent

literatura i sztuka

kwartalnik

wydawnictwo lubelskie

akcent

a

rok III  
nr 3 (9) 1982

# akcent

literatura i sztuka  
kwartalnik

WOKOL LITERATURE-FICTION

Stacyja  
Andrzej  
Jan

Anna Goculowa: Wzrost i Zmiana / 5

Małgorzata Górska: Wzrost i Zmiana polskiego liter-

Janina Jankowska: Ciepłe brzocho literatury 2-3 / 14

Stanisław Lem: Czy odczytać Science Fiction? / 21

PRZEKROJEK

Jerzy Krzyżak: Mistrz Wyższości / 105

TYTUŁY

Zofia Zielińska: "Jasność" w teatrze im. Osterwy / 110

Władysław Gęborski: Władysław Gęborski i Stanisław

Władysław Gęborski: Władysław Gęborski w Lublinie

PIŁOZYWA

Krzysztof Jarosław Brzoza: Psychologia kryzysu / 118

Janina Dębowska: U. Jankowska / 125

ISSN 0208-8330

NR INDUKSU 2000

Jerzy Swoboda: SF i Poezja / 136

Copyright by Wydawnictwo Lubelskie 1982

DRUKOZNA

Krzysztof Pyżowski: Drama i polityka / 140

wydawnictwo lubelskie

Redaguje kolegium  
ZBIGNIEW W. FRONCZEK  
JERZY K. MISIEC (sekretarz redakcji)  
DOMINIK OPOLSKI, BOHDAN ZADURA  
ZOFIA WOJCIKOWSKA  
BOGUSŁAW WRÓBLEWSKI (redaktor naczelny)

III rok III

III 7 (e) 1982

B

akcent

kwartalnik  
literatury i sztuki

Wydano przy pomocy finansowej  
Wydziału Kultury i Sztuki  
Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie

PL ISSN 0208-6220

NR INDEKSU 35207

© Copyright by Wydawnictwo Lubelskie 1982

wydawnictwo lubelskie

TYMOTEUZ KARPOWICZ

Rozwiązywanie przestrzeni  
poemat polimorficzny  
(fragment)

Przestrzenie SPIS TREŚCI

Tymoteusz Karpowicz: Rozwiązywanie przestrzeni (poemat polimorficzny) — fragment pt.: szlachtowanie gordiasza /7  
Józef Czechowicz: Listy do księdza Ludwika Zalewskiego /18

WOKÓŁ LITERATURY SCIENCE-FICTION

Stanisław Lem: Wizja lokalna /45  
Andrzej Stoff: To, o czym się nie wspomina /55  
Jerzy Kutnik: Od Poe'a do Vonneguta — historia science fiction w USA /64  
Anna Goreniowa: Wśród gwiazd o Ziemi /75  
Marian A. Aleksandrowicz: Drogi i bezdroża polskiego kosmosu /86  
Jerzy Krzysztof Misiec: Czego brakuje literaturze s-f? /94  
Stanisław Lem: Czy odchodzę od Science Fiction? /98

PRZEKROJE

Jerzy Krzysztof Misiec: Wyznanie niewiary /105

TEATR

Zofia Zielińska: „Iwanow” w teatrze im. Osterwy /110

FILOZOFIA

Krzysztof Jarosław Brozi: Psychologia kryzysu /118  
Józef Dębowski: U źródeł fikcji przetrwania /128

SŁOWA I METODY

Jerzy Święch: SF i Pan Cogito /136

OBYCZAJE

Krzysztof Pyżewski: Drwina i potęga /140

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

## Rozwiązywanie przestrzeni poemat polimorficzny (fragment)

### Przestrzenie

imiona przestrzeni są następujące: a abachit abazja abażur i wszystkie dalsze sto dwadzieścia tysięcy słów naszego języka aż po szumiący zbożem brzeg słowa żyzny ale już nie żyzn

same przestrzenie są rozpierzchłymi postaciami strachu jeśli zawołasz na nie łagodnie mogą zawrócić i schronić się w tobie wtedy ty będziesz uciekał od nich w przeciwną stronę istnienia

jeśli krzykniesz z furją jeszcze bardziej przyspieszą swą paniczną ucieczkę w której będą odrzucać uszy między gwiazdami

aby nigdy nie nabrać się już na głos człowieka

więc można milczeć jak norwid w głuchym środku paryskiego przytułku zmuszając tym lęki do wyrażania się przed nim na kolanach ale wtedy musi się nie wydawać głosu diamentem

### Szlachtowanie gordiasza

#### Trzecia nad ranem

feniks o trzeciej nad ranem  
jest jeszcze popiołem  
albo w niektórych uczuciach  
jako kurczak dziobie  
siekane jajko na twardo  
oskubany bez puchu mitu  
czarny puder na pot pod pachami

ale ważne jest jedno  
że jest trzecia nad ranem  
ani druga pięćdziesiąt dziewięć  
ani trzecia zero jeden  
tylko trzecia okrakiem nad zorzą  
ponad drugą i pierwszą przed świtem  
punkt pod centrum w oku feniksa

## Oczy zachodu

budź śpiące psy ciosem dłoni  
w zaropiałe od zaspania chrapy  
niech zrywają się z łańcuchów żył  
i zaciekle szczekają  
wewnątrz twoich kości  
bo twój złodziej  
z syberyjskim worem  
zbliża się do twego poranku

popatrz jak ostatnia miska soczewicy  
z jakubami twego sumienia  
zamienia ci się w lód  
i kawalki żony lota z miłości  
i twoje słońce ukazuje się  
w oszronionej papaszy ze sztyków  
wyjdź ze swej miękkiej budy  
wyscielonej futrem syntetycznych fok  
i błysnij kłami w miejsce promieni  
jeszcze za tobą  
wschodzącego  
słońca

tylko w tym błysku  
trafić ono może  
do oczu twego zachodu

## Ze wzgórza boscha

siejcie gorczycę wokół uszu  
słyszając nieludzko słodki głos  
mówiący wam o górze cukru  
wyrastającej w wątrobie pokoleń  
na glukoidalne alleluja jutra

odrutowujcie oczy przed którymi staje  
w zaróżowionych falbankach odgiętych  
prościutko właśnie z puszki proraźdowej  
lub z demobilu paktów aż po zachód  
świt na paszporcie z ręki dusiciela

i zawijajcie język w ogień  
jeśli się ślizga na mydlach statystyk  
nie jako ościć pomiędzy sercami  
ale w lechtaczce wam podstawionego

przez woziwodę płatnego posłowia  
niech będzie popiół w miejsce kłamstwa  
jak było czarne dla wroga powietrze tam gdzie  
scaevola spalił swoją rękę

i dotyk który więdnie na powierzchniach  
z powilczych dołów ale własnych  
teraz na cudze bębny naniesiony  
ułuście lepiej i w dniu bez dotyku  
może się właśnie zjawi ściana płaczu  
którą przejdziecie tylko na dźwięk kości  
powierzchnie świata przejdą też za wami

a nos idący w głąb świń za kielbasą  
spróbujcie przytknąć do odbytu boga  
jeżeli zapach o kolorze z boscha  
owionie was i krzyk szalonej małgorzaty  
ale swojej przebijie ziarna gorczyce  
i drut wzroku ognia węzeł pętli tchnienia  
zabrzączy krew i zawiruje krtań na próźnię  
to znaczy da się jeszcze was wskroś odkorkować

## Podmywanie się drewna

nigdy stare szubienice nie szumiały tak wesoło jak teraz wy-  
puszczając nowe listki złuszczone byłe ślady ludzkich szyj  
otrząsają się z dawnych cieni wisielców wyczesują szpary z za-  
pachu niegdysiejszych włosów podmywają się rosą i linieją jest  
jakiś ruch w powietrzu który pozwala zgrzybiałym narzędziom  
mordu nabrać nowej krwi i odrodzonego głosu wyglądają na  
pucujące się stare nianie które się dowiedziały że będą jeszcze  
pieścić wnuki ich wiekowych panów

## Siekierą mów do siekiery

siekierą mów do siekiery  
gdybyś nawet widział  
w jej wąskich ustach  
nie przelkniętą jeszcze komunię  
mów do niej tylko siekierą  
za cenę rozrąbania boga

inaczej, któregoś żelaza  
gdy będziesz odnosił do banku  
nowe swe złote ucho

ona ci je odsiecze  
razem ze szumem skrzydeł  
aniola stróża z dywidend

siekierą mów do siekiery  
do tego potrzebne są usta  
ze stali nie z legumin  
do tego jesteś potrzebny  
na zebro toporzyska  
rosnące w boku ludzkości

## *Pogubione strony*

słońce wschodzi w twoim oku prawym a zachodzi w lewym  
dokładnie pośrodku w tym świetle kant ustawia swą jedyną  
rękę tak by wziąć nie mogła niczyjej strony nawet własnej  
przeczekaj taki dzień do świtu a kant zrezygnuje ze swej dłoni  
na rzecz promienia który rozczesze rzęsy pomiędzy oczami

## *W barku pod zezem*

najwyraźniejsza z wszystkich rzeczy które biorą mnie pod  
ramię  
jest nieobecność z nią przy niskim barku przepijam do  
wysokości  
ulatujące coraz wyżej nad nami oko opatrności ratuje się  
zezem  
żeby wybrnąć jakoś z zamieszania naraziło nas przecież już  
nieraz  
na ciężkie rachunki za przepijanie ciągle do  
wszechprzymrużenia

przykro mi tylko że to co widziałem jako własną rzesę podąży  
za tym  
okiem i w miejscu gdzie blask otrzeźwienia jest nie do  
przelknięcia  
przykrywa oddalającą się źrenicę gdy moja naga zaczyna  
parować

dziwne są te żyły w górę poprzez nieludzkie przestrzenie tłoczą  
naszą krew do lekkomyślnych balonów zerwanych z uwięzi  
których

nigdy nie było szczęśliwy jest jeszcze ten kto nazwę balonu  
pamięta  
i z nią nie ulata

spokojnie zgniatamy szkło i wpychamy w żyły czy zarumieni  
się to oko ponad nami

## *Anioł gęstniejący*

już nie masz jutra ostatnią koszulę  
nakładasz i wychodzisz przez drzwi wyższe  
od krzyku rozpiętego na krzyż a wyprowadzający  
zrywa za tobą kartkę z kalendarza i na blask ją rzuca  
kołuje wokół głowy twój motyl z papieru

ale jest to chwila kiedy złoto łąk  
nie przecieka ci przez palce  
i stoi kwiat na twojej dłoni  
nie podparty niczym oddechem  
iści się wylamane z prawa słońca  
wąskookie serca prześwietlenie

pszczola niosąca miód wśród piołunowych  
ust świata odwija nieznacznie  
pierwszą głoskę powietrza co wszystkie narody  
tak samo wymawiają jak tak samo jedzą  
żywe serce jagnięcia gdy głód gorączkuje

ten co celuje wtedy w twe serce odgarnia  
znad luły gęste skrzydło anioła  
co po strzale znów broń mu nabije  
przelknie śmierć i bardziej zgęstnieje

## *Podwojenie ofiary*

morderca cieszy się kiedy jego ofiara jest grzebana uroczyście  
w ten sposób zamawia sobie bezpłatne widowisko któremu  
brawa złożył już wcześniej w postaci kuli lub noża w ciele  
zabitego jedynym sposobem pozbycia się niebezpiecznego widza  
byłoby żebracze grzebanie ofiary za cenę jej na moment  
podwójnej śmierci

## *W zaniechanym parku*

badyle wprowadzają w głąb parku różę  
aby ją zgwałcić ona się broni  
wbijając wszystkie kolce w siebie  
aż do dna koloru bo tam  
chcą dotrzeć gwałciciele

z wyłamanych poza barwę płatków  
wyziera miejsce tak straszliwie puste  
że kto w nie wejdzie zetrze się do tła  
przelamanego poza wszelki kształt

## *Szczucie w kolorze*

włóż po cichu nóż do ręki róży by broniła się kiedy przyjdzie  
ktoś odebrać jej barwę wrodzoną nigdy i nikogo nożem nie  
uderzy ale złoczyńca przystanie widząc ją tak uzbrojoną ta  
chwila wystarczy by jej płatki wytrzebiły w jego krwi jej pół-  
cienie musi zblednąć na chwilę z zapartym w ciele kolorem  
każdy w kogo wbije się takie ostrze krwi wtedy zetniesz ją bez  
oporu za swoimi i jej plecami

## *Rżenie*

widzę jak ślepiec węszy laską  
słoneczne biodro  
i potracając je wiążąc  
idzie wzdłuż potu

ma nóż do środka odłożony  
smugi jak brak  
widzenia w centrum jego białek  
chwyta za jądra

słońca tnie przez blask  
stające dęba światło  
i rzy z trzebienia podniesiony wprost  
aż do czarnego dna

## *Zhańbione miejsce*

wały obronne otwartości  
okien zza firanek  
wysyłają na zwiad przymrużone

markizami oko świata  
ono w swym widzeniu  
nie może doliczyć się  
z okularów żyjącego domu

ale uparcie na ile nam pozwala  
mięsień ram otwierajmy  
wciąż otwierajmy rubensowski  
przepych ohyd to nic  
że baudelaire straszyc  
będzie twoją miłość padliną — la charogne  
leżącą na grzbiecie pod oknem  
czystość poranku przekroczy  
ją bez żadnych płam na udach  
i pocałuje cię na ukos blasku  
w miejsce najbardziej  
zhańbione przez raj

## *Z kłębka prostej*

uroczo spaceruje stałość  
idzie kilka centymetrów  
obok krzywej ścieżki potem skręca  
w dość przyzwoitej odległości  
od zakosu drogi i otwiera parasolkę o  
trzy promienie od słońca  
cień podgarnia pod falbankę  
ten co sunie za nią przed ziemią  
pije lemoniadę poza ustami  
i uśmiecha się do chłopca w bok

posuwający się w ślad stałej filozof  
rozsypuje się trzaska spoiwo  
końca od amplitud  
koleiny do której wlaź

na szczęście miotła śmieciarza  
zgarniająca to przecalone  
zapomniała się całkiem wśród luzów  
myśli prosto zataczając łuk

## *Obce uszy*

jeśli wariuje łopian to we śnie  
pożycza uszu słonia by się nimi  
wachlować w puszczy swojego pomysłu



mijać go wtedy oznacza wstępować  
butem w podwójny świat małżowin  
szaleństwa chwastu i trzeźwości zwierza  
które się dzieli wszystkim bo do środka

a gdy w łopianie ucicha wariactwo  
to jeszcze długo trzyma pożyczone  
w zdwojonym ruchu wachlowania  
i na kolana odwianej przestrzeni  
odkłada obce słuchy z taką ciszą  
że nie ma mowy by w niej się obudził

## W śnie zarzęć całą gębą

rozkiełznajcie tego szaleńca  
oddajcie mu kopyta  
doczepcie urwaną grzywę  
i wsadźcie z powrotem  
w nozdrza parskanie  
zwróćcie mu piękne kule  
łajna z profetowni  
odeślijcie z taśmy  
jego wolne rżenie  
z kartotek pęciny  
lepszy ten wariat jako koń  
niż jeździec

jaka to sztuka  
nie dochodzić zwierza  
w człowieku  
i na odwrót  
jakież to wyczyn  
umieć paść się  
poza zbydłęcieniem  
jakaż to magia  
jeść befsztyk  
poza wołem  
i dostukać się kopyt  
poza człowieczeństwem

a jeśli żal wam zębów  
wybitych kopytem  
przy hufnaleniu swej juchy  
na zawsze

to w śnie  
spróbujcie

zarzęć całą gębą  
na chwilę

i dosiądźcie siebie  
i pognajcie  
przez koniczyny  
buszujące w stołach

## Sprężyna

twoja szansa to tymczasowość  
gdybyś trwał dłużej od niej  
dostałbyś zaraz wysypki wieczności  
w postaci kopyt ogona i rogów  
w ćmiącej paradzie pogubionych form

zmykaj ze sobą bokiem dni i lat  
przed pułapką zbudowaną z wieków  
kurczowo trzymaj pod pachą sekundę  
jakby swoją odrąbaną głowę  
na zardzewiałym szafocie wszechświata

dokąd dobiegniesz z nią to inna droga  
tyle rogatek masz w swych żyłach  
tak łatwo pęka też sprężyna  
żywiona tylko mięsem

## Chód wiernego zegarka

nie zapomnij powiedzieć  
że kiedyś tu wrócisz aby  
nakręcić zegarek któremu  
już dawno posiwiały  
strzałki i godziny

jest to jedyny przedmiot  
który w chwili twojej śmierci  
będzie szedł dla ciebie dalej  
pewny że go dogonisz  
nie zostawiaj nigdy nikogo  
kto cię tak wiernie wyprzedzał  
będąc ciągle za tobą

## Koń

i popętany biegiem koń  
przewraca się na łące  
którą chciał roznieść  
na kopyta  
chmura rozwiązały go  
ale za wysoka

lecz galop trwa nadal  
a to co galopuje  
jest nadmiarem serca  
jeźdźca z braku uzdy  
wybiegającej za ściągnięcia  
żył wzdłuż rozpuszczonych  
batów zajężdzenia  
koń tu odpadł  
w przedbiegu  
chmura podniosłaby go  
ale za niska

a poprzedzające wszystko miejsce  
odnosi wybieg przed konia  
jest niemijającą  
w obie strony naraz  
grzywą mojej krwi  
nad zapadniętym pod nią  
ciosem szusu  
w niewytrzeźwiony  
od pięcin  
słup  
stojącego przed nami  
powietrza  
chmura rozwiała ją  
ale jest w środku

a koń leży na nieswoim boku

## Walka z brzegami

czym otworzysz ten dom  
otworzę go całą niezamieszkałą we mnie ziemią  
aby skupić za jego drzwiami wszystkie najżarliwsze  
ucieczki

czym ogarniesz jego puste wnętrze  
wzrokiem który napelnił się po rzesy nieposkromionym  
czołnem przestrzeni

jak zapukasz w nieistniejącą ścianę miłości  
tak jak chopin zapukał poprzez klawiaturę w bok otwarty  
piękna nienawiści

przy jakim stole usiądziesz skoro wszystko tam wymiecione  
ze światła  
przy pierwszym od ramienia który się przyczolga z  
mojej kany galilejskiej udlawionej głodem

po co wprowadzać tylko większe nic w to mniejsze już  
łagodnie przyschnięte do brzegów  
po to by one trzeszczały i wzdymało się serce i krzyczało  
o więcej krwi

Wrocław — Iowa City — Chicago — Berlin  
Monachium — Berno — Jeruzolima — Chicago

Tymoteusz Karpowicz

- 1. Czechowicz J. Listy. Zebrał i opł. T. Kiak. Lódź 1971.
- 2. Stolica liter. Wspomnienia o Józefie Czechowiczu. Warszawa 1968.
- 3. W kręgu Kamerny. Lódź 1965.
- 4. Cyganer. Lódź 1963.
- 5. Ballady przed burzą. Szkice literackie. Warszawa 1961.
- 6. Okolica Połonek. Wspomnienia i materiały. Poznań 1961.
- 7. do Marjana Czechowiczu. Do Marjana podał J. Kiak.
- 8. Listy. Kamerny. 1975 nr 20 s. 8-10. Czechowicz J. Listy. Warszawa 1963.
- 9. 1928-1939. "Prace Polistyczne", 1963 ser. 25 s. 245; Kiak J. "Czechowicz J. Listy", 1964 nr 20 s. 8-10.
- 10. "Prace Polistyczne", 1964 nr 20 s. 247-252.
- 11. "Książki", 1966 s. 2 s. 247-252.
- 12. wiersz do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Opł. T. Kiak. "Pamiętnik Literacki", 1966 s. 2 s. 247-252.
- 13. Materiały do biografii Józefa Czechowicza z Kazimierzem Mirowskim [Listy do K. Mirowskiego, J. M. Kłowski, J. M. Machowskiej-Wybiwekiej]. Opł. T. Kiak. W: Archiwum Literackie. T. 8. Miscellanea z pogranicza XIX i XX w. Wrocław 1964 s. 423-432.
- 14. W 25-lecie śmierci Józefa Czechowicza [Listy do K. Mirowskiego]. Opł. T. Kiak. "Tygodnik Powszechny", 1964 nr 20 s. 8-10.
- 15. wiersz do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Opł. T. Kiak. "Pamiętnik Literacki", 1966 s. 2 s. 247-252.
- 16. Kiak J. "Listy Józefa Czechowicza do Józefa K. Głuchowskiego i M. Peczala", "Złota Lata", 1968 nr 25 s. 171.
- 17. "Listy Józefa Czechowicza do Józefa Głuchowskiego", "Pamiętnik Literacki", 1968 nr 10 s. 60-62.
- 18. Udruchwał W. "Listy do redaktorów miesięcznika 'Wymiar'" (1928-1939). "Prace Polistyczne", 1963 ser. 25 s. 245; Kiak J. "Czechowicz J. Listy", 1964 nr 20 s. 8-10.
- 19. Czechowicz J. Listy. Warszawa 1963.
- 20. "Okolica Połonek. Wspomnienia i materiały. Poznań 1961."

## Listy Józefa Czechowicza do ks. Ludwika Zalewskiego

Opracował Jan Smolarz

Pierwsze bloki listów Józefa Czechowicza zostały opublikowane około połowy lat sześćdziesiątych przez młodego wówczas, a obecnie zasłużonego już badacza twórczości autora *nuty człowieczej*, Tadeusza Klaka<sup>1</sup>. W latach następnych ogłoszono dalsze teksty listów Czechowicza<sup>2</sup>. Także w latach sześćdziesiątych w aneksach lub w tekście swoich, przeważnie wspomnieniowych, książek publikowali listy Czechowicza: Stanisław Czernik<sup>3</sup>, Wiesław Paweł Szymański<sup>4</sup>, Waclaw Mrozowski<sup>5</sup>, Kazimierz Andrzej Jaworski<sup>6</sup>, Waclaw Gralewski<sup>7</sup>. Wszystkie one znalazły się w tomie listów wydanych przez Wydawnictwo Lubelskie w roku 1977<sup>8</sup>. Zawiera on 251 listów Czechowicza do 34 osób i 5 instytucji. Do najliczniejszych należą listy do W. Gralewskiego, jednego z lubelskich towarzyszy życia i pracy, szczególnie dziennikarskiej, autora *Kamienia*, do K. A. Jaworskiego, założyciela i redaktora chełmskiej „Kameny”, którą Czechowicz w miarę możliwości zasilał wierszami, do spolegliwego przyjaciela Kazimierza Miernowskiego oraz do Antoniego Madeja, z którym w latach 1932—1935 poeta często korespondował. Wśród tych zespołów ilościowo sytuują się również niżej publikowane listy Czechowicza do ks. Ludwika Zalewskiego, których brak T.

<sup>1</sup> Materiały do dziejów przyjaźni Józefa Czechowicza z Kazimierzem Miernowskim [Listy do K. Miernowskiego, J. N. Kłosowskiego i M. Maćkowskiej-Wydrowej]. Opr. T. Klak. W: Archiwum Literackie T. 8. Miscellanea z pogranicza XIX i XX w. Wrocław 1964 s. 482—512; W 25-lecie śmierci Józefa Czechowicza. [Listy do K. Bielskiego]. Opr. T. Klak. „Tygodnik Powszechny”, 1964 nr 39 s. 5; Listy Józefa Czechowicza do Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Opr. T. Klak. „Pamiętnik Literacki”, 1966 z. 2 s. 547—589.

<sup>2</sup> Klak T. Z listów Józefa Czechowicza [do siostry K. Gluszewskiej i M. Plechala]. „Życie Literackie”, 1968 nr 36 s. 1,7; Tenże: Listy Józefa Czechowicza do Tadeusza Hollendra. „Poezja” 1968 nr 10 s. 59—65; Urbański W. Z listów do redaktorów miesięcznika „Wymiary” (1938—1939). „Prace Polonistyczne”, 1969 Ser. 25 s. 245; Klak T. Czechowicz i Przybóś. „Kamena” 1975 nr 20 s. 8—10; Czechowicz J. Listy ... do Mariana Czuchnowskiego. Do druku podał i opr. J. Kryszak. „Poezja”, 1981 nr 1 s. 36—45.

<sup>3</sup> Okolice Poetów. Wspomnienia i materiały. Poznań 1961.

<sup>4</sup> Ballady przed burzą. Szkice literackie. Warszawa 1961.

<sup>5</sup> Cyganeria. Lublin 1963.

<sup>6</sup> W kręgu Kameny. Lublin 1965.

<sup>7</sup> Stalowa tęcza. Wspomnienia o Józefie Czechowiczu. Warszawa 1968.

<sup>8</sup> Czechowicz. J. Listy. Zebrał i opr. T. Klak. Lublin 1977.

Klak sygnalizował i wyrażał z tego powodu żal<sup>9</sup>. Zachowały się one w spuściźnie po Wiktorze Ziółkowskim. W 1952 r. zajmował się on spuścizną pozostałą po ks. L. Zalewskim<sup>10</sup> i wówczas przejął m.in. listy Czechowicza. Obecnie znajdują się one w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej im. H. Łopacińskiego.

Zachowało się 26 listów poety do ks. L. Zalewskiego (w tym 24 listy prywatne). Pochodzą one z lat 1931—1933, 1936, 1938 i 1939. Najżywsza była korespondencja w trzech pierwszych latach i w roku 1939. Zupełnie brak listów z lat 1934 i 1935 oraz 1937. Z okresu zamieszkiwania poety w Lublinie datuje się większość, bo 15 listów, z lat pobytu w Warszawie — 11. Jednak listy z okresu lubelskiego są na ogół okazjonalne — uzupełniały lub przygotowywały kontakty bezpośrednie, w znacznej części związane z działalnością korespondentów w Lubelskim Towarzystwie Miłośników Książki. Dlatego listy z tego okresu są krótkie, zwięzłe, często wręcz lakoniczne. Przeważnie były pisane na niewielkich kartonikach i biletach wizytowych, doręczane z reguły bez pośrednictwa poczty. Inny charakter miały one w okresie warszawskim: zastępowały kontakt bezpośredni, często rodziły się z „potrzeby serca”, ściślej — z tęsknoty do znajomych, przyjaznych ludzi i miejsc, z pragnienia choćby intencjonalnych powrotów do rodzinnego miasta. Zrozumiałe, że były dłuższe, pojemniejsze faktograficznie, literacko ciekawsze. Chociaż — jak zwykle są one uzależnione od charakteru odbiorcy i stosunków łączących z nim nadawcę. Motywem przewodnim stosunków i korespondencji były bibliofilskie i literackie zainteresowania poety i księdza.

Kim był ks. Ludwik Zalewski? Najkrócej można odpowiedzieć, że była to indywidualność zgoła renesansowa — w swoim bogactwie, skomplikowaniu i pięknie. Urodził się 30 IV 1878 r. we wsi Nakły w powiecie ostrołęckim, województwie białostockim. Jako absolwent gimnazjum w Pułtusku znalazł się w lubelskim Seminarium Duchownym, które ukończył w 1902 r. Po studiach w słynnym uniwersytecie we Fryburgu, uwieńczonych uzyskaniem tytułu doktora filozofii, powrócił na stałe na Lubelszczyznę, gdzie w 1909 r. objął obowiązki profesora w Seminarium Duchownym w Lublinie. Był także katechetą w lubelskich szkołach średnich. W 1927 r. został kierownikiem, a następnie dyrektorem Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego SS. Kanoniczek. W latach 1909—1919 pełnił też funkcję kierownika Biblioteki Seminarium Duchownego. W 1919 r. pracował przy organizacji Biblioteki Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Od lat studenckich (członek Filarecji i Związku Młodzieży Demokratycznej, prelegent w środowiskach robotników polskich w Szwajcarii) uczestniczył w róż-

<sup>9</sup> Tamże, s. 16.

<sup>10</sup> Gzella A. L. Wiktor Ziółkowski 1893—1978. „Kalendarz Lubelski” 1980, s. 139.

nych inicjatywach i działaniach społecznych. W okresie międzywojennym był m.in. członkiem ZNP i TUR, działaczem Towarzystwa Przyjaciół Nauk i Związku Literatów w Lublinie. Autor wielu publikacji historycznych, m.in. na temat dziejów ksiązek i bibliotek klasztornych na Lubelszczyźnie, posiadał znaczny i cenny księgozbiór oraz zbiór superekslibrisów i ekslibrisów. Z jego inicjatywy 18 VI 1926 r. powstało Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki, którego był dożywnym prezesem. Brał czynny udział w zjazdach bibliofilów (członek krajowej Rady Bibliofilskiej) i bibliotekarzy polskich. Członek, zaś w latach 1929—1930 prezes Zarządu Towarzystwa Biblioteki Publicznej im. H. Łopacińskiego<sup>11</sup>. Po wybudowaniu

— uzupełniały lub przysługowały kontakty bezpośrednie



Józef Czechowicz

<sup>11</sup> Wojewódzka Biblioteka Publiczna im. H. Łopacińskiego (Bibl. H. Ł.), Zbiory Wiktora Ziółkowskiego (w opracowaniu), autograf ks. L. Zalewskiego: Opis przebiegu życia; Tamże, rps 2150 k. 7, 9, 21 i passim;

na początku lat trzydziestych domu przy ul. Granicznej 1 (obecnie Graniczna 9) w jego mieszkaniu odbywały się spotkania bibliofilów, nierzadko także literatów i członków TPN. Niejednokrotnie materialnie wspomagał inicjatywy i poczynania tych środowisk. Oprócz mieszkania młodopolskiej poetki Franciszki Arnsztajnowej przy ul. Złotej 2, był to swoisty, jeden z ostatnich „salonów” międzywojennego Lublina. Zatem osobowość i urok gospodarza nie były również bez znaczenia.

Znajomość poety z księdzem prawdopodobnie zaczęła się i ściśle wiązała z Lubelskim Towarzystwem Miłośników Książki. Nazwisko J. Czechowicza w „Księdze protokółów” Towarzystwa figuruje wśród ośmiu członków założycieli, współ m.in. z przyszłymi profesorami i wykładowcami uniwersyteckimi: Julianem Krzyżanowskim, Feliksem Araszkiewiczem, Ludwikiem Kamykowskim. W latach 1930—1932 poeta pełnił funkcję sekretarza, a w następnej kadencji kronikarza LTMK<sup>12</sup>. Bliższe wzajemne poznanie nastąpiło właśnie w tym czasie. Ta szczególna przyjaźń — ze strony poety — zacieśniła się w okresie warszawskim pod wpływem oddalenia, tęsknoty, sympatii wytrzymującej próby czasu i doświadczeń losowych oraz korespondencji. W okresie lubelskim był to jednak stosunek nacechowany świadomością zrozumiałego dystansu, przez cały czas — przyjaznym szacunkiem poety dla księdza. Wynikały z tego niewątpliwe ograniczenia listów Czechowicza, lecz także ich charakterystyczne walory. Niektóre fragmenty listów z lat 1936—1939 zniewalają bezpośredniością, szczerością, nieraz pobrzmiwają wręcz tonem konfesyjnym.

Publikowana korespondencja pozwala m.in. na uzupełnienie i uściślenie szczegółów biograficznych Czechowicza, o kilka rysów wzbogaca jego „portret wewnętrzny”, ujawnia przyczynki do psychologii twórczości autora nuty człowieczej, dokumentuje związki poety z bibliofilami lubelskimi i rodzinnym miastem.

Intencją opracowującego listy było dążenie do możliwie wiernego zachowania autorskiego zapisu tekstu. Modernizacji pisowni i uzupełnienia interpunkcji dokonano jedynie w niezbędnym zakresie. Nieliczne ingerencje oznaczono powszechnie stosowanymi znakami. Wyrazy w autografach podkreślone wy-

Flanczewska B. Zalewski Ludwik [...] W: Słownik pracowników książki polskiej. Warszawa 1972 s. 1003; Kossowski A. Sp. ks. dr Ludwik Zalewski. „Roczniki Humanistyczne”, 1953 z. 4 s. 289, 293; Zwolakiewicz H. Bibliografia prac ks. dr Ludwika Zalewskiego. Lublin 1947. Żywą działalność rozwijał ks. L. Zalewski po drugiej wojnie światowej. O jego roli niech świadczy fakt, że po śmierci księdza dwie organizacje, w których zarządach pełnił funkcję prezesa: TPN i LTMK, przestały istnieć. Zmarł 7 VII 1952 r. w Lublinie.

<sup>12</sup> Ze względu na skrótość informacji zainteresowanych odsyłam do pracy Romana Wacha: Działalność społeczno-naukowa ks. Ludwika Zalewskiego. Lublin 1981 — w zbiorach Biblioteki Wyższego Seminarium Duchownego w Lublinie, rps 1902.

<sup>13</sup> Bibl. H. Ł., Zbiory W. Ziółkowskiego, rps Księga protokółów LTMK, k. 1, 11, 13.



Ks. dr Ludwik Zalewski

różniono spacją. Odstępstwem od graficznego wyglądu listów jest wprowadzenie akapitów, których Czechowicz nie stosował.

Stan zachowania listów jest na ogół dobry. Większość z nich posiada ślady składania papieru, nieraz nawet wielokrotnego, czego — dla skrócenia opisu — nie sygnalizowano przy poszczególnych listach.

J. S.

[1]

[Lublin, 28 IV 1931]

Czcigodny Księżu Profesorze!

W piątek nie mogłem zetknąć się z p. Araszkieviczem<sup>1</sup>. W poniedziałek od 5 do 7 po południu siedzieliśmy u Rutkowskiego<sup>2</sup>, ale jakoś nie znaleźliśmy kontaktu z Ks. Profesorem. Czy wobec tego nie moglibyśmy spotkać się jutro, tj. w środę o 12 g[odz.] w tejże cukierni, z której wyruszymy do p. A[raszkievicza]<sup>3</sup> do Kuratorium? Będę czekał o 12 na Ks. Profesora, ewentualnie na Jego przynoszący mi rozczarowanie telefon.

Z szacunkiem  
J. Czechowicz

Rutkowski<sup>4</sup>, [godz.] 11<sup>05</sup>

L[ublin] 28.4.1931

List pisany czarnym atramentem na kremowym papierze o wymiarach 15,6×11,5 cm.

<sup>1</sup> Feliks Araszkievicz (1893—1946), pedagog, historyk literatury, krytyk literacki, regionalista, badacz twórczości Bolesława Prusa i inicjator organizacji Muzeum Jego Imienia w Nałęczowie. W okresie międzywojennym współorganizator wielu przedsięwzięć kulturalnych w Lublinie, m.in. jeden z założycieli i w latach 1926—1930 sekretarz Zarządu Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Kałafki.

<sup>2</sup> Kawiarnia Rutkowskiego przy ul. Krakowskie Przedmieście (obecnie nr 56 — „Lublinianka”).

<sup>3</sup> Zob. przyp. 1. Od 1929 r. wizytator Kuratorium Okręgu Szkolnego Lubelskiego, w latach 1932—1935 naczelnik wydziału szkół średnich.

<sup>4</sup> Zob. przyp. 2.

[2]

[Lublin, 4 IX 1931]

Czcigodny Księżu Profesorze!

Proszę uprzejmie o zawiadomienie mnie, o której godzinie i gdzie mógłbym przyjść do Księdza z Górską<sup>1</sup>.

Z bibliofilskim pozdrowieniem

J. Czechowicz

Lublin, 4 IX 1931

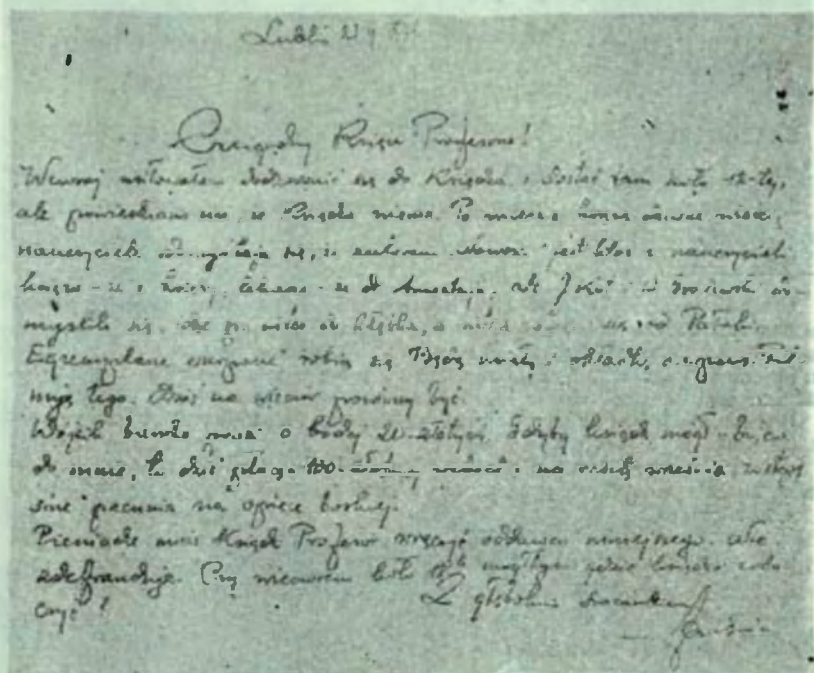
List pisany czerwonym atramentem na odwrocie kremowej wizytówki o wymiarach 6,2×9,1 cm z nadrukiem: „J. Czechowicz/„Dziennikarz//Lublin radziwiłłowska 3 m. 20”. Adres na kopercie: „W-ny Ks. Profesor//Ludwik Zalewski//w/m.”

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi o Zofię Górską z domu Pilarz, matkę Stefana Władysława Górskiego, zwanego Lotnikiem, którym poeta się zaopiekował. Jednak z biogramu J. Czechowicza wiemy także o Julii Górskiej, przyjaciółce Małgorzaty Czechowiczowej, i powieściopisarce Halinie Górskiej, które poeta znał.

Lublin, 21.9.1931

## Czcigodny Księżu Profesorze!

Wczoraj usiłowałem dodzwonić się do Księdza i dostać tam koło 12-tej, ale powiedziano mi, że Księdza nie ma. Po mieście krążą dziwne wieści: nauczyciele domyślają się, że autorem „Nowości”<sup>1</sup> jest ktoś z nauczycieli, księży — że z księży, lekarze — że dr Arnsztajn<sup>2</sup>, ale J. Kot<sup>3</sup> i W. Gralewski<sup>4</sup> domyślili się, idąc po nitce do kłębka, a nitka zaczęła się od Pałuki...<sup>5</sup>



Jeden z pierwszych listów J. Czechowicza do ks. L. Zalewskiego dotyczący „Nowości lubelskich”

Egzemplarze „czerpane” robią się. Będą miały i okładkę czerpaną. Pilnuję tego. Dziś na wieczór powinny być.

Wójcik<sup>6</sup> bardzo prosi o bodaj 20 złotych. Gdyby ksiądz mógł — bo, co do mnie, to dziś płacę 100-złotowy weksel i na resztę września zostają sine pecunia<sup>7</sup> na opiece boskiej.

Pieniądze może Ksiądz Profesor wręczyć oddawcy niniejszego. Nie zdefrauduje. Czy wieczorem koło 18 h mógłbym gdzie księdza zobaczyć?

Z głębokim szacunkiem  
J. Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na papierze liniowanym o wymiarach 22,2×17,3 cm.

<sup>1</sup> Nowości lubelskie. Katalog regionalny najwybitniejszych autorów miejscowych. Lublin 1931, s. 16. Nakładem J. Czechowicza i S-ki. Satyryczno-humorystyczne facecje w formie opisów bibliograficznych, charakteryzujące ok. 100 osób ze śro-

dowiska lubelskiej inteligencji: lekarzy, nauczycieli, prawników, urzędników, literatów, artystów, oficerów, księży, naukowców KUL.

<sup>2</sup> Jan Arnsztajn (1887—1934), syn literatki Franciszki Arnsztajnowej lekarz, współautor szopek wystawianych w latach 1926—1931 „pod firmą” Reflektora.

<sup>3</sup> Julian Kot, pseud. Wiktora Ziółkowskiego (1893—1978), plastyka, pedagoga, publicysty, muzealnika i bibliofila — członka Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki. W jego korespondencji zachowały się m.in. trzy listy J. Czechowicza: paryski z 30 V 1930 r., warszawskie z 30 X 1933 r. i 1 1934 r.

<sup>4</sup> Wacław Gralewski (1906—1972), dziennikarz, poeta i prozaik, autor wspomnień. Współzałożyciel grupy poetyckiej Reflektor i wydawca jej organu o tej nazwie (1923—1925), w latach 1923—1930 sekretarz redakcji dziennika „Express Lubelski” (późniejszy tyt.: „Express Lubelski i Wołyński”). Jeden z lubelskich przyjaciół poety.

<sup>5</sup> Bogumił Pałuka, pseudonim ks. Józefa Kruszyńskiego (1877—1933), profesora, w tym czasie rektora KUL, któremu w „Nowościach” poświęcono dwie nie pozabawione pikanterii facecje. W jednej z nich występuje pod cytowanym pseudonimem.

<sup>6</sup> Zbigniew Wójcik, współwłaściciel Drukarni Udziałowej przy pl. Litewskim 1 w Lublinie, w której wydrukowano m.in. „Lucifera”, pierwszy numer „Reflektora” i „Nowości lubelskie”.

<sup>7</sup> (Lac.) — bez pieniędzy.

[4]

[Lublin, 31 XII 1931]

## Wielebny Księżu Profesorze!

Proszę o słówko odpowiedzi, co słyhać z artykułem<sup>1</sup> obecnym łaskawie, co prawda ewentualnie na dziś.

Telefon mój: 2-43<sup>2</sup>.

Bibliofilskie pozdrowienie

J. Czechowicz

31.12.1931

List napisany czarnym atramentem na odwrocie biletu wizytowego o wymiarach 6,2×9,1 cm z nadrukiem: „J. Czechowicz/dziennikarz// Lublin radziwillowska 3 m. 20”.

<sup>1</sup> Od początku 1932 r. (II—II V) Czechowicz był redaktorem naczelnym, później wydawcą dziennika „Kurier Lubelski”, nawiązującego do tradycji ukazującego się w Lublinie przed pierwszą wojną światową „Kuriera”. Do niego zamówił artykuł ks. L. Zalewskiego: Z dziejów partyzancki r. 1833. Przygody oddziału Szpeka i Cecolda, który ukazał się w nrze 6 s. 2 (z 6 D).

<sup>2</sup> Telefon redakcji „Kuriera Lubelskiego”, ściślej — Drukarni Udziałowej przy pl. Litewskim 1, gdzie się ona mieściła.

[5]

[Lublin, 31 XII 1931]

Serdeczne życzenia przesyła na 1.1.1932.

J. Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na odwrocie takiego samego biletu wizytowego jak poprzedni.

[6]

[Lublin, 3 I 1932]

Redakcja Kuriera Lubelskiego<sup>1</sup> ma zaszczyt zaprosić W-nego Księdza Profesora na zebranie Komitetu Redakcyjnego<sup>2</sup>, które

odbędzie się dnia 7 stycznia 1932 r. o godz. 20 wieczorem w lokalu Bloku Bezpartyjnego<sup>3</sup>, ul. Złota 2.

J. Czechowicz

3.1.1932

List pisany czarnym atramentem na kartoniku kremowym o wymiarach 8,3×13,3 cm.

<sup>1</sup> Kurier Lubelski. Pismo codzienne. [Wyd. Rada Grodzka Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem]. Red. i wyd. Józef Czechowicz. Lublin 3°. II. 10 [właśc. 1]: 1932 nr 1—128.

<sup>2</sup> W znanych źródłach brak potwierdzenia udziału ks. L. Zalewskiego w Komitecie Redakcyjnym „Kuriera Lubelskiego”.

<sup>3</sup> Według Józefa Lobodowskiego wydawcą „Kuriera Lubelskiego” był Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem, z którego listy Czechowicz miał kandydować na posła na sejm. Kierownikiem Sekretariatu Rady Grodzkiej BBWR był Franciszek Krzysztoń, którego cykliczny artykuł pt. *U źródeł programu społecznego pracy organizacyjnej* drukował dziennik w numerach: 1—3, 7, 10, 15, 17.

[7]

[Lublin, 29 II 1932]

Czcigodny Księżu Profesorze!

Przeglądając księgi moje<sup>1</sup> znalazłem wśród nich książkę należącą do Księdza pt. „Masoni w Polsce”<sup>2</sup>.

Równocześnie pytam, czy mogę się zjawić u Księdza w niedzielę najbliższą koło 11-tej. Stęskniłem się już wśród gwaru życia politycznego za bibliofilską atmosferą, a myślę, że i inni bibliofile<sup>3</sup> także...

Z głębokim szacunkiem

J. Czechowicz

29 II 1932

List pisany ołówkiem na kremowym kartoniku o wymiarach 14,7×10,4 cm.

<sup>1</sup> Czechowicz co najmniej od początku pracy zawodowej, tj. samodzielności materialnej, gromadził książki. W tym czasie w pokoju poety było już „dużo” książek, wśród nich lubliniama.

<sup>2</sup> Prawdopodobnie chodzi o książkę Stanisława Zalewskiego: *O masonii w Polsce*. Kraków 1889 (lub jej późniejsze wydanie).

<sup>3</sup> Członkowie Lubelskiego Towarzystwa Miłośników Książki, którego prezesem był ks. L. Zalewski, po wybudowaniu przez niego w 1931 r. domu przy ul. Granicznej i swoje posiedzenia często odbywali w jego mieszkaniu.

[8]

[Lublin] 23 IV 1932

Przystępując do organizowania dwutygodnika społeczno-literackiego o kierunku prorządowym<sup>1</sup>, ośmielam się prosić W-nego księdza doktora o współpracę i zasilenie łamów no-

wego pisma pracami z działu historycznego i bibliofilskiego. Materiały do 1-go numeru przyjmuje się do dnia 5 maja rb.

Z głębokim szacunkiem

J. Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na kremowym kartoniku o wymiarach 14×10,3 cm.

<sup>1</sup> Jedną z bezskutecznych inicjatyw wydawniczych Czechowicza w tym roku. Efektem zamierzenia była efemeryczna gazeta o kierunku prorządowym, ale niezależna, której między 1 a 11 VI 1932 r. ukazało się 9 numerów: „Dziennik Lubelski”. Red. i wyd. w im. Sp. Wyd. „Prasa Regionalna” Ignacy Płazewski. Lublin 2°. R. 1: 1932. Współwydawcą i redaktorem periodyku był Czechowicz. Dziennik przestał wychodzić z powodu trudności finansowych. W artykule wstępnym w pierwszym numerze pisma redakcja deklarowała wobec czytelnika: „Chcemy Ci mówić prawdę. I...! Sensacją naszych szpał nie będzie kryminal, brud czy krew, ale praca, czyn i serce”. Na uwagę zasługują m.in. sygnały zainteresowania redakcji tematyką oświatową i upowszechnieniem książki, lecz materiałów podpisanych nazwiskiem ks. L. Zalewskiego nie ma.

[9]

[Lublin] VI 1932

Wielebny Księżu Profesorze!

Wbrew obietnicy przyjść dziś nie mogę, choć protokół<sup>1</sup> jest gotowy. Przyjdę jutro o tejże godzinie, to jest przed dziewiątą. I najmocniej przepraszam za zawód.

Z bibliofilskim pozdrowieniem

Józef Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na papierze firmowym, żółtym, o wymiarach 22,1×14,5 cm, z nadrukiem w prawym górnym rogu: „Dziennik Lubelski//Lublin, Powiatowa 3//tel. 6-33//PKO 140606”. Na autografie Czechowicza pieczęć wiśniowym tuszem: „Dziennik Lubelski//Redakcja”.

<sup>1</sup> Chodzi o kronikarski wpis poety za rok 1931 w Księdze protokołów LTMK (nr 23, k. 12—13 v.) jako sekretarza Zarządu Towarzystwa, którą to funkcję pełnił od 29 XII 1930 r. do 28 VI 1933 r. Zamiast protokołu nr 23 (k. 12) z posiedzenia w dniu 31 V 1931 r. (poeta błędnie napisał: „Posiedzenie czwartkowe [...]”) z udziałem założyciela oficyny drukarskiej we Florencji (Stamperia Polacca) Samuela Fryderyka Tyszkiewicza wpisał Czechowicz wiersz o incip.: „Mury nagrzane za dnia, psująca trawę [...]” (pierwodruk — bez tytułu — „Silva Rerum” 1938 z. 1/2 s. 23; z tytułem, który pochodził od ks. L. Zalewskiego, w jego *Antologii współczesnych poetów lubelskich*. Lublin 1938 s. 64).

[10]

[Lublin, 4 XI 1932]

Zarząd Związku Literatów w Lublinie<sup>1</sup> przesyła zaproszenie Zw[iązku] Zaw[odowego] Literatów w Krakowie<sup>2</sup> na uroczystości ku czci Wyspiańskiego, które odbędą się w Krakowie w dniach 25—28 bm.<sup>3</sup>

Za Zarząd  
Józef Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na białym papierze o wymiarach 21,3×14 cm, tekst inną ręką, pod nim autograf Czechowicza.

Do listu załączono dwa druki: 4-stronicowy druk (3 strony zadrukowane) zaproszenia na Zjazd Związku Zawodowego Literatów Polskich w dniach 27 i 28 listopada w Krakowie, w ramach obchodów 25 rocznicy śmierci Stanisława Wyspiańskiego (z informacją, regulaminem obrad i blankietem zgłoszenia udziału w Zjeździe) oraz czek in blanco.

Adres na kopercie: „Czcigodny Ks. Ludwik Zalewski/w/m/J Graniczna 1c”.

<sup>1</sup> Zebranie organizacyjne Związku Literatów w Lublinie odbyło się 21 V 1932 r. Na prezesa Zarządu wybrano Czechowicza, który na zebraniu następnym zrzekł się tej funkcji na rzecz Franciszki Arnsztajnowej, sam został wiceprezesem, a następnie sekretarzem.

<sup>2</sup> Związek Zawodowy Literatów Polskich powstał w Krakowie 24 III 1929 r. Zrzeszał członków z terenu województwa krakowskiego i śląskiego. Jego pierwszym prezesem był Karol Hubert Rostworowski.

<sup>3</sup> Ks. L. Zalewski nie skorzystał z zaproszenia, o czym świadczą nie wykorzystane załączniki. Nie wysłano także przedstawiciela na zorganizowany w ramach uroczystości (27–28 XI) Zjazd Związków Zawodowych Literatów Polskich, na którym powołano Zarząd Główny ZZLP jako władzę naczelną, w skład którego weszli reprezentanci poszczególnych oddziałów. Natomiast Związek Literatów w Lublinie 27 XI odbył zebranie, na którym Czechowicz opowiedział się za samodzielnością lubelskiej organizacji literatów.

[11]

[Lublin, 23 II 1933]

Może załączony drobiazg<sup>1</sup> przyda się Księdzu na cokolwiek. Proszę go przyjąć jako dowód pamięci.

J. Czechowicz

23 II 1933

List pisany czarnym atramentem na kremowym kartoniku o rozmiarach 14,3×10,5 cm.

<sup>1</sup> Czechowicz darował księdzu około dwudziestu autografów swoich drobnych tekstów, przeważnie fraszek i wierszy. W roku poprzednim ofiarował ks. L. Zalewskiemu na imieniny przekłady z M. Lermontowa. W tym przypadku być może, iż chodzi o autograf kontynuacji *Nowości lubelskich* (zob. list 3, przyp. 1) pt. *Nowości bibliograficzne. Suplement za 1933 r. i następane. Lublin 1930. Był taki co wydał, a drukarnię zaś ukryto, bo by drukarza zabiło. Obecnie znajduje się on w Bibl. H. L., [Zbiory Wiktora Ziółkowskiego], rps zielonym atramentem na 6 kartach formatu zeszytowego (19,6×15,3 cm); papier kremowy, na k. 1 u dołu czarnym atramentem: „J. Czechowicz 1933 m.p.p.” Ołówkowe skreślenia i adnotacje w tekście. Rps przejął W. Ziółkowski ze spuścizny po ks. L. Zalewskim.*

[12]

[Lublin, 24 1933]

Czcigodny  
Księżu Profesorze!

W sobotę 25 bm. o godz. 14 otwiera się Lublinie przy ul. Kościuszki 2 świetlica dla dzieci ulicy<sup>1</sup>. Robimy to masowo: Związek Pr[acy] Obyw[ate]lskiej Kobiety i Kuratorium. Piszę: robimy, bo ze Związku naprawdę pracuje tylko p. dr Jankowska<sup>2</sup>, z osób „szkolnych” — ja. Reszta to statysci. Upatrzylis-

my sobie księdza na tę osobę duchowną, która poświęci lokal w asyście paru przedstawicieli starszego społeczeństwa i kilku uliczników: Kuratora zapewniłem, że Ksiądz Profesor się zgodzi, bo obawiałem się, że w paradę wejdą szambelany<sup>3</sup>.

Proszę, bardzo proszę, niech Ksiądz nam nie odmawia. Sobota to takie pół-święto, że czas na pewno się znajdzie. Dziękuję z góry.

Z bibliofilskim pozdrowieniem  
J. Czechowicz

P.S. Do godz. 13 telefon mój 13-76<sup>4</sup>.

24 II 1933

List pisany czarnym atramentem na kremowym papierze złożonym we dwie (zapisana s. 1 i 3), o wymiarach 15,2×10,2 cm.

<sup>1</sup> Świetlica dla dzieci ulicy, głównie młodocianych gazdciarzy, uruchomiona została 1 III 1933 r. przez Związek Pracy Obywatelskiej Kobiety przy poparciu kuratora. Korzystało z niej trzydziestu kilku chłopców. W lecie opiekę nad dziećmi przejęło harcerstwo. Czechowicz poświęcił świetlicy notatkę. Zob. Muzeum J. Czechowicza, MC 3 R.

<sup>2</sup> Maria Jankowska (1879–1937), lekarka społeczniczka. Uczestniczyła m.in. w działalności „Kropki Mleka”, Sekcji Opieki nad Dzieckiem Głównego Komitetu Rantkowego, w okresie międzywojennym w działalności organizacji społeczno-oświatowej pn. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiety.

<sup>3</sup> W *Nowościach lubelskich* (zob. list 3, przyp. 1) tym mianem określono dra Ludwika Górskiego z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i ks. Kazimierza Gościańskiego, dyr. Gimnazjum Im. J. Zamoyskiego w Lublinie.

<sup>4</sup> Tel. Szkoły Specjalnej w Lublinie, ul. Niccała 6, której p.o. kierownika był w tym czasie Czechowicz.

[13]

[Lublin] 7 VI 1933

Wielebny Księżu Dyrektorze!

Piknik Literacki<sup>1</sup>, o którym mówiliśmy w swoim czasie, odbędzie się w niedzielę 11 bm. Zbiórka na dworcu w poczekalni II klasy o godz. 12 w południe. Cały Związek<sup>2</sup> serdecznie Księdza zaprasza.

Z prawdziwym szacunkiem  
J. Czechowicz

7 VI 1933

P.S. Przy sposobności przesyłam 2 wiersze<sup>3</sup>.

List pisany czarnym atramentem na białym kartoniku o wymiarach 14,7×10,4 cm.

<sup>1</sup> Piknik Związku Literatów w Lublinie miał się odbyć w Świdniku.

<sup>2</sup> Związek Literatów w Lublinie.

<sup>3</sup> Przy liście brak tekstów wierszy, dlatego nie wiadomo, o które chodzi. Być może, iż odłączył je sam ks. L. Zalewski w czasie przygotowywania *Antologii wpoetych poetów lubelskich*, zatem prawdopodobnie byłyby to autografy wierszy: *Kaplica zamkowa* (późniejszy tytuł wiersza: *Kościół Świętej Trójcy na Zamku*) i *Hymn*. Zob. Bibl. H. L., rps 2156, k. 73–74.



[14] [Lublin] 11 VI 1933

Czcigodny  
Księżę  
Dyrektorze!

Niepogoda. Piknik<sup>1</sup> odwołany, ale czy niezależnie od tego nie mógłby Ksiądz zajść dziś o 16 h do Pani Franciszki<sup>2</sup>, w której imieniu serdecznie zaprasza Czcigodnego Księdza

jego pies i podnózek  
J. Czechowicz

List pisany czerwonym atramentem na żółtym papierze o wymiarach 21×15,6 cm. Adres na kopercie: „Czcigodny Ksiądz//dr Ludwik Zalewski/w/m./ul. Graniczna 1//dom własny”.

<sup>1</sup> Zob. list 13, przyp. 1.

<sup>2</sup> Franciszka Hanna Arnsztajnowa (1865—1942), związana z ruchem niepodległościowym (POW), poetka i tłumaczka młodopolska, która w okresie międzywojennym wydała m.in. cztery tomiki poezji. Współinicjatorka i prezes Związku Literatów w Lublinie.

[15] [Lublin] 19 VI 1933 r.

W-ny Księżę Doktorze  
i Ojcie Bibliofilu!

Przesyłam resztę blankietów i kopert związkowych<sup>1</sup>, które już dawno Księdzu obiecałem.

Przy sposobności polecam laskawej opiece Księdza zmartwienia mojej serdecznej przyjaciółki, Marii Maćkowskiej<sup>2</sup>, która jutro lub pojutrze zgłosi się do Księdza o radę w sprawach związanych z Kościołem.

Jest to ta sama pani, która stale sekretarzuje staruszce Arnsztajnowej<sup>3</sup>.

Z prawdziwym szacunkiem  
J. Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na podwójnym arkuszu kremowego papieru mirkowskiego ze znakami wodnymi o wymiarach 21,8×13,9 cm; zapisana s. 1.

<sup>1</sup> Związku Literatów w Lublinie?

<sup>2</sup> Maria Maćkowska (zm. 1961), późniejsza żona malarza Jana Wydry, zaprzyjaźniona z Czechowiczem, z którym pracowała w Szkole Specjalnej w Lublinie. Nie wiadomo o jaką sprawę chodzi, być może, iż związku małżeńskiego z J. Wydrą, który zawarli po roku.

<sup>3</sup> Franciszka Arnsztajnowa (zob. list 14, przyp. 2) ze względu na głuchotę na zebraniach Zarządu Związku Literatów w Lublinie korzystała z pomocy M. Maćkowskiej, która pisemnie przekazywała jej treść wypowiedzi innych uczestników.

[16] [Lublin] 16 IX 1933

Czcigodny i miły sercu mojemu  
Księżę Bibliofilu!

Jestem w Lublinie przelotnie (od pociągu do pociągu) i dlatego nie mogę załatwić sprawy osobiście, więc piszę.

Chodzi o odpisy kilku wierszy Konrada<sup>1</sup>. Bestia, dawno mi to przyrzekł będąc w Lublinie, ale na kilka moich kartek nie odpowiedział, wierszy nie przysłał. Pewno się zapija, albo politykę robi. Już myślałem zwrócić się do jego cnej połowicy, gdy oto wieść mnie doszła, że cały tom<sup>2</sup> jest u Księdza.

Proszę o dostęp do skarbu. Proszę o dopuszczenie znanej już Księdzu p. Marychny Maćkowskiej<sup>3</sup>, by mogła odpisy zrobić. Poza tym proszę o artykuł syntetyczny omawiający działalność LTMK<sup>4</sup> dla nowego wielkiego pisma „Pion”<sup>5</sup>.

Będą to „Wiad[omości] Liter[ackie]”<sup>6</sup>, tylko lepsze i ładniejsze.

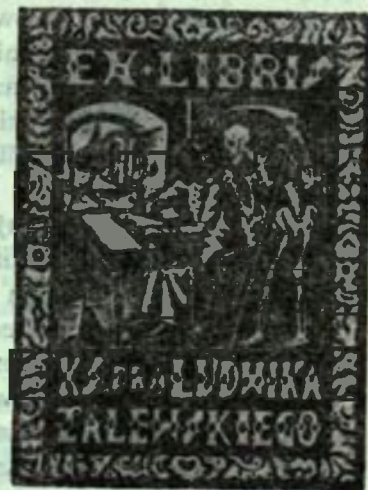
Serdeczny uścisk dłoni  
J. Czechowicz

Warszawa  
Dobra 6 m. 19

List pisany czarnym atramentem na papierze kratkowanym o wymiarach 25,5×21,2 cm.

<sup>1</sup> Konrad Bielski (1902—1970), poeta i prozaik z grupy poetyckiej skupionej przy czasopiśmie „Reflektor” (1923—1925), którego był współredaktorem. Od 1931 r. pracował jako adwokat w Krasnymstawie.

<sup>2</sup> Nie ponadto na ten temat nie wiadomo. Może był to materiał do zapowiadanego przed wojną tomiku *Krew i whisky*, który nie ukazał się. Można sądzić, że wśród tekstów były wiersze wydrukowane w owym roku w „Pionie” (nr 5: *Euokacja*) i „Zecle” (nr 15: *Legenda*, nr 17: *Przygoda*).



Ekslibrisy „mortalne” poety i księdza. Ekslibris J. Czechowicza wykonał ok. 1930 r. Józef Kurzątkowski w cynkografii (135×69 mm), zaś ekslibris ks. L. Zalewskiego — w 1929 r. Kazimierz Wiszniewski (drzeworyt, 210×158 mm)

<sup>1</sup> Zob. list 15, przyp. 2.

<sup>2</sup> Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki. W autografie omyłkowo: „LMKL”.

<sup>3</sup> Tygodnik literacki o orientacji piłsudczykowskiej i DBWR, ukazujący się od 14 X 1933 do 1939 r., którego promotorem był Adam Skwarczyński i Wilam Horzyca. Drukowano w nim wiersze, utwory dramatyczne, opowiadania i recenzje Czechowicza.

<sup>4</sup> Tygodnik literacki o charakterze liberalnym, ukazujący się w latach 1924—1939, jeden z najlepiej redagowanych periodyków kulturalnych okresu międzywojennego.

[17]

[Warszawa, 18 XII 1933]

Czcigodnemu, Kochanemu Księdzu Prezesowi<sup>1</sup> serdeczne pozdrowienia i życzenia wigilijne przesyła

bibliofil  
J. Czechowicz

Kartka pocztowa o wymiarach 14,1X9,9 cm pisana czarnym atramentem. Adres: „Czcigodny/ks. dr L. Zalewski//Lublin//ul. Graniczna 1A”. Po lewej stronie nadruk: „Współcześni pisarze polscy Seria I. Wydawnictwo Komitetu Głównego Tygodnia Książki Polskiej. 1933 r. [...]”. Stempel: „Warszawa 18 XII 33 11—12”. Na drugiej stronie portret z nadrukiem u dołu: „Boy-Zeleński Tadeusz ur. 1874 r. [...]”.

<sup>1</sup> LTMK.

[18]

[Warszawa] 17 X 1936 r.

Kochany Księżę Ludwiku!

Proszę mi wybaczyć, że mimo różnicy wieku<sup>1</sup> tak się do księdza zwracam, ale naprawdę, serdecznie się cieszę ilekroć księdza widzę i naprawdę ksiądz jest kochany. Dawno miałem zamiar skomponować jakąś epistołę do księdza, tylko, że czasu mi brakowało okropnie. Dla chleba wszedłem w spółkę z pewnym specjalistą i razem z nim napisałem podręcznik szkolny<sup>2</sup>. A że termin składania maszynopisów do komisji ocen w Min[isterstwie] WRiOP minął 15 bm., więc też do owego 15 pracowaliśmy po kilkanaście godzin, nie zawsze jedząc obiad, nie korespondując, nie składając wizyt i nie chodząc na żadne widowiska ani koncerty. Teraz się to skończyło. Odetchnąłem. Przeczytałem piękną książkę. Manna pt. Śmierć w Wenecji<sup>3</sup>. Jutro idę do teatru na przeróbkę sceniczną Klubu Pickwicka<sup>4</sup>. A dziś zasiadłem do korespondencji.

Obecnie już nie pracuję w Związku Nauczycielstwa Polskiego<sup>5</sup>. Ale i do szkoły nie mam zamiaru wracać. Będę żył z literatury<sup>6</sup>. Trochę to śmieszne, niemniej — prawdziwe.

Na razie bardzo sobie chwalebę to zerwanie z ustalonym trybem życia. Mam dużo czasu, oczywiście od chwili, gdy skończyłem podręcznik. Nikt mnie nie pogania w robocie. Czuję się

niezależnym zupełnie i to jest chyba najmiłsze, czego się człowiek w więzach społecznych warunków doczekać może.

Proszę jednak nie sądzić, że pozwalam sobie na wszystko. Przeciwnie. Po dawnemu trzymam się krótko. Wstaję o szóstej a już o siódmej tkwię po uszy w papierach. Moja mała maszyna do pisania (375 zł) bardzo mi w robocie pomaga. Pelen jestem koncepcyj, a i realizacje posuwają się naprzód w należytym tempie.

Mam sporo nowych wierszy. Nie wydam ich osobno, natomiast wejdą w skład pierwszego tomu zbiorowego wydania, które zaprojektowało grono warszawskich wielbicieli mej Muzy. Myślę, że jako bibliofila zainteresuje księdza projekt owego wydania. Pomyślane jest jako dzieło w trzech tomach. Tom pierwszy obejmie liryki (około 300 stron), tom drugi tejsze objętości będzie zawierał poematy i przekłady, tom trzeci — prozę, artykuły teoretyczne itp.<sup>7</sup>

Całość ozdobią rysunki Jana Wydry<sup>8</sup> (biedakowi znowu gorzej, w przyszłym tygodniu wyjeżdża do Zakopanego<sup>9</sup>), a w miejscu, gdzie zazwyczaj na książce bywa znak wydawniczy, chcemy wydrukować lubelską kozę (koziółka?) albo lewka ze Złotej, podobnie jak na ekslibrisie Wystawy Książki<sup>10</sup>. Pisał do mnie p. Wiktor — Julian — Kot<sup>11</sup>, że się wybiera do Warszawy w poniedziałek. Nie wiem, czy go zobaczę, bo w poniedziałek albo we wtorek wyjadę do Wilna. Mam tam 21 bm. Srodę Literacką<sup>12</sup>.

W Lublinie będę w Zaduszki. I już zawsze co rok na Zaduszki będę w Lublinie, choćbym był na krańcu świata. Muszę odwiedzić moich zmarłych<sup>13</sup>.

Jeśli ksiądz w czasie tych pierwszych trzech dni listopada nie będzie zbyt zajęty, bardzo chętnie zajdę do księdza.

Co u bibliofilów?<sup>14</sup> Przypuszczam, że wyrażając pogardę dla nowej ortografii<sup>15</sup> zrobię im, a zapewne i księdzu, przyjemność.

Serdeczny uścisk dłoni

J. Czechowicz

P.S. Adres mój: W-wa, ul. Narbutta 11-a (jedenaście<sup>16</sup>) m. 2.

List pisany na maszynie z autografem J. Czechowicza niebieskim atramentem na białym papierze czerpanym mirkowskim z filigranem o wymiarach 21,1X14,4 cm, złożonym we dwoje. Adres na kopercie: „W-bny Ksiądz Dr Ludwik Zalewski//Lublin//ul. Graniczna 1-a”. Stempel: „Warszawa 2, 17 X 36 16c”.

<sup>1</sup> J. Czechowicz był młodszym od ks. L. Zalewskiego o 23 lat.

<sup>2</sup> Oprócz Czechowicza było dwóch współautorów. Zob. Czechowicz J., Kubski B., Kotarbiński M. *Wyprawy polskie dla V kl szkół powszechnych*. Lwów 1937. (Wydania uzupełnione przez L. Kurdybachę: Jeruzolima 1943, Berlin 1945). W roku następnym ukazał się kolejny podręcznik współautorstwa Czechowicza: Kubski B., Czechowicz J., Kotarbiński M. *Wyprawy polskie dla VI kl szkół powszechnych 3 stopnia*. Lwów 1938.

<sup>3</sup> Marin T. *Śmierć w Wenecji*. Wyd. 3. Autoryz. przekł. L. F. Erdrahta. Wiedeń [ok. 1923].

\* Dickons K. *Klub Pickwicków*. 11 obrazów według przeróbki scenicznej N. Wegsterna. Przekł. J. Brodzkiego. Insc. i reż. A. Wegierki. Dekoracje W. Daszewskiego. Teatr Polski w Warszawie. premiera: 26 IX 1938 r.

\* Czechowicz pracował w Wydziale Wydawniczym Zarządu Głównego Związku Nauczycielstwa Polskiego w Warszawie od połowy sierpnia 1933 r. do końca października 1934 r. Rozwiązanie umowy o pracę z poetą spowodowane było donosami i oskarżeniami prasowymi o niemoralny tryb życia, wykorzystującymi m.in. cytaty z poematu *Hildar beldur i czas*.

\* Jak wiadomo, poeta podejmował jednak stałe zajęcia: w 1937 r. był sekretarzem redakcji „Pionu”, zaś od października 1938 r. do września 1939 r. pracował w rozgłośni Polskiego Radia.

\* Edycja nie doszła do skutku.

\* Jan Wydra (1903—1937), malarz, uczeń Tadeusza Pruszkowskiego należący do ugrupowania Bractwo św. Łukasza, przyjaciel Czechowicza od czasów szkolnych. Kilkakrotnie portretował poetę. Projektował okładki do „Lucifera” i „Reflektora”.

\* J. Wydra był chory na gruźlicę płuc, którą leczył w sanatorium w Zakopanem od 1937 r. Z tego wyjazdu pochodzą interesujące listy do żony.

\* Jako sygnet wydawniczy miał posłużyć koziołek z herbu Lublina albo lewek z atyki domu „pod lwami” przy ul. Złotej, wykorzystany w ekslibrisie (aut. Kazimierz Wiszniewski, cynkografia, 10,0×3,5 cm, lewek na księgach) wystawy książek zorganizowanej przez Lubelskie Towarzystwo Miłośników Książki 3—12 IV 1927 r.

\* Zob. list 3, przyp. 3.

\* 21 X 1936 r. wygłosił tam Czechowicz tekst pt. *Projekt środy literackiej w Wilnie* i odbył wieczór autoraki.

\* Groby najbliższych poety znajdowały się na cmentarzach: ojca (zm. 6 VI 1912 r.) na cmentarzu na Kalinowszczyźnie, brata Stanisława (zm. 13 III 1923 r.) — przy ul. Lipowej, matki (zm. 25 IV 1936 r.) — przy ul. Unickiej.

\* Członków LTMK.

\* Chodzi o zmiany wprowadzone przez Komitet Ortograficzny PAU w 1936 r. w zakresie pisowni i/jj po spółgłoskach, końcówek -em, -eml, -i(ym), -i(ymi), pisowni łącznej i rozdzielnej, użycia wielkich i małych liter.

\* Ponieważ w maszynopiśmie numer domu został napisany rzymską dwójką.

[19]

[Lwów, 2 XI 1936]

Serdeczne pozdrowienia ze Lwowa<sup>1</sup> przesyła

J. Czechowicz

2 XI 36 r.

List pisany niebieskim atramentem na pocztówce o wymiarach 13,9×5,7 cm, zaadresowanej: „W-bny ks. L. Zalewski//Lublin ul. Graniczna 1-a”. Stempel: „Lwów 26 XI 36.2”. Na drugiej stronie portret z nadrukiem: „Lya de Putti”.

\* Prawdopodobnie Czechowicz wyjeżdżał do krytyka, retysera, redaktora, dyrektora Teatrów Miejskich we Lwowie Wilama Horzycy (1889—1936) i w wyniku tego wyjazdu od 1937 r. został sekretarzem redakcji „Pionu”. Podróż powtarzały się, ponieważ W. Horzyca jeszcze przez kilka miesięcy mieszkał we Lwowie, a mogły być także inne ich cele.

[20]

Warszawa, w listopadzie 1936 r.

Rabe przedwiośnie, młodzieńcy, klaszcze odwilżą  
o bruki:

o jedenastej rano słońce oblewa framugi.

Nim oczy śpiącego dziecka nawę katedry ugwieżdżą  
szerokie okna nieraz oddadzą się słońcu i deszczom.

Taka to błędna pogoda, dzieciątko, jak to w

rąbeczku,

pogoda, wola, swoboda deszczynom, wietrzykom,  
słoneczku.

Wy, niewidzialnym kołem stańcie, młodzieńcy pieśni.

Słona sekunda chrztu otworzy błękit i knieję.

Kadzidło splata się z smugą, bijącą z wyży w

posadzkę.

Już patrzą ciemne oczy, ołtarz się w światłach

chwieje,

a jeśli

Miałem szczery zamiar, Księżu Drogi, napisać wiersz o własnym dzieciństwie. I zadumałem się. Z nad kartki papieru i tej malej, czarnej maszynki uciekłem w czas utracony, w okolice szczęścia, które było. Poprzez myśli o Lublinie i Matce<sup>1</sup>, dobrnąłem i do osoby Księdza.

Myszę, że do Lublina już nie wrócę<sup>2</sup>. Święta spędzę sam, w czterech ścianach pokoju. Ciężko by mi było wśród ludzi. Mimo wszystko czuję wewnętrzną łączność z tym miłym miastem i bardzo mnie interesuje wszelki przejaw jego życia. Rad bym wiedzieć, co się dzieje w Związku Literatów<sup>3</sup>, co słychać nowego w domku przy ulicy Granicznej I-a<sup>4</sup>, jak się plecie żywot koła bibliofilów<sup>5</sup>.

W Warszawie atmosfera ponura. Krąży takie mnóstwo plotek, że trudno w coś nie wierzyć. Słychać, że ma być bardzo wzmocniony kurs profaszystowski i prokatolicki. Rząd przestał subsydiować Zrąb<sup>6</sup>. Obecnie roboty w tej organizacji prowadzą się za prywatne pieniądze p. J. J.<sup>7</sup> Znamienny to znak czasu!

Gdyby Ksiądz wybrał się osobiście do stolicy, mógłbym mu ustnie przekazać wiele informacji, może nie rewelacyjnych, ale niemniej bardzo ciekawych. Proszę bardzo o krótki bodaj liścik. Mówił mi ktoś z lubliniaków, że Ksiądz wybiera się do Warszawy w tych dniach. Jeśli to prawda, bardzo proszę do siebie.

Serdeczne pozdrowienia dla p. Wiktora — Juliana — Apostaty — Kota<sup>8</sup>.

Z głębokim szacunkiem

J. Czechowicz

W[arszawa] ul. Narbutta 11-a m. 2

List pisany na maszynie, na kredowym zeberkowanym papierze mirkowskim z filigranem, o wymiarach 25,5×21,1 cm. Autograf Czechowicza — czerwonym ołówkiem.

\* Zmarła na włośnię.

\* Mimo tęsknoty i łączności poeta już nie wrócił na stałe do rodzinnego miasta.

\* Zob. list 10, przyp. 1.

\* Dom ks. L. Zalewskiego.

\* Zob. list 16, przyp. 1.

\* Towarzystwo Oświaty i Kultury („Zrąb”), półformalna grupa pedagogów i działaczy oświatowych skupionych przy kwartalniku „Zrąb”, poświęconym zadaniom wychowania obywatelskiego, który wychodził w latach 1930—1936. Gru-

pa „Zrębu” stała na gruncie obozu J. Świątlickiego i kultywowała państwowy kierunek wychowawczy.

<sup>1</sup> Janusz Jędrzejewicz (1883—1951), polityk, pedagog, działacz BBWR, minister wyznań religijnych i oświecenia publicznego, premer, z którego nazwiskiem związane są tzw. reformy jędrzejewiczowskie w zakresie szkolnictwa, był inicjatorem i przełożonym Zrębu.

<sup>2</sup> Zob. list 3, przyp. 3.

[21]

[Warszawa, 11 I 1938]

Wielce Szanowny Księżę Profesorze!

Odpowiadam — z opóźnieniem — na miły list księdza. Miły, bo ta część, która jest mniej przyjemna, mnie nie dotyczy, bowiem od września <sup>1</sup> już „Pionu” <sup>2</sup> nie prowadzę. Podpisywałem je (!) tylko ze względów kurtuazyjnych, natomiast redaktorem faktycznym był Roman Kołoniecki <sup>3</sup>, któremu w związku z tym artykułem <sup>4</sup> powiedziałem kilka gorzkich słów. Część pierwsza była przecież tworem niepoczytalnym, druga — kiepskim streszczeniem znacznie ciekawszych w oryginale idei ks. Jakubisiaka <sup>5</sup>.

W sprawie antologii lubelskiej <sup>6</sup> napiszę do Księdza Profesora osobno — lada dzień. Chodzi o to, że tamten manuskrypt przemówienia sprzed kilku lat <sup>7</sup> — nie istnieje, ośmielę się więc zaproponować Księdzu Profesorowi, aby zechciał przyjąć zamiast niego wstęp specjalnie w tym celu napisany.

O wierszach, które chętnie bym w antologii widział, również napiszę w następnym liście, bo nawet tekstów nie mam pod ręką. Oczekuję na razie aprobaty Księdza Profesora na ów wstęp oraz na wieść, jakiej objętości ma być ta publikacja i które lata, czy jakie lata wyznaczą jej granice w czasie, pewno 1918—1938.

A teraz ad personam: proszę przyjąć ode mnie najserdeczniejsze życzenia z okazji odznaczenia Księdza Profesora <sup>8</sup>, o czym się dowiedziałem przed kilkoma dniami.

Z głębokim poważaniem  
— łącząc bibliofilski uścisk dłoni  
Józef Czechowicz

Warszawa

Narbutta 11 a m. 2

P.S. Jeśli w lutym będę w Lublinie, przywiozę Rexowi <sup>9</sup> czekoladki — to się samo przez się rozumie.

List pisany niebieskim atramentem obustronnie na arkusiku kremowego papieru o wymiarach 21×14,9 cm. Adres na kopercie: „W-bny Ksiądz Dr L. Zalewski//Lublin//ul. Graniczna 1-c”. Stempel: „Warszawa ?, 11 I 38 20 d”.

<sup>1</sup> 1937 r. Czechowicz podpisywał „Pion” za redakcję przez cały rok, tj. od nr 1 do 31—52.

<sup>2</sup> Zob. list 16, przyp. 5.

<sup>1</sup> Roman Kołoniecki (ur. 1906), poeta, tłumacz i publicysta związany z grupą Kwadryga, w latach 1930—1937 sekretarz redakcji miesięcznika „Droga”; „Pion” podpisywał od 1 I 1938 r.

<sup>2</sup> Prawdopodobnie chodzi o artykuł: Jakimiak Z.: *Świeża filozofia. O myśli filozoficznej Augustyna Jakubisiaka*. „Pion” 1937 nr 49 s. 1—2 portr.

<sup>3</sup> Ks. Augustyn Jakubisiak (1884—1945), profesor filozofii, zajmował się głównie zagadnieniami ontologii i metafizyki, w szczególności bytem jednostki ludzkiej jako kategorią filozoficzną, przyczynowością, wolnością i odpowiedzialnością człowieka za realizację moralnych wartości itp. W nrze 28 (s. 1—2) z 1937 r. „Pionu” ukazał się jego artykuł pt. *Mił o myśleniu nietendencyjnym*.

<sup>4</sup> Dotyczy przygotowywanej w tym czasie przez ks. L. Zalewskiego *Antologii współczesnych poetów lubelskich*.

<sup>5</sup> Być może, iż chodzi o Józefa Czechowicza *Mowę na otwarciu Związku Literatów w Lublinie* wygłoszoną na zebraniu organizacyjnym Związku w dn. 21 V 1932 r. (Opr. T. Klak, „Poezja” 1966 nr 1 s. 82—84).

<sup>6</sup> 11 XI 1937 r. ks. L. Zalewski został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski.

<sup>7</sup> Pies adresata.

[22]

[Warszawa, 12 I 1939]

Józef Czechowicz

Warszawa XII

ul. Narbutta 11-a m. 2

Drogi, kochany i wielce szanowny Księżę Dyrektorze!

List Księdza przyszedł w chwili, gdy wahałem się, czy wysłać do Lublina wstęp <sup>1</sup>, który napisałem, czy też nie. Wahanie pochodziło stąd, że już dawniej napisałem impresję, którą łączę <sup>2</sup> i ani rusz nie mogłem się zmusić do przerobienia tego na spokojny, poważny prolog nie byle jakiego wydawnictwa. Pisałem coś ze trzy razy uroczyste artykułasy i nic z tego nie wychodziło. A pisałem, bo mnie pilował Podstawka <sup>3</sup>, a i czcigodna staruszka <sup>4</sup> też mi przypominała o Antologii <sup>5</sup> nieraz.

A kiedy nadszedł list Księdza i było w nim rozgrzeszenie, że niby nawet wierszem można wprowadzenie owo sporządzić, dałem sobie spokój i postanowiłem wysłać to, co Ksiądz tu widzi. Może zanadto od sasa do lasa, może bynajmniej nie takie wstępne, jak potrzeba, ale z kategorii tych rzeczy, które „sercem gryzą”. Nie wiem, czy potrzebne tam są wzmianki o prorocत्वie św. Malachiasza <sup>6</sup> oraz Nostradamusie <sup>7</sup>, nie wiem, czy z perspektywy naszego miłego miasteczka świat wygląda równie potwornie, jak z perspektywy życia stolicy — ale prawdę (!), ale samo mi się to wylało spod serca i bardzo serdecznie, przynajmniej w zamiarze. Nie mogłem pisać spokojnie.

Drogi, a szanowny Księżę Ludwiku, byłbym rad, gdyby Antologia niedługo się ukazała. Ucieszyłoby to chyba wszystkich nas, a w szczególności Staruszkę, która przeżywa chwile głębokiej depresji przytłoczona tym, co dzieje niosą. Rozumiem ją. Już nie ma prywatnych ludzi, prywatnych uczuć. Zaraz za domem każdego z nas otwiera się głębia niedobra i huczy młyn czasu, mielący bezlitośnie. Książki to będą wkrótce jedyne

szczątki pływające po potopie, świadczące o nas wobec nowych pokoleń. Ale chciałoby się ucieszyć nimi czy nie tylko ze względu na dalsze pokolenia.

Więc kiedy?

Z Lublina dochodzą mnie niedobre wieści o miłym Julianie Kocie<sup>9</sup>. Przyjaciele pisują listy pełne rezygnacji<sup>10</sup> — starzeją się, czy co u licha! Gromadka lubliniaków<sup>11</sup> tu, na gruncie Warszawy, nie trzyma się razem, przeciwnie, jesteśmy skłóce- ni<sup>12</sup>. Może ta antologia coś sprawi?

Tak zwane „walki literackie” nie przebiegają w metodach. Wszystko to niszczy człowieka, zużywa i budzi chęć ucieczki. Ach, jakżebym chciał mieć rentę i zakopać się w Lublinie, i pisać to, co ja chcę, i nie orać na chleb powszedni! Czy to nie śmieszne, drogi Księżu: poeta i renta? W najbliższych ty- godniach ukaże się nowy mój tomik wierszy<sup>13</sup>, a w końcu stycznia Teatr Nowy wystawia jedną z moich jednoaktówek wespół z jednoaktówkami Norwida i Rittnera<sup>14</sup>. Może by się książdź wybrał na premierę lub któreś z dalszych przedstawień?

Przy okazji adresy, o których Książdź pisał<sup>15</sup> prześlę osobną kartką, tylko muszę je wprawdzie zdobyć. Nie potrwa to długo.

Z bibliofilskim pozdrowieniem  
J. Czechowicz

P.S. Wacław Mrozowski<sup>16</sup> mieszka w Radomiu, ul. Curie-  
-Skłodowskiej 6 m. 25.

Warszawa, 12 I 1939 roku

Maszynopis na papierze kremowym o wymiarach 22,1x17,7 cm pisa-  
ny obustronnie. Autograf poety i post scriptum napisane czarnym atra-  
mentem. Adres na kopercie (czarnym atramentem): „W-bny ks. dyr.  
Ludwik Zalewski/w Lublinie/ul. Graniczna 1-c”. Stempel: „Warszawa  
2, 12 I 39 19 h”.

<sup>1</sup> Do Antologii współczesnych poetów lubelskich — zob. list 21, przyp. 6.

<sup>2</sup> Tamże, s. 7—9.

<sup>3</sup> Władysław Podstawa (1912—1924), urodzony w jednej z podlubelskich wsi, poeta z warszawskiego kręgu Czechowicza, autor nie wydanego zbrorku wierszy wierszanych pt. *Droga najszersza* i wydanego tomu: *Stopy w nieznoli*. Lublin 1938.

<sup>4</sup> Franciszka Arnsztajnowa — zob. list 14, przyp. 1.

<sup>5</sup> Zob. przyp. 1.

<sup>6</sup> Malachiasz — jeden z tzw. proroków mniejszych, autor ostatniej księgi pro-  
roczej Starego Testamentu, (z której Czechowicz zacytował zdanie), zawierającej  
napomnienie, obietnicę i groźbę wobec narodu tydowakiego.

<sup>7</sup> Michał Nostradamus (Michel de Nostre-Dame, 1503—1566), słynny lekarz i  
astrolog francuski, autor kalendarzy z przepowiedniami.

<sup>8</sup> Zob. przyp. 4.

<sup>9</sup> Zob. list 3, przyp. 2. Chodzi o sprawy rodzinne W. Ziółkowskiego.

<sup>10</sup> Dotyczy przede wszystkim Kazimierza Miernowskiego (1890—1938), znanego  
lubelskiego adwokata, któremu w liście z 3 XII 1938 r. zarzucał Czechowicz „ton  
pesymizmu” i zalecał stosowanie duchowego „plodochmianu”.

<sup>11</sup> Poeci z tzw. kręgu czechowiczowskiego, m.in. Henryk Domański, Artur Rze-  
czyca, Wacław Mrozowski, Wacław Iwanluk, Jerzy Pieśniarowicz, Józef Staehowicki.

<sup>12</sup> Istnienie różnych „wirów” w kręgu czechowiczowskim stwierdzał Stanisław  
Piętań w rozmowie z Janem Splewakiem. („Twórczość” 1964 nr 4 s. 43).

<sup>13</sup> *Nota człowiecza*. Warszawa 1939.

<sup>14</sup> Teatr Nowy w Warszawie wystawił Włocław jednoaktówek, na który złożyły  
się: J. Czechowicza *Czasu jutrzejszego*, C. K. Norwida *Młodość u kapłani morskich*,  
T. Rittnera *Odwiedziny o zmroku*. Insc. W. Horszycy, reż. A. Zelwerowicz, sceno-  
graf. A. Fronaszkó, muz. H. Gadomski. Premiera: 4 II 1939 r.

<sup>15</sup> Prawdopodobnie chodziło o adresy poetów w związku z przygotowywaną  
przez Ek. L. Zalewskiego *Antologią...*, która w zamierzeniu miała objąć większą  
liczbę twórców.

<sup>16</sup> Wacław Mrozowski (1912—1967), poeta z kręgu „Kamień” i Czechowicza.

[23]

[Warszawa] 18 I 1939 r.

Czcigodny Księżu Dyrektorze!

Serdecznie dziękuję za honorarium<sup>1</sup>, drogi Księżu Dyrekto-  
rze! Spadło mi to jak z nieba i rozpędziło nieco chmury kłopot-  
tów. Wkrótce wydrukuję w dwumiesięczniku „Ateneum”<sup>2</sup>  
większe opowiadanie związane z Lublinem<sup>3</sup> i rad bym był,  
gdyby wpadło w ręce Księdza.



Czcigodny Księżu Dyrektorze! 18 I 1939 r.  
Serdecznie dziękuję za honorarium,  
drogi Księżu Dyrektorze! Spadło mi to jak z  
nieba i rozpędziło nieco chmury kłopotów.  
Wkrótce wydrukuję w dwumiesięczniku „Ateneum”  
większe opowiadanie związane z Lubli-  
nem i rad bym był, gdyby wpadło w ręce Księ-  
dza.  
Skon. Księżu Dyrektorze istotnie wybiera się do  
Harnary, to proszę nie zapomnieć, że ja w go-  
dzinach wieczornych jestem przy telefonie 5.65.20.  
Z bibliofilskim pozdrowieniem  
Prób-

Fotokopia autografu listu J. Czechowicza w formie karty pocztowej

Skoro Książd Dyrektor istotnie wybiera się do Warszawy, to proszę nie zapomnieć, że ja w godzinach urzędowych jestem przy telefonie 5-65-20<sup>4</sup>.

Z bibliofilskim pozdrowieniem  
J. Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na kremowym kartoniku o wymiarach 14,1×9,2 cm. Na stronie drugiej w lewym górnym rogu napis: „Wysyła://J. Czechowicz//W-wa XII//ul. Narbutta 11-a//m. 2”. Po środku rysunek atramentem ręką Czechowicza stylizowanego kwiatu w doniczce, pod nim rok: „1939”. Po prawej stronie u dołu adres: „W-bny ks. dyr. L. Zalewski//Lublin//ul. Graniczna 1”. Stempel: „Warszawa 1 19 139 15”.

<sup>1</sup> Honorarium za teksty Czechowicza (wstęp i 16 wierszy) zamieszczone w *Antologii współczesnych poetów lubelskich* — zob. list 21, przyp. 6.

<sup>2</sup> „Ateneum” — warszawski dwumiesięcznik poświęcony sprawom kultury i literatury (1938—1939 r.). Redagował go Stefan Napierski z udziałem znanych krytyków i publicystów.

<sup>3</sup> Nie ukazało się.

<sup>4</sup> Tel. centrali Polskiego Radia w Warszawie przy ul. Dąbrowskiego 6, gdzie poeta pracował.

[24]

[Warszawa] 1 II 1939

Wielce Szanowny i Drogi Księżu Dyrektorze!

Wysyłając z podróży<sup>1</sup> teksty moich wierszy wzbogacone znakami przestankowymi<sup>2</sup>, zapomniałem wysłać i pokwitowanie na 50 zł, wobec czego w chwili obecnej przeoczenie to uzupełniam<sup>3</sup>.

Przy okazji, jeśli Książd nie pogardzi, chciałbym ofiarować Mu autograf „Czeskiego domku”<sup>4</sup>. Pisałem to w parku, w Łazienkach<sup>5</sup>, długo myśląc nad kartką papieru, gdy ręka gmatwała linie w kształt Trynitarzkiej Wieży<sup>6</sup>. Termin „myślenie” nie jest dobry, było to raczej zamyślenie, stan zatopienia się w radosnych uczuciach odległego dzieciństwa, tak mocno związanego z łąkami nadbystrzyckimi<sup>7</sup>. Wreszcie wynikła z tego stanu melodia i napisałem.

Kiedyż ujrzę Księdza w Warszawie? Jak postępuje druk? W jakim czasie można spodziewać się książki?<sup>8</sup>

Z bibliofilskim pozdrowieniem  
J. Czechowicz

Notatka

Gdyby książd mógł, jadąc do Warszawy, zabrać ze sobą „Pszczółkę”, ten almanach wesoły<sup>9</sup>, o który mi urywają głowę właściciele... Zostawiłem to u Księdza w r. 1936 i obawiam się, że wkrótce nadejdzie termin przedawnienia, to wówczas Napierski<sup>10</sup> i jego brat zarzną mnie bardzo rytualnie...

J. C.

## PIOSENKA „CZESKI DOMEK”

Od strony strun od strony strun  
kończy się fantaplastyczny tom  
zbudował anioł na łąkach łun  
z rozkwitłych witek migdałowca  
czeski domek taki mały figlarny dom  
dla mnie świtowego wędrowca<sup>11</sup>

Matko skąd ptaki w kieszeniach masz  
ach lecą lecą piosenki ros  
domek jak bemol odwraca twarz  
pójdą deszcze batami po owocach  
nieco w górę i w prawo na wskos  
do mnie świtowego wędrowca

Nie wiem i wiem nie wiesz i wiesz  
śmieje się toń przemądrzała móż  
czeski domek mi żółknie jak papier wszereż  
prócz dachu stanie żółtolicy  
o przynieście tu lubelskiej rzeczulki nóż  
ukroimy wędrowkę<sup>12</sup> świtu

J. C.

List pisany czarnym atramentem na białym papierze o wymiarach 22,2×17,1 cm, notatka także na oddzielnym arkusiku papieru o wymiarach 14,7×10,4 cm, wiersz Piosenka „Czeski domek” — niebieskim atramentem na papierze o wymiarach 21×15,5 cm. Pod autografem wiersza atramentowy szkic Wieży Trynitarzkiej z graficznie ukomponowaną nazwą „Lublin”, z prawej strony u góry — marginalia kolorowymi ołówkami inną ręką: „arkusz poet. strona ostatnia VI”, Adres na kopercie: „W-bny ks. dyr. L. Zalewski//Lublin//ul. Graniczna 1-c”. Stempel: okolicznościowy FIS-owski, właśc. datownik „Warszawa 21. 3 II 39 12 d”. Nadawca: „JC 1939”.

<sup>1</sup> Chodzi o wyjazd na wieczór literacki do Białegostoku, o czym świadczy odnaleziona koperta z adresem: „W-bny ks. dyr. L. Zalewski//W Lublinie//ul. Graniczna 1-c”. na odwrocie: „JC 1939”. Stempel: „Białystok 3. 26 I 39 21”.

<sup>2</sup> Wiersze Czechowicza opublikowane w *Antologii współczesnych poetów lubelskich* zredagowane są z zachowaniem obowiązujących zasad ortografii i interpunkcji.

<sup>3</sup> Pokwitowania Czechowicza brak w dokumentacji, natomiast odnaleziono dowód nadania przekazu z wymienioną kwotą na warszawski adres poety. Stempel: „Lublin 1. 16 I 39 11”.

<sup>4</sup> Pierwodruk w „Kurierze Wileńskim” 1938 nr 1 s. 6.

<sup>5</sup> Zespół ogrodowo-palacowy w Warszawie założony i ukształtowany w XVII—XVIII w., ulubione miejsce spacerów mieszkańców stolicy, posiada bogatą artystyczną dokumentację w literaturze i malarstwie.

<sup>6</sup> Wieża Trynitarzka w Lublinie, budowla neogotycka, wzniesiona w 1819 r. nad dawną furta kolegium jezuitów, po kasacie zajmowanego przez trynitarzy.

<sup>7</sup> Rozciągające się wówczas w południowej i wschodniej części Lublina.

<sup>8</sup> Zob. list 21, przyp. 6.

<sup>9</sup> Nie udało się zidentyfikować takiego almanachu.

<sup>10</sup> Stefan Napierski (właśc. nazw.: Stefan Marek Elger, 1899—1940), krytyk, poeta, tłumacz, redaktor „Ateneum”, recenzent książek Czechowicza.

<sup>11</sup> W autografie następna linijka skreślona, nieczytelna.

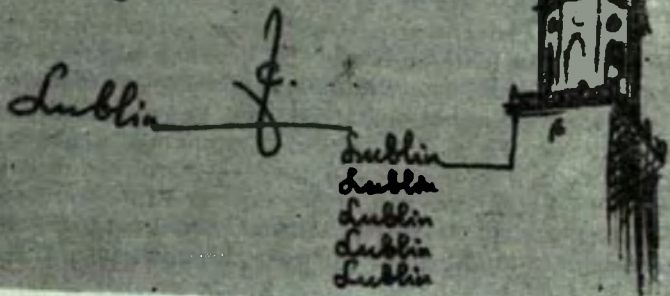
<sup>12</sup> W autografie skreślenia, w tym przekreślony wyraz: „tulaczkę”.

# PIASENA CZESKI DOMEK<sup>3</sup>

Od strony stron od strony stron  
konieczny jest fantazja plastyczna tam  
zabawiać świat na tych tam  
z rozkuszonych nitach ungodźcówca  
czeski domek taki mały figlarny dom  
dla mnie switowego wzrowca

Matko chodź stali w kieszonkach małe  
ach leż leż piosenki ros  
domek jak białe odwraca twarz  
półki odwraca datami po owocach  
nieco ngory i wprawno nawoskos  
do mnie switowego wzrowca

Nie wiem i wiem nie wiem a wiem  
imieje na toni gromogromata more  
czeski domek mi zatknie jak papier  
gwiez dachu stanic zitholity  
grygniecie tu lubelskiej traczki  
ukroiny



Fotokopia autografu wiersza J. Czechowicza ofiarowanego ks. L. Zalewskiemu w liście z 1 lutego 1939 r.

[25]

[Warszawa, 17 II 1939]

Drogi i Szanowny księże Ludwiku!

Przepraszam — „Demonom nocy”<sup>1</sup> nie znalazłem, natomiast przesyłam numer Skamandra<sup>2</sup> z interesującym utworem Łobodowskiego<sup>3</sup> świeżej daty Złota hramota<sup>4</sup>. Może się przyda. Pozdrawiam i uprzejmie przypominam „Pszczółkę”...<sup>5</sup>

J. Czechowicz

17 II 1939 r.

List pisany ołówkiem kopiowym na papierze białym o wymiarach 22x12 cm. Adres na kopercie: „W-bnu ks. dr//Ludwik Zalewski/w/m./ Pokój nr 21”.

<sup>1</sup> Łobodowski J. *Demonom nocy*. [Wiersze]. Warszawa 1936.

<sup>2</sup> „Skamander” — warszawski miesięcznik poetycki wychodzący w latach 1920—1928, 1935—1938, „organ” grupy poetyckiej, która wzięła od niego nazwę.

<sup>3</sup> Józef Łobodowski (ur. 1900), poeta, tłumacz, publicysta, w latach 1932—1935 redaktor lubelskich periodyków: „Barykady”, „Trybuna”, „Dźwigary”, od 1933 r. prezes Związku Literatów w Lublinie. W 1938 i 1939 r. przebywał w Warszawie.

<sup>4</sup> Łobodowski J. *Złota hramota*. „Skamander” 1933 z. 89—101 s. 212—213. Oprócz tej pomocy, Czechowicz przekazał ks. L. Zalewskiemu dziesięć własnoręcznie napisanych notatek biograficznych: o sobie, Konradzie Białakim, Henryku Domińskim, Anieli Fleszarowej, Adamie Gallai, Witoldzie Kasperskim, Józefie Nikodemie Kłosowskim, J. Łobodowskim, Bronisławie Ludwiku Michalskim, Władysławie Podstawce. Zob. H. L., rps 2156, passim.

<sup>5</sup> Zob. list 34, przyp. 8.

[26]

Warszawa, w czerwcu MCMXXXVIII  
[właśc. 1939]

Czcigodny Księżę Doktorze!

Podczas krótkiego pobytu w Lublinie<sup>1</sup> kołatałem do drzwi Księdza, ale nie ujrzałem Jego oblicza. Osobę księdza przypominam mi dziś żywo „Antologia lubelska”<sup>2</sup>, która tu leży przede mną na stole, nad podziw starannie wydana i ładna. W tej całości nawet moja przedmowa<sup>3</sup> wydała mi się ładna i już nie mam skrupułów w związku z jej wydrukowaniem.

Dawno Lublina nie widziałem<sup>4</sup>, toteż zaimponowały mi prace w Rynku<sup>5</sup>, na ogół udane i lepsze niż w Warszawie. Za niefortunne uważam tylko wymalowanie na czerwono domu przylegającego do k[ości]ła św. Stanisława<sup>6</sup>, no i pomnik Kochanowskiego<sup>7</sup>, bez drzew, bez kwiatów wygląda naprawdę żałośnie i niepokojąco. Powinien być prędko, jak najprędzej ustawiony gdzieś w ogrodowym tle, może w Parku Saskim<sup>8</sup>, może na skwerze, który zapewne założą po zburzeniu ohydnej wieży wodociągowej<sup>9</sup>, może w dziedzińcu Domu Pracy Kulturalnej<sup>10</sup>, ale tam chyba by się zrobiło zbyt ciasno.

A propos domu: słyszę głuche wieści, jakoby w razie niedojścia do ładu z Dutkiewiczem<sup>11</sup>, mnie miano zaproponować kierownictwo tej instytucji<sup>12</sup>. Bardzo by mi się to uśmiechało i myślałem, że mógłbym, będąc owym kierownikiem, niemało dobrego uczynić, a ze stolicą rozstałbym się bez żalu. Żyję tu między pracą zawodową a biurkiem pisarza, po tzw. „lokalach” prawie nie chodzę, bo przestało mnie to bawić. Ten tryb życia mógłbym prowadzić nawet w Baranowiczach<sup>13</sup>, nie tylko w Lublinie.

W Radio<sup>14</sup> jest mi dość dobrze, toteż te projekty, gdy chodzi o moje osobiste sprawy, są dla mnie ważne, ale nie najważniejsze, natomiast wydaje mi się, że dla Instytutu Lubelskiego<sup>15</sup> byłoby rzeczą ważną schwytywanie takiego, jak niżej podpisany, ptaka.

Ponieważ jednak nikt mi oficjalnej propozycji nie uczynił, nie martwię się o to.

Piszę pewną rzecz<sup>16</sup>, którą rad bym był ujrzeć na łamach „Pamiętnika Lubelskiego”<sup>17</sup> o ile jej p. Zyczyński<sup>18</sup> nie zdyskwalifikuje... Przy okazji muszę Księdza zawiadomić, że w „Antologii poetyckiej” Zdz. Kempfa (Bydgoszcz 1922)<sup>19</sup> wynalazłem wiersz p. Zyczyńskiego<sup>20</sup>, równie patriotyczny, jak straszliwy, gdy chodzi o nasilenie cech grafomańskich. Tak więc — jeszcze jeden krytyk wywodzący się z nieudanego poety...

Wyszedł już mój nowy tomik „Nuta człowiecza”<sup>21</sup>, niestety, ma poważne braki w szacie zewnętrznej. Otrzyma go Książka lada dzień.

Na tym finis epistolae. Pozdrowienia dla p. Araszkiewicza<sup>22</sup> któremu zazdroszczę sztuki kierowania dyskusjami.

Z bibliofilskim pozdrowieniem  
Józef Czechowicz

List pisany czarnym atramentem na grubym białym papierze o wymiarach 24,4x17,4 cm, obustronnie. W lewym górnym rogu naklejona okrągła kolorowa ilustracja witrażu o średnicy 2,8 cm.

<sup>16</sup> 7-8 VI 1939 r. w związku z wieczorami literackimi z okazji „Dni Lublina. Zamościa i Lubelszczyzny”.

<sup>17</sup> Zalewski L. *Antologia współczesnych poetów lubelskich*. Lublin 1939.

<sup>18</sup> Tamże s. 7-9.

<sup>19</sup> Prawdopodobnie Czechowicz nie był w Lublinie od ponad półtora roku.

<sup>20</sup> Prace renowacyjne na Starym Mieście prowadził konserwator zabytków, Miejski Wydział Budownictwa i Miejski Oddział Kultury. Objęto nimi wszystkie domy w Rynku, przy ul. Bramowej, Złotej, częściowo Grodzkiej i wokół pl. św. Michała. Prace przy malowidłach wykonywał art. mal. Tadeusz Tenicki przy współudziale Leokadii Bieleckiej.

<sup>21</sup> Obecnie: ul. S. Klonowica 7. Kamienica pochodzi z XV w. W XVI w. zwana była kamienicą Myszkowskich. Od 1922 r. stanowiła własność Podsiadłowskich.

<sup>22</sup> Pomnik Jana Kochanowskiego dłuta art. rzeźb. Franciszka Stryndkiewicza został odsłonięty w 1931 r. na Rynku Starego Miasta przed wejściem do Trybunału, gdzie stał do 1941 r.

<sup>23</sup> Park miejski założony w 1837 r. staraniem inż. Feliksa Łódzka-Bieczyńskiego.

<sup>24</sup> Obecnie: plac Wolności. Wieża ciśniowa, zbudowana w latach 1899-1906, rozbrana w 1943 r.

<sup>25</sup> Obecnie: ul. Narutowicza 4, gdzie mieści się Bibli. H. L. Budynek wzniesiono w latach 1935-39 według projektu arch. Stanisława Łukasiewicza, z wykorzystaniem tzw. oficyj popijarskich.

<sup>26</sup> Józef Edward Dutkiewicz (1903-1969), art. malarz, konserwator zabytków i historyk sztuki, w latach 1935-1939 był konserwatorem i kierownikiem Oddziału Sztuki w Urzędzie Wojewódzkim Lubelskim. Od 1934 r. pełnił funkcję sekretarza Lubelskiego Związku Pracy Kulturalnej, zaś od 1 I 1940 r. miał objąć obowiązki dyrektora Instytutu Lubelskiego.

<sup>27</sup> W zachowanej dokumentacji brak śladów takiej propozycji.

<sup>28</sup> Miasto powiatowe w ówczesnym woj. nowogródzkim.

<sup>29</sup> Zob. list 16, przyp. 6.

<sup>30</sup> 13 I 1939 r. Lubelski Związek Pracy Kulturalnej przekształcono w Instytut Lubelski, który — z okropną przemocą — istniał (formalnie) do 1944 r.

<sup>31</sup> Nie wiadomo, o jaki tekst chodzi.

<sup>32</sup> *Organ Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Lublinie*, wydawnictwo ciągłe, w latach 1920-1928 ukazywało się 3 razy.

<sup>33</sup> Henryk Zyczyński (1890-1941), od 1927 r. do wojny przebywał w Lublinie, historyk literatury polskiej, profesor KUL, przewodniczący Komisji Filologicznej TPN. W artykule: *Poezja w Lubelszczyźnie (1918-1937)*. „Pamiętnik Lubelski”, T. 2: 1933-37 s. 486-487 krytycznie ocenili twórczość Czechowicza.

<sup>34</sup> Bibliografie nie notują wymienionej przez Czechowicza antologii.

<sup>35</sup> Z powodu j.w. wiersza nie zidentyfikowano.

<sup>36</sup> Czechowicz J. *Nuta człowiecza*. Warszawa 1939.

<sup>37</sup> Zob. list 1, przyp. 1.

Opracował Jan Smolarz

STANISŁAW LEM

## WIZJA LOKALNA\*

Lektura teologii, teodycei i filozofii wymagała całej mocy umysłu. Otwarłem więc okno, zrobiłem trzydzieści głębokich przysiadów, uruchomiłem maszynkę do kawy, zapobiegawczo wykąnałem aspirynę, i sięgnąłem po pierwszy tom z przyszykowanej już sterty, przy czym dalipan mimo woli z piersi wyrwał mi się cichy jęk. Małe dziwactwa wielkich myślicieli są rzeczą dobrze znaną. Co prawda podręczniki historii na ogół o tych nieładnych i wątpliwych sprawkach geniuszów milczą. Ten stracił ze schodów starszą panią, tak że połamała obie nogi, tamten zrobił dziecko i wycofał się z tego, lecz były to wybryki i wysoki indywidualne. Ot, pomieszkać w beczie, pisać donosy na kolegów, takie może brzydkie, ale też małostkowe sprawy. Na Encji było z tym inaczej, zwłaszcza w późnym średniowieczu, gdy filozofia kwitła. Powstałe tam szkoły (zaraz powiem o nich więcej) zwalczały się w nie spotykany nigdzie indziej sposób. Każdy wie, że czasem mówi się „to prawda, żebym taki zdrów był”, albo „niech skonam”, „niech mię ziemia pochłonie, jeśli kłamię” itp. Szkoły firxirska i tirtracka wprowadziły te groźby w tryb erystycznej argumentacji. Wzięło się to stąd, że generalnych tez filozofii nie można dowodzić eksperymentem. Nie można udowodnić, że świat nie przestaje istnieć, gdy nie ma nikogo, bo żeby udowodnić, że go nie ma, trzeba pójść i zobaczyć, a wtedy oczywiście jest jak wół. Otóż uczniowie Firxatyka używali jednak argumentu empirycznego, zwanego ostatecznym. Jeśli ten, z kim polemizowali, nie chciał nic opuścić i nie dawał się w żaden sposób przekonać, grozili samobójstwem. Toż chyba dostatecznie pewny jest swej racji ten, kto gotów za nią zginąć i to na miejscu! A jeśli któryś chciał wzmocnić argument, to kazał z siebie pasy drzeć lub coś w tym rodzaju. Maniera ta rozpowszechniła się i przez drugą połowę XVII wieku, dyskusje na śmierć i życie toczyły się zbiorowo. Wszyscy okropnie się przy tem spieszyli, żeby ci drudzy nie skończyli ze sobą jak pierwsi, bo wtedy decydujący argument nie zdążyłby do nich dotrzeć. Podług współczesnego filozofa — zwałego się Tiurr Mōhōhōt — szaleństwo to miało dwie strony. Dobra była

\* fragment powieści pod tym samym tytułem



taka, że filozofią zajmował się ten tylko, kto traktował ją ze śmiertelną powagą. Zła oczywiście taka, że argument samobójstwa nie ma rzeczowej wartości i stanowi formę szantazu, a nie przekonywania o racjach. Niektóre szkoły jak paletyńska mocno się przetrzebiły od tego procederu, a w powszechną wściekłość wprawiali pozostałe solipsyści. Argument się ich nie imal, skoro świat jest podług nich jedynie złudą umysłu, nikt zatem nie popełnia samobójstwa naprawdę, a jedynie to się tylko tak zdaje, nie ma zatem powodu, by się przyjmować.

Ta ponura aberracja trwała kilkadziesiąt lat. Widać w niej najpierw tylko zbiorowe szaleństwo, świadczyła jednak o intensywności, z jaką uprawiano już wtedy rozmyślenia nad naturą świata. To, że samostraceńczych filozofów u nas nie było, świadczy może o naszej większej trzeźwości, ale nie przesądza niczego w obrębie głoszonych systemów. U nas największy bodaj wpływ na cały rozwój ontologii wywarł Platon. Umysłem równej pewno mocy, lecz o całkiem odmiennej postawie, był Xirax, twórca ontomizji, doktryny głoszonej, że Natura jest zasadniczo Nieżyczliwa. Jego naczelny wywód jest tak związany, że przepiszę go w całości. W czterdziestym roku Nowej Ery pisał:

„Bezstronny to obojętny albo sprawiedliwy. Bezstronny daje równe szanse wszystkim, a sprawiedliwy mierzy wszystko tą samą miarą.

1. Świat nie jest sprawiedliwy, bo:

Łatwiej w nim niszczyć, niż tworzyć;

Łatwiej dręczyć, niż uszczęśliwić;

Łatwiej zgubić, niż ocalić;

Łatwiej zabić, niż ożywić.

2. Xigronaus głosi, że to żywi dręczą, gubią i zabijają żywych, a więc nie świat jest im nieprzychylny, lecz oni wzajem. Lecz i ten, kogo nikt nie zabije, musi umrzeć, zabity przez własne ciało, które jest ze świata, bo skądże? Powiemy zatem: świat jest niesprawiedliwy dla życia.

3. Świat nie jest obojętny, skoro:

Budzi nadzieję trwałości, niezmienności i wieczności, nie jest jednak ani trwały, ani niezmienny, ani wieczny: oznacza to, że jest zwodniczy.

Daje się zgłębić, lecz wprowadza zgłębiających go w poznawanie bez dna; znaczy to, że jest perfidny.

Pozwala się opanować, lecz tylko w sposób zawodny.

Ujawnia swe prawa, oprócz prawa niezawodności.

Ukrywa je przed nami. Oznacza to, że jest złośliwy.

Powiemy więc: świat nie jest obojętny wobec Rozumu.

4. Narzarox głosi, że albo Bóg istnieje i wtedy jest Tajemnica, albo nie ma ani Jego, ani jej. Odpowiemy: jeśli Boga nie ma, tajemnica pozostaje, ponieważ jest tak:

Jeśli Bóg istnieje i stworzył świat, to wiadomo, KTO uczynił go niesprawiedliwie stronnym, takim, w którym nie możemy być szczęśliwi. Jeśli Bóg jest, lecz nie stworzył świata, albo jeśli GO nie ma, Tajemnica pozostaje, bo nie wiadomo, skąd się bierze nieżyczliwa stronność świata?

5. Narzarox mówi za starożytnymi, że Bóg mógł stworzyć poza światem szczęśliwy zaświat. Jeśli tak, to po co stworzył ten świat?

6. Austezaus głosi, że mędrzec zadaje pytania, aby na nie odpowiedzieć. Tak jest: zadaje pytania, a odpowiada na nie świat. Czy można sobie wyobrazić inny świat niż ten? Są dwa takie światy. W bezstronnym niszczyć byłoby równie łatwo jak tworzyć, zgubić jak ocalić, zabić jak ożywić. W powszechnie życzliwym czyli dobrostronnym łatwiej byłoby ocalać, stwarzać lub uszczęśliwiać, niż gubić, zabijać i dręczyć. Takich światów nie można zbudować w tym świecie. Dlaczego? Ponieważ on nie daje na to zgody”.

Doktryna ta, zwana Doktryną Trzech Światów, była wielokrotnie rewidowana i interpretowana za życia Xiraxa i po jego śmierci. Jedni z jego uczniów uważali, że Bóg nie mógł stworzyć lepszego świata, bo ma granice, inni natomiast, że nie chciał. Dawalo to asumpt do uznawania Boga już to za był nieostateczny, czemuś podległy, już to za niedoskonale dobry, było jednak wykładni znacznie więcej. Cesarz Zixizar skazał Xiraxa za głoszenie Doktryny Trzech Światów na najśrodszą karę — dwa lata śmierci, jako powolnych mąk, zadawanych przez medykatorów (kat musiał mieć w cesarstwie medyczne umiejętności), z taką pieczołowitością, że nie powodowały przedterminowego zgonu; skazańca na przemian torturowano i leczono.

Najmocniejsze argumenty wytoczył przeciw doktrynie Xiraxa jeden z twórców chemii w dolnym średniowieczu, Rahamasterax. Dowodził, że zarówno w świecie neutralnym, jak przychylnym życie rozmnażałoby się lawinowo, więc w obojętnym, wypełniwszy go, uległoby rychło samozadławieniu, a w życzliwym musiałoby mieć jakieś specjalne ograniczenia, powściągające samozgubny rozplem. Tym samym świat rzekomo obojętny okazałby się śmiertelną pułapką, a życzliwy — więzieniem, bo wszak ono ogranicza swobodę wszelkich poczynań. Dowód ten wsparł jednak pośrednio ateistyczny trzon nauki o Trzech Światach, umacniał bowiem w bezbożności, unaoczniając wichrowatość świata względem życia, które, jako w nim przypadkowe, zdane jest tylko na siebie. Toteż i Rahamasterax zapłacił za swe dzieło życiem, lecz jako mniejszy winowajca został litościwie ścięty. Ostatni swój renesans przeżyła teza Trzech Światów w nowożytności, podczas burzliwego rozwoju fizyki grawitacyjnej. Houshorux, który był Einsteinem Encjan, sformułował rzecz prosto: aby odpowiedzieć, dlaczego świat jest taki, jaki jest, trzeba pierwszej rozważyć, czy możli-

wy jest inny, co mógłby zrodzić życie (gdyby nie mógł, nie byłoby w nim nikogo, a to likwiduje problem). Na tak postawione pytanie nie da się odpowiedzieć n i g d y, projekt innego świata równa się bowiem projektowi innej fizyki. Do tego trzeba pierwiej definitywnie poznać fizykę naszego świata, czyli ją zamknąć w formułach krańcowej prawdy, lecz tego zrobić nie podobna. Tu właśnie powraca Tajemnica starożytnych filozofów, nie wiemy bowiem, czemu świat (więc fizykę) zgłębia się bez kresu. Skoro żaden umysłowy model nie może jej zamknąć w sobie ostatecznie, znaczy to, że rozum i świat nie są do końca przywiedlne. Podejmowane później próby dowodu, że właśnie tak musi być w każdym świecie, nie powiodły się i ostatni sąd, przy którym stoi encjańska filozofia, opiewa: nie ma dowodu ani na trwałą wichrowatość świata i rozumu, ani na nieprojektowalność takich fizyk, co zarazem inne są od realnej i przewyższają ją w opiekuńczości okazywanej życiu. Czterdziestodwuwiekowa bitwa o postawienie światu ostatecznej diagnozy zakończyła się remisem podług jednych, a przegraną wedle drugich.

Niemniej miała ona ogromny wpływ na kierunek cywilizacyjnego rozwoju Luzanii i pomniejszych państw, leżących na północy, które podlegały jej wpływom. Niezaprzeczalnie cała koncepcja etykosfery opiekującej się bezbłędnie społeczeństwem pochodzi od „Trzeciego Świata” Xiraxa i echo jego argumentacji pobrzmiwa zarazem w diatrybach, co utraciły podjęte wcześniej projekty przekształceń autoewolucyjnych Encjan.

Zażarte dyskusje wokół tego projektu wzburzały przez kilkanaście lat opinię publiczną. Filozofia nie upadła na Encji tak nisko, jak się to stało u nas w wieku nauki. Świadczy o tym udział filozofów w starciach rzeczników autorewolucji z jej przeciwnikami, a przede wszystkim rola, jaka przypadła Xixoqtowi w ukazaniu tak zwanego paradoksu autoewolucyjnego. Pospolicie zwie się go paradoksem Xixoqta.

Każdy chciałby mieć piękne i rozumne dziecko. Nikt natomiast nie chce mieć za dziecko rozumnej i pięknej maszyny cyfrowej, nawet gdyby miała być sto razy bardziej inteligentna i krzepka od dziecka. Otóż program autoewolucji to śliska pochyłość bez zastawek, wiodąca ku otchłani nonsensów. Jest on w pierwszej fazie skromny — zmierza do usuwania genów, zmniejszających żywotność, powodujących ułomności, mankamenty dziedziczne itp. Lecz tak wszczęte naprawy nie mogą się zatrzymać przy żadnym osiągniętym stanie, bo i najzdrowsi chorują a najmędrsi ulegają starczemu marazmowi. Ceną za usuwanie i tych niedostatków będzie stopniowe odchodzenie od naturalnego planu budowy organizmu, utrwalonego ewolucyjnie. Tutaj pojawia się w autoewolucyjnym działaniu paradoks łysego. Po wyrwaniu jednego włosa nie powstaje łysina i nie można wskazać, ile włosów należy wyrwać,

żeby powstała. Zmiana jednego genu na inny nie przekształca dziecka w istotę obcego gatunku, lecz nie można wskazać miejsca, w którym powstanie nowy gatunek. Gdy traktować ustrojowe funkcje oddzielnie, usprawnienie każdej wyda się pożądane: krew odżywiająca tkanki lepiej od naturalnej, nerwy nie ulegające zwyrodnieniom, bardziej odporne kości, oczy, którym nie grozi ślepotą, nie wypadające zęby, nie głuchnące uszy i tysiąc innych cech cielesnej niezawodności warto by mieć ponad wszelką wątpliwość. Lecz jedne udoskonalenia muszą za sobą pociągnąć inne. Spotęgowane mięśnie wymagają potężniejszych kości, a szybciej pracujący mózg — głębszej pamięci; gdy następny etap melioracji będzie tego wymagał, zwiększy się pojemność czaszki i jej kształt, aż nadejdzie czas, kiedy przyjdzie sam białkowy budulec zastąpić bardziej uniwersalnym, wtedy bowiem sprawności ustroju pójda skokiem w górę. Ustrój niebiałkowy nie boi się żaru, promieniowania, przeciążeń astronautycznych, ustrój bezkrwawy, w którym utlenianie zachodzi wprost dzięki wymianom elektronów bez prymitywnego pośrednictwa krwiobiegu o ileż mniej będzie uciążliwy i śmiertelny, i takimi przekształceniami rasa wykroczy poza nałożone na nią ograniczenia planetarnego łożyska. Te kolejne kroki prowadzą wreszcie do istoty, zbudowanej może bardziej harmonijnie, znacznie odporniejszej na przeciwności i urazy od człowieka czy Encjanina, do istoty daleko bardziej wszechstronnej, rozumnej, chyżej, trwalej, w granicy nawet nieśmiertelnej dzięki łatwej wymianie zużytych organów i zmysłów, do istoty, która poradzi sobie z każdym środowiskiem i z każdą zabójczą dla nas sytuacją, która nie będzie obawiała się raka, głodu, kalectwa, uwiadu starczego, bo nie będzie się wcale starzała, i będzie to istota prawdziwie udoskonalona dzięki technikom poprawczym, przyłożonym do całej masy dziedziczności i do całego ustroju — z tym jednym zastrzeżeniem, że ta istota będzie akurat tak podobna do człowieka, jak maszyna cyfrowa lub traktor. Paradoks w tym, że nie można wskazać miejsca, w którym następny krok okazuje się już nie do postawienia, każdy bowiem przybliży do ideału sprawności, lecz tym ideałem jest stwór zupełnie już nieludzki.

Skoro takiego miejsca, takiej nieprzekraczalnej granicy nie ma, po cóż właściwie te syzyfowe roboty, rozciągnięte na wiele pokoleń? Skoro dane pokolenie samo się nie przemienia, lecz wprowadza zmiany w potomstwo, czyż nie prościej i lepiej od razu usynowić maszynę cyfrową albo cały ośrodek obliczeniowy? Przecież rozłożenie optymalizacji na następujące po sobie generacje to zwykły kamuflaż, transakcja gatunkowego samobójstwa na raty, więc dlaczegoż by właściwie samozagłada na raty miała być czymś lepszym od natychmiastowej? Tylko ten, kto się godzi na usynowienie ośrodka obliczeniowego na nogach (czy też na poduszce raketowej), może bez obawy

i zastrzeżeń rozpocząć preparowanie własnego potomstwa, skierowane ku doskonałości prawnuków. To, co nam patrzy na całkowity absurd jako usynowienie jakiegoś pancernokryształowego układu, z którym można rozmawiać o sprawach nieba i ziemi, wydaje się mniej absurdalne, kiedy przejście od stanu naturalnego do zoptymizowanego odbywa się na wielopokoleniowej przestrzeni, długą serią zmian wprowadzanych stopniowo, lecz absurd powraca, kiedy scałkować ten ciąg. Czyż bowiem autoewolucja ma być kuracją odwykową od zestroju cech człowieczeństwa? Czyż nie jest w gruncie wszystko jedno, KTO będzie potomną maszyną cyfrową — układ zbudowany w całości przez techników, czy też przepuszczany przez zrazu żywe macice, a potem przez jakiegoś uteratory? Kto daje zgodę na autoewolucję, ten zgadza się na likwidację własnego gatunku i przejście cywilizacyjnego dziedzictwa przez istoty pod każdym względem nam obce, ponieważ jesteśmy ułomni, śmiertelni, ograniczeni w myśli i w czasie, więc niechaj się zwolennicy perfekcji wyzbęda fatygi za jednym zamachem, adoptując całość myślącej technologii planety. Bo niby czemu miałyby nas zastąpić oddzielnie jednostki systemowe, wszak jeszcze sprawniejszy będzie od nich planetarny krystaliczny mózg, nasz potomek, dziedzic i spadkobierca!

Xixoqt głosił w polemicznym ferworze, że kto uprawia autoewolucję, jest jak ten, kto zabija upatrzonemu nie od razu, lecz powolnie dozowanymi dawkami trucizny, żeby się przyzwyczaić do obrazu agonii. Jego ironiczne hasło „Genżynierowie wszystkich krajów, adoptujcie komputery!” poważnie zdyskredytowało ów wielki projekt Encjan. Na każdy kontratak genżynierów miał gotową kaśliwą odpowiedź. Chcą zachować zewnętrzne podobieństwo udoskonalonych do nas? — wołał. — Jakież to ma inne znaczenie prócz fałszerskiego — chodzi o biegłość w produkcji falsyfikatów! Podobieństwo to ma uspokajać umysły, że niby tylko niewidzialne wnętrze zostanie udoskonalone, powierchowność natomiast wcale się nie zmieni. A więc wypychajcie manekiny komputerami, wszak wyjdzie to samo!

Genżynieria, dowodził, tym bardziej staje się absurdalna, im MNIEJ ma ograniczeń. Kto zdobył tylko umiejętność drobnych retuszów, mało zdobył i niczemu nie zagraża. Spoza takich upiększeń świta nadzieja lepszego bytu, jakim obdarzymy potomstwo. Genżynierowie powołują się na to, że przodkami naszymi były ptaki wirydożerne, brodzące wielkie bezloty, do których jesteśmy niezbyt podobni ciałem i duchem. Skoro więc nie upatrujemy, mówią, nic złego w tamtym pradawnym przejściu od niższej fazy ptasiej do wyższej rozumnej, analogicznie winniśmy postawić następny krok!

Analogia jest fałszywa, podobieństwo skłamanie, bo ptasi przodkowie Encjan nie stali przed żadnym wyborem, my na-

tomiast stoimy. Przywilejem ich była ignorancja i bezświadomość: obie utraciliśmy bezpowrotnie. Odrzucając śmiertelną powłokę, odrzucamy siebie samych, a dodatkowym nieszczęściem okazuje się zdobyta wolność w projektowaniu usprawnień. Możliwe są liczne i różne. Będą więc współzawodniczyły rozmaite projekty Homo Novus Entianus i na jeden prototyp będzie się trzeba zdecydować (wielość dowiodłaby wszak do ich wzajemnego starcia). Znaczy to, że zdobędziemy potomstwo podług uzgodnienia, jakie poweźmiemy; lecz postanawiając, że nasze dzieci mają być takie a takie, oszukamy się, gdyż wszystko jedno, czy mają do nas przybyć z gwiazd, by wziąć w posiadanie Encję, czy z retorty. Samozagładę można oczywiście rozważyć, jak wszelką inną rzecz, ale bez fałszywych pozorów i kłamliwej prawdzie charakteryzacji.

Sporo napisałem o tej umysłowej wojnie, bo jak zapewniają historycy, miała kluczowe znaczenie dla późniejszego zbudowania etykosfery. Pojęcie Boga przeszło w toku dziejów Encjan szczególną ewolucję. Pierwotnie był utożsamiany z przyrodą: ona była Nim, jego pełnym wcieleniem, jednym z wielu kolejnych. Ciała niebieskie były Jego członkami, a żywe istoty — myślami wyższymi i niższymi. Najwyższymi były istoty rozumne, więc sami Encjanie. Ta autodeifikacja wymagała doraźnych wyjaśnień — jak to może być, że jedne boże myśli niezgodne są z innymi, a nawet je zabijają? Tłumaczenie było proste: będąc Wszystkim, Bóg może mieć wszechmożliwe myśli, więc także i złe, którym dobre oponują, bo jeśliby miał tylko dobre, nie byłby Wszechrzeczą. Dopóki instytucje religijne utożsamiały się z państwowymi, wykładnia ta wystarczała, gdyż władza zarazem świecka i duchowa decydowała o tym, jakie myśli Boże (= jacy obywatele) są złe, a jakie dobre. Lecz w łonie tej kosmiczno-państwowej religii zrodziły się herezje Mizjan, Teokryptów i Serwistów.

Podług Teokryptów Bóg wciela się w ludzi jedynie najniższą częścią swego jestestwa, a zadaniem ich jest doskonalić się, dzięki czemu stają się coraz wyższymi cząstkami Bożego umysłu. Ani mogą Go pojąć, ani Go przedstawiają w całości, jak palec nie reprezentuje całego ciała, a jedna myśl nie zdoła ogarnąć całego umysłu. Wedle Mizjan Bóg jest z swej natury „ponadludzki”: nie w tym sensie, jaki przypisywano im podczas prześladowań, jakoby utrzymywali, iż On jest zły po prostu, lecz w tym, że Bóg zwrócony jest ku sprawom Encjan nieposiężnych, a zadanie Kościoła, to zadanie busoli, by orientację umysłów uzgadniała z nieobejmowanym kierunkiem Bożych działań. Natomiast Serwiści uważali Boga za Stwórcę tego świata przede wszystkim, bez względu na to, czym miałby się ponadto zajmować, i z tego tytułu przypisywali mu całkowitą odpowiedzialność za wszystko w świecie. Bogu należała się miłość w takiej niebezkrytycznej mierze, w jakiej niósł tę odpowiedzialność, gdyż, jak

to wyraził naiwnie Mixiquix, szewc, który stworzył milion śpiewających cudnie chmur i jedną parę marnych butów, nie jest dobrym szewcem bez względu na to, jak pięknie by te chmury śpiewały. Został za to rozpalonymi cęgami rozerwany na sztuki przed cesarzem Sxem (Sx szczycił się swym krótkim mianem, ale to jest osobna sprawa, i myślę, że będę rozsądny, pomijając całą toponomastykę encjańskich zawodów i jej związki z pełnionym zawodem, bo tam pełniony zawód odciska się w nazwisku).

Prócz tych głównych powstały herezje pomniejsze, na przykład fragistów, uważających, iż Bóg stworzył świat, lecz kreacja nie udała mu się ze wszystkim, ponieważ będąc nieskończenie dobrym, nie chciał stworzonych niewolić do niczego, więc do samego tylko dobra też i przez to dał im więcej wolności, niż mogli jej podźwignąć. Doktryna ta jest (jak mówią) najbardziej jeszcze podobna do nauki o grzechu pierworodnym i upadku, z tą różnicą, że przypisuje winę za upadek praludzi kolizjom dobroci Bożej z Bożą zręcznością kreacyjną. Fragizm przyjmuje bowiem milcząco, że Bóg rzeczy wzajem sprzecznych stwarzać NIE może — jako ożenku zupełnej dobroci z zupełną wolnością czynu, więc tym samym pokazuje się, że nad Bogiem sprawuje władzę logika, która nie dopuszcza współzachodzenia wykluczających się logicznie stanów, co wytycza granice Wszchemocy — lecz autorzy owej herezji nie zdawali sobie z tego sprawy.

Za początek ery nowożytnej uznają Encjanie lata 1811—1845. Jawność — czy może raczej literalność — wszystkiego, co działo się w cesarstwie — uległa pochłonięciu przez rządy czterech pseudocesarzy, zwanych grafoklastami. Wszczęta spaleniem wszystkich kronik wraz z kronikarzami, grafoklazja osiągnęła taką doskonałość, że początków jej niepodobna ustalić. Spośród apokryfów, podających, jak do tego doszło, na chybił trafił podam uwardzki. Xixar, kolejny władca z dynastii Xixów, miał ponoć we zwyczaju każdego dnia przed pierwszym posiłkiem kłaść w bestiarium umyślnie głodzonego i przez to rozjuszonego kurdla. Przy pierwszym szczwacu korony kurdel miał go wtrącić do pustej studni, czy też Xixar sam się w niej schował przed szarżującym potworem, który oddał do jamy urynę, by wyniosła schowanego na wierzch. Szczwacz zabił monstrum i wydobyl pana z opresji, wszelako pojął zaraz, że przyplaci to życiem, ów bowiem będzie musiał, przez wzgląd na rację stanu, ściąć ratowniczego świadka swej hańby. Jako zwyczajny szybkich decyzji myśliwskich, szczwacz wtrącił Xixara na powrót do pełnej studni i potrzywał w niej aż do zgonu, poczem sam wstąpił na tron jako Xixar. Nie musi to być zupełnym zmyśleniem, gdyby się był zmienił odzieżą z zabitym, bo Encjanie tej epoki zakrywali twarz, jak my osłaniamy wstydlive okolice ciała. Ponoć rzecz rychle wyszła na jaw, jednakowoż wielu możnych dworaków

stanoło przy Pseudoxiarze, widząc w tym swój profit. Działając nader chytrze, jednocząc się z jednymi przeciw drugim, udoskonalił absolutną władzę absolutnym przeinaczeniem wszystkich n a z w, bezpośrednio czy choćby pośrednio tylko związanych z rządem. Czy sam stwierdził, że nie ma żadnej różnicy między władaniem autentycznego Xixara i byłego zamiatacza bestiarium, czy też podszepteli mu to cyniczni doradcy, nie wiadomo. Grafoklazja zwała się politycznym przedłużeniem prawdy; Pseudoxixar — po prostu nadal żyjącym Xixarem; przybrał on sobie przydomek Pierwszego Miłośnika Ludu i zniósł karę śmierci oraz dotąd stosowane w jurysdykcji tortury; jednakowoż osoby złe widziane przez dwór lub policję (ale zwała się już Zrzeszeniem Siewców Łagodności Publicznej) znikwały w niewiadomy sposób lub ulegały nieszczęśliwym wypadkom, a udręki zadawali tak zwanym Niechętnikom oraz Podlistom zbójce, jakoby nasadzani przez Siewców Łagodności. Przyszedł zarazem kres wypowiedaniu wojen, a potem i samym wojnom, bo kronikarze cesarscy zwali je stawianiem czoła wrażym zakusom; to, że owe zakusy żywiło kilkanaście państweczek mniejszych od poszczególnych prowincji Cesarstwa nikogo nie dziwiło, a jeśliby i dziwiło, to nie długo. Szczególnie zajadłych niechętników, zwanych nawiedzonymi niecnikami lub nawiedzencami, sam lud rozdeptywał na środku miasta, ponoć z wielką skwapliwością. Nie dało się ustalić, jak długo panował Pseudoxixar, bo oficjalnie zgon jego nie został nigdy podany do publicznej wiadomości. Przez dwieście lat śmierć kolejnych władców utajniano jako rzecz niezgodną z wyższym porządkiem rzeczy.

Politologia luzañska wyjaśnia, że rządy Pseudoxixarów były miejscowym objawem prawidłowości powszechnej w Galaktyce. Każda cywilizacja przechodzi co najmniej w części i a z e w e r o z j i — erozji prawdy, choć niekoniecznie w tej właśnie grafoklastycznej postaci, jak to było u nich. Werozja przyjmuje rozmaite formy, lecz występuje wszędzie w podobnym okresie historycznym, mianowicie podczas embrionalnej industrializacji. Zdesakralizowana władza słabnąc wspiera się na hierarchii administracyjnej, tworzącej m i r a z e (pseudoobrazy) społecznych stanów, idealizując rzeczywistość w wykładniku zależnym od aktualnych wierzeń, ale to są wierzenia biurokratyczne, a nie religijne. Niekiedy zwą ten fenomen samoludzącym ludzeniem albo też autofatamorganą. Wiarę w nadprzyrodzoną moc władców zastępuje policja, a zarazem rosnący wpływ krążenia informacji na całość życia tworzy pokusę jej monopolizowania. Monopole ekonomiczne oraz informacyjne są różne co do zawłaszczanych nimi obiektów, lecz podobne w zakresie zjawisk, jakie wywołują: prowadzą do socjalnej oscylacji. Albo dominują drgania ekonomiczne (rozkwit-kryzys), albo informacyjne (prawda-falsz). Pociaszanie zmyśleniem to najprostszy stabilizator struktur społecznych, zresztą ma on

tę dobrą stronę, że wiele trwoźnych oczekiwań opartych o znajomość deprymujących faktów jednak się nie spełnia, więc trzymając te fakty pod korcem, oszczędza się ludziom nerwów. Łatwo atoli przebrać miarę w tym procederze. Syndrom auto-fatamorgany (zabajczenia) oznacza zarażenie się fikcją samych wytwórców fikcji; prowadzić może do tak zwanego zupełnego wewnętrznego odbicia i pochłaniania w biurocyrkulacji do socjo-schizofrenii (jedno mówią, w drugie wierzą), oraz jeszcze bardziej powikłanych zjawisk informatyki patologicznej. W normalnej (przeciętnej) cywilizacji zanieczyszczenie środowiska informacyjnego fałszem sięga 10—15%; gdy przekracza 70%, pojawiają się drgania typu dudnień w cyklach 12—15-letnich, a powyżej 80% odfiltrowanie czystej prawdy staje się niemożliwe i rozpoczyna się kollaps. Żeby go uniknąć, trzeba nolens volens zamrażać naukę, bo rozwój jej koliduje z rozwojem werozji. Obie te rozwojowe drogi rozchodzą się w końcu definitywnie i powstają tak zwane widły Siraxosa (do socjomatyka, który je wykrył). Trzeba poświęcić dalszy rozwój wiedzy na rzecz werozji lub na odwrót, groźną, iluzją jest bowiem wyobrażenie, jakoby można utworzyć zamkniętą enklawę prawdy wewnątrz powszechnego fałszu jako wyspę oddanej autentycznemu poznaniu nauki w dezinformowanym społeczeństwie. Nigdzie się to nie udało dłużej niż 90 do 100 lat. Nie ma też statecznego kompromisu między alternatywami. Kto usiłuje stawiać i Bogu świeczkę, i diabłu ogarek, wychodzi na tym jak Zabłocki na mydle, zyskując w efekcie marne kłamstwa i marną naukę. Tłumione oscylacje powodują tak zwane usłizgi boczne w irracjonalizm, pseudodemencję itp. Im większe przyspieszenie cywilizacyjne, tym trudniej trzymać osobno informację oraz dezinformację; całość społeczna drga pomiędzy pseudorzeczowością i pseudowiarą jako stanami skrajnymi. Dudnienia takie (bo falowania ekonomiki nakładają się na informacyjne, a że nie są one synchroniczne w fazie, powstaje interferencja, dająca rezonans i dudnienie) wystąpiły w cesarstwie luzańskim na schyłku XIX stulecia i roztrzaskały je, niczym potężnie uderzony ton, który wprawiając w rezonans szklanke, powoduje jej rozprysnięcie. Doszło do kolejnych dwu rewolucji i przedzielających je dekad zamętu zwanych w tradycyjnej historiografii chaotyckim anarchizmem.

Stanisław Lem

ANDRZEJ STOFF

## TO, O CZYM SIĘ NIE WSPOMINA

*Powrót z gwiazd* Lema czytałem wielokrotnie, nie licząc powrotów do tej powieści w poszukiwaniu rozstrzygnięć różnych spraw szczegółowych i wsparcia zawodnej przecież pamięci. Kolejne lektury przynosiły trwające czas jakiś wrażenie, że dobrze rozumiem, o co w tej powieści chodzi, jakie jest jej myślowe przesłanie. Ale rychło pojawiała się wątpliwość: zawsze w końcu czegoś mi brakowało, coś istotnego wymykało się rozpoznaniu i budziło niepokój. Było to tym bardziej zastanawiające, że powieść nie jest skomplikowana ani w warstwie sensów, ani w swym kształcie formalnym. W przeciwieństwie do innych utworów Lema wydaje się jednoznaczna. Wrażenie to jest rezultatem niezwykle szczegółowego nakreślenia obrazu świata przyszłości. W żadnym innym utworze autor ten nie poświęcił tyle uwagi i wysiłku rysowaniu wizji Ziemi i społeczeństwa, co w *Powrocie z gwiazd*. Czytelnik otrzymuje obraz niezwykle barwny, plastyczny i przekonywający; niezwykle jasno rysują się także zasady warunkujące obserwowany kształt świata. Tajemniczość, zagadkowość, niezwykłość — te kategorie, które tak mistrzowsko funkcjonowały w *Edenie*, *Niezwykniętym*, *Solaris*, tu nie obowiązują. Pozostaje wprawdzie obcość, ale nie ma ona wymiaru kosmicznego, jak w powieściach o nieudanych próbach nawiązania kontaktu z obcoplanetarnymi cywilizacjami, lecz psychologiczny.

*Powrót z gwiazd* jest opowieścią o zagubieniu w nie swoim świecie, o konfrontacji dwu koncepcji rzeczywistości, konfrontacji wymuszonej, nieodwołalnej, w której jednostka — reprezentująca jedną ze stron — zdana jest wyłącznie na samą siebie. Dramatyzm tej samotności określa wyjęcie z naturalnego biegu historii i przeniesienie w nie swój czas, a więc i w nie swój świat. Bohaterem powieści jest Hal Bregg, astronauta, który wskutek relatywistycznych efektów czasowych powrócił z wyprawy do gwiazd jeszcze w pełni sił, by zastać Ziemię starszą o lat sto trzydzieści. Rozziew między światem, jaki pamięta bohater (a który, jak można sądzić, poza znacznie bardziej zaawansowaną techniką astronautyczną niezbyt różnił się od tego, w którym żyjemy) i światem, do którego powraca, nie daje się jednak mierzyć wyłącznie kalendarzem. Między światem, który go wydał, a rzeczywistością, w którą będzie musiał wrosnąć, zerwane zostały wszelkie naturalne więzy. Podczas trwania wyprawy rozwój cywilizacji ziemskiej nie dokonywał się w sposób naturalny, ewolucyjnie — jego kierunek został zmieniony w drodze obejmującego całą planetę eksperymentu.

Dla Bregga kontakt z wytęsknioną Ziemią zaczyna się przeraźliwą pustką niewiedzy i dojmującym poczuciem obcości

i zagubienia. Ponad cywilizacyjną przepaścią bohater będzie musiał przetrwać pomost zrozumienia i zgody na nową rzeczywistość. To dlatego *Powrót z gwiazd* staje się przede wszystkim opowieścią o „poszukiwaniu utraconego czasu”. Jest to relacja nie tylko z konfrontacji, ale z poznawania i odzyskiwania Ziemi. Były astronauta podejmuje trud zasypania przepaści i rekonstrukcji ogniw łączących dwa światy, w których dane mu było żyć. Czyniąc swego bohatera również narratorem Lem zyskał wyjątkowo dobrego i wiarogodnego przewodnika dla czytelników. Równie jak Bregg zaskoczeni odmiennością świata, z sympatią i lękiem obserwujemy jego wysiłki, by zrozumieć i pokochać Ziemię.

Przede wszystkim chodzi jednak o to, by zrozumieć, bo miłości do ojczystej planety bohater nigdy nie utracił. Dopiero pod wpływem doświadczeń powrotu zmieszala się ona z lękiem przed bezdomnością. To dlatego we wszystkich poczynaniach Bregga tyle jest dobrej woli i wybaczenia, które skwapliwie gromadzi wszystko, co przywraca poczucie zakorzenienia, pewności bycia u siebie. Bo były astronauta od początku zdecydowany jest, przeciwnie niż jego koledzy, pozostać tu, gdzie się urodził i skąd kiedyś wyruszył do gwiazd. Pragnienie zrozumienia nowej rzeczywistości ma nie tylko sens poznawczy. Bregg pragnie odbudować zaufanie do świata, który najpierw wysłał go w kosmiczną misję, a potem przyjął w sposób dowodnie wykazujący misji tej zbędność. Poznając historię zaczyna rozumieć teraźniejszość, a rozumiejąc może ponownie włączyć się w losy Ziemi i ocalić siebie.

Antyastronautyczna wymowa tej powieści została dobrze podbudowana. W wymiarze psychologicznym ujawniają ją decyzje bohatera i towarzyszące im przemyślenia. W wymiarze problemowym powieści tendencję tę reprezentuje teoria Starcka obowiązująca w nowym świecie. Uznaje ona loty kosmiczne za najkosztowniejszą formę ucieczki od historii. Bezsensowność ofiary — nie z siebie, bo do takiego ryzyka zdolnych jest wielu ludzi, ale ze świata, którego wyrzec się trzeba całkowicie i nieodwołalnie. Loty kosmiczne narodziły się z chęci poznania, wyjaśnienia czegoś, z głodu Nowego, ale prowadzone w tej skali, która uruchamia już paradoksalne mechanizmy czasowe, służyłyby wyjaśnieniu czegoś nie cywilizacji, lecz sobie samemu. Cóż z rezultatów swej misji ma do zaoferowania społeczeństwu astronauta wracający na Ziemię po stuleciach, do pokoleń żyjących już zupełnie innymi sprawami.

W przypadku Bregga mit nieskończoności przegrywa z mi-tem domu. A przegrana to tym bardziej znamienita, że „dom” zatracił wiele, nieomal wszystkie, z dawnych cech, które stanowiły o przywiązaniu do niego. Pozostała jeszcze przyroda (aż dziw, że uchwalała się w stanie takim, w jakim ogląda ją podczas swej górskiej wędrówki bohater) i prawa płci, choć zmieniły się zupełnie reguły gry w tej dziedzinie (czy w stosunku do tego, co obserwujemy w nowym świecie, można jeszcze użyć określenia — miłość?). Hal Bregg decyduje się na tych podstawach odbudować swój związek z Ziemią.

Lem włączając swego bohatera w najrozmaitsze sytuacje życiowe, zasadnicze i zupełnie drobne, rejestrując jego reakcje i przemyślenia, prowadzi również czytelnika po tym wyobrażonym świecie. Ta wielość informacji służy, do czasu, wywoływaniu wrażenia pełni, kompletności przedstawianego świata, sugeruje jego realność, ale w momencie, gdy czytelnik zechce

zając się nim samym jako swego rodzaju utopijnym obrazem, te same informacje dają możliwość weryfikacji kreacyjnych założeń autora. Pamiętając o tym, że *Powrót z gwiazd* to eksperyment na człowieku nieprzystosowanym i próba odpowiedzi na pytanie o możliwość porozumienia dwu kultur, można przyjrzeć się wnikliwej społeczności, w której Bregg chce wrosnąć, światu, w którym chce znaleźć zadośćuczynienie za lata wśród gwiazd. Jaki jest naprawdę, widziany z zewnątrz, przez kogoś nie zainteresowanego? Przewodnictwo bohatera w zwiedzaniu tego świata przyszłości w pewnym momencie przestaje czytelnikowi wystarczać, więcej — zaczyna go krępować. Dysponując bogatym materiałem może pokusić się o własne zdanie, zdobyć na własną interpretację.

Przełot Bregga z bazy na Księżycu pozwala zorientować się w poziomie techniki komunikacyjnej, a dworzec raketowy staje się najlepszą wizytówką nowej Ziemi, streszcza jej odmiennosć, skomplikowanie techniczne i ubóstwo reakcji psychicznych, styl życia. Fakt niespotkania umówionego przewodnika daje pretekst do pozbawionej wyjaśniającego komentarza samotnej wędrówki i zderzenia się bohatera z coraz to nowymi sytuacjami pozwalającymi mu odczuć, do jakiego świata powrócił. W ten sam sposób, poprzez doświadczenia bohatera, czytelnik poznaje jeszcze wiele dziedzin życia. Ale nie tylko tak. Gdy Bregg otrząsnął się już z szoku nowości, pogrąża się w zachłannych lekturach szukając przyczyn zmian, próbując zrekonstruować historię i poznać to, czego nie może doświadczyć sam. Powstaje w ten sposób wszechstronny i zarysowany z wewnętrzną konsekwencją obraz społeczeństwa ekonomicznego egalitaryzmu, duchowego prymitywizmu, społeczeństwa dotkniętego atrofią uczuć, czule troszczącego się o bezpieczeństwo i wygodę w każdej dziedzinie życia.

Wszystkie jego cechy są konsekwencjami betryzacji — biochemicznego zabiegu, jakiemu od pewnego czasu poddawane są wszystkie nowo narodzone dzieci. Zabieg ten prowadzi do uwolnienia człowieka nawet od samej myśli o zadawaniu gwałtu, stosowaniu przemocy. Nie stwarza dodatkowych zakazów, lecz po prostu usuwa tkwiące gdzieś w głębi człowieka popędy. Likwidacja agresywności pociąga za sobą konsekwencje sięgające wszystkich spraw życia: wszelki gwałt musi być wyeliminowany z otoczenia człowieka. Prowadzi to do przebudowy kultury, tak by nic nie przypominało zła. W pierwszej chwili wygląda to nawet zachęcająco:

*Była to cywilizacja pozbawiona lęku. Wszystko, co istniało, służyło ludziom. Nic nie miało wagi, prócz ich wygody, zaspokojenia potrzeb oczywistych i najbardziej wyszukanych.*

Ten obraz ma, nieliczne na szczęście, niedostatki. Najpoważniejszy jest ten, że w nowym świecie Bregg nie ma właściwie partnera, jakiegoś adwersarza, z którym mógłby prowadzić spory. Jest sam, a po drugiej stronie znajduje się społeczeństwo. Żaden jego reprezentant nie został zindywidualizowany dostatecznie mocno, by mógł stanąć przeciw astronautce w obronie tego, co zrobiono, by zdolny był nawiązać rzeczowy dialog. Bregg kontaktuje się przede wszystkim z kobietami, mąż ostatniej z nich, Eri, wypada jako reprezentant nowego świata bardzo blado i nie wiadomo, czy jego przykład można uogólnić. Faktem jest, że cywilizacja pomyślana jako rezultat betryzacji bardziej odpowiada psychice kobiet niż mężczyźn, pozbawiając ich właśnie, a nie kobiety, zasadniczych dyspozycji.

redukując sferę działania do „bezpiecznych” uczuć. Męski świat reprezentują jeszcze wprawdzie doktor Juffon i matematyk Roemer, ale są to dostojni starcy, ostatni reprezentanci dawnych czasów, a nie typowi przedstawiciele nowego pokolenia. Jest także Olaf, przyjaciel Bregga i współtowarzysz gwiazdnej wyprawy, ale ten wybiera wkrótce inny los, nie mogąc pogodzić się z nowym kształtem Ziemi.

Kontakty z kobietami mają siłą rzeczy dość monotony charakter i służą autorowi głównie do wydobywania w scenach zbliżeń lęku przed „dzikusem z gwiazd”, podkreślenia kulturowego dystansu reprezentantów dwu epok. Jeżeli w końcu erotyzm pozwoli przezwyciężyć barierę obcości (Hal i Eri), to przyczyną tej sytuacji będzie początkowo nie miłość, lecz lek. Dopiero gdy reprezentantka nowego świata przyjmie dawne reguły gry, odkryje smak niepewności i urok ryzyka — stanie się pełnoprawnym partnerem uczucia. Dopiero w tym momencie narodzi się szansa prawdziwej miłości. Rzecz charakterystyczna: wyłom w konsekwencji nowego społeczeństwa następuje w dziedzinie najbardziej podstawowej, a nie w sferze rozstrzygnięć ideologicznych, czy w ogóle rozumowych, nawet nie w sferze materialnej, która różnym, nawet wyjątkowo stabilnym systemom gospodarczym zgotować może przykre zaskoczenie (coś może zagrozić cywilizacji, która podporządkowała sobie nawet grawitację), ale w sferze irracjonalnych odruchów, uczuć.

W tym momencie, gdy kończy się prezentacja świata, a zaczyna coś istotnego między dwojgiem ludzi — powieść się urywa. Chwila jest po temu nawet odpowiednia: odpowiedź na pytanie o możliwość odnowienia więzów ze światem zapowiada się pozytywna. Proces dojrzewania decyzji bohatera przedstawiony został przekonująco. Czegóż więc tu brak?

Czytelnik, który ma za sobą lekturę kilku choćby utopii, zwróci natychmiast uwagę na jeden zasadniczy brak w obrazie świata, jaki rysuje Lem. *Powrót z gwiazd* utopią wprawdzie nie jest, ale z tą odmianą piśmiennictwa dzieli podstawowa cecha — tworzy w oparciu o przyjęte założenia myślowe obraz nowej społeczności. Otóż podróżnicy, którzy odkryli utopię (taka jest zazwyczaj konwencja fabularna), zmierzali prędko lub później do stolicy idealnego państwa, na spotkanie władzy, której reprezentant bardzo często już w drodze wyjaśniał im zasady nowego ustroju. Tymczasem w powieści Lema, w tak wszechstronnie zarysowanym obrazie społeczeństwa brakuje choćby krótkiej wzmianki o politycznym kształcie świata. Nie ma urzędów państwowych (światowych?), niczego, co przypominałoby instytucje władzy. Nie ma nawet wzmianki o strukturyzacji społeczeństwa, co dziwić musi tym bardziej, że nawet tradycyjne utopie głoszące egalitaryzm materialno-konsumpcyjny wiele uwagi poświęcały grupie rządzącej, na przykład zastanawiając się nad cechami charakteru niezbędnymi do sprawowania władzy i wychowaniem mającym sprzyjać ich rozwinięciu.

Tę cechę rzeczywistości czytelnik zauważy być może nawet wcześniej, niż Bregg, który uświadamia ją sobie dopiero w toku studiów nad historią ziemskiej cywilizacji. Z tego pęknięcia w spójnym dotychczas obrazie wyziera coś, co stanowić może ostatecznie nie zwerbalizowaną w narracyjnej warstwie powieści, ale bardzo istotną, może nawet najbardziej prawdopodobną wykładnię rzeczywistości, która potrafiła porazić swą

niezwykłością zarówno powracającego z gwiazd astronautę, jak i czytelnika.

Brak czegoś nie zawsze jest świadectwem nieistnienia, może być po prostu brakiem informacji. A przyjęcie takiej perspektywy zmusza wręcz do dopisania powieści jeszcze jednego wątku myślowego — już tylko w oparciu o wnikliwą lekturę, podejrzliwość w stosunku do wszystkiego, co wydaje się oczywiste i w miarę własnych zdolności fantazjotwórczych czytelnika. Zabieg taki to wręcz konkurowanie z pisarzem, choć konkurowanie w jakiś sposób założone, wliczone w literackie ryzyko. Arugumentu na rzecz takiego postępowania dostarcza książka napisana dwa lata wcześniej — *Eden*. W niej właśnie motyw władzy kolportującej na użytek mas teorię własnego nieistnienia był jednym z zasadniczych elementów określających charakter edeńskiej społeczności, choć może elementem niknącym w pierwszej chwili w relacji z sensacyjnej przygody.

Ten motyw w *Edenie* wydobyty w krótkiej wzmiance w dialogu prowadzonym z tubylcem, sugestia bardziej niż gotowa teoria, nie potwierdzona przez przybyszów z Ziemi, w *Powrocie z gwiazd* spożytkowany został w sposób przewrotny. Stał się najistotniejszym, choć nigdzie nie nazwanym założeniem nowej rzeczywistości. Kiedy czytelnik uświadomi to sobie, spostrzeże, że wizja społeczeństwa zawarta w powieści ma charakter nie utopijnej propagandy, lecz ostrzeżenia przed zakamuflowanym totalitaryzmem. Świat, jaki obserwujemy, powstał przecież w wyniku eksperymentu przekraczającego swym zakresem i głębokością powodowanych zmian wszystko, co najbardziej pomysłowi i despotyczni dyktatorzy zdolni byli dotąd przenieść z sfery zamiarów w sferę faktów politycznych. Totalitarnego charakteru zmian nie powinny przesłaniać powszechny materialny dobrobyt i bezpieczeństwo osobiste.

Od tradycyjnych totalizmów system zaprezentowany w *Powrocie z gwiazd* różni się naukowym charakterem. Jego siła bierze się nie ze sprawności organizacji państwowej i siły instytucji represyjnych, lecz z powszechnego zastosowania rezultatów odkryć naukowych. Sprzyjające warunki dla globalnego eksperymentu stworzył właśnie postęp nauki i techniki. Dzięki niemu także było możliwe rozwiązanie jednej z najtrudniejszych kwestii społecznych — pracy. Społeczeństwo zostało uwolnione od jej obowiązku, a cały ciężar wytwarzania dóbr materialnych przerzucono na „mechaniczną armię pracy” — niezliczone rzesze robotów i urządzeń. W tym rysie antyutopia Lema przekroczyła śmiałością najśmielsze oczekiwania najbardziej optymistycznych utopii.

Eksperyment na ludzkości wykluczający pod groźbą niepowodzenia całego programu wyjątki od przyjętej reguły (nie-wielka grupa niebetryzowanych obywateli mogła w oparciu o zachowane instynkty, a zwłaszcza zdolność zadawania gwałtu, bardzo łatwo podporządkować sobie całe społeczeństwo) musiała być nie tylko opracowany od strony naukowej, ale także szczegółowo rozpracowany i konsekwentnie przeprowadzony. Musiała więc istnieć instytucja dysponująca siłą zdolną do egzekwowania nakazów. Musiała istnieć elita, która będąc wyjątkiem w nowym społeczeństwie, zachowała w swym ręku narzędzia skutecznej realizacji swych planów. Teoretycznie kres jej istnieniu powinno położyć zakończenie eksperymentu, czyli zakończenie betryzacji, co przy założonej technice (zabiegiem obejmowano wyłącznie noworodki) trwać musiało dłużej niż czas życia jednego pokolenia. A tu historia powiada, że zakoń-

czenie „misji dziejowej” nie staje się zazwyczaj końcem władzy jej głosicieli i realizatorów, że osiągnąwszy cel, przyjmują oni najchętniej rolę gwarantów zdobyczy i nadal tworzą elitę władzy. Więcej, wiadomo przecież, że ludzie pozbawieni możliwości rzeczywistego działania, bezpieczni już (jeżeli przeciwników udało się im przekonać lub pokonać całkowicie), tracą najlepsze swe cechy, nierzadko degenerują od nadmiernego spożywania owoców władzy. Elita taka powinna istnieć także w świecie opisywanym w *Powrocie z gwiazd*.

Bregg, poznając historię tego eksperymentu z książek, zwraca uwagę na znamieny fakt przemilczenia stanowiska opozycji, choćby tylko naukowej, wobec samych założeń biologicznej przebudowy społeczeństwa:

*Najbardziej niepokoił mnie brak opracowań krytycznych czy wręcz paszkwilanckich z ducha, jakiejś analizy, podsumowującej wszystkie ujemne skutki zabiegu, bo o tym, że musiały istnieć, ani przez chwilę nie wątpiłem; nie dla braku szacunku wobec badaczy, ale dlatego po prostu, że taka jest istota wszelkich ludzkich poczynań: nigdy nie ma w nich dobrego bez złego.*

Bohater słusznie widzi w tym świadomą manipulację strony czuwającej nad skutecznością eksperymentu, a nie zanik ducha dociekliwości czy choćby zwykłej przekory. Sprzeciw najbardziej zainteresowanych, to znaczy rodziców, istniał, choć w historycznych opracowaniach Bregg znajdował przede wszystkim wiadomości o dramatach psychologicznych jednostek i konfliktach pokoleń. Nie było w nich natomiast ani słowa o przyczynach tego gigantycznego i ryzykownego przedsięwzięcia, jak również o politycznych mechanizmach towarzyszących jego realizacji.

*Używano wszelkich środków, od fałszowania zaświadczeń lekarskich o dokonaniu zabiegów aż po zabójstwa lekarzy, którzy je wykonywali. Kiedy okres masowego oporu i gwałtownych starć minął, przyszło pozorne uspokojenie. Pozorne, bo wtedy dopiero wyłaniał się począł konflikt pokoleń. (...)*

*Był to czas wielkich tragedii. Betryzowana młodzież stawiała się czymś obcym dla własnych rodziców. Nie dzieliła ich zainteresowań. Brzydziła się ich krwawymi gustami. Na przeciwiąć ćwierćwiecza trzeba było wprowadzić dwa rodzaje czasopism, książek, sztuk teatralnych, jeden dla starego, drugi dla nowego pokolenia. Ale wszystko to działo się przed osiemdziesięciu laty. Obecnie rodziły się dzieci trzeciego betryzowanego pokolenia, a niebetryzowanych pozostała przy życiu garstka...*

Betryzację przedstawiono zapewne jako przełom w rozwoju ludzkości, jako historyczną konieczność i nieuchronny rezultat dojrzenia człowieka do nowych, doskonalszych form życia zbiorowego, a może wręcz jako poprawianie naturalnej ewolucji i triumf rozumu nad prawami natury. Jakkolwiek było, intencje eksperymentatorów nie musiały być zupełnie czyste, skoro historia Ziemi w epoce sprzed betryzacji uległa zdeformowaniu, tendencyjnej interpretacji. Dostarczano w ten sposób argumentów za zmianami, kiedy już i tak nie istniały siły zdolne je powstrzymać i uchylić ich konsekwencje:

*Kiedy z ust Eri słyszałem, jak uczą w szkołach dawnej historii, ogarniał mnie gniew, z trudem tylko powściągany. Były to, w tym ujęciu, czasy zwierzęcości i barbarzyńskiego, niepożądanego rozrodu, gwałtownych katastrof ekonomicznych i wojennych, a nieprzemilczane osiągnięcia cywilizacyjne przedstawiano jako wyraz tych sił i dążeń, które pozwalały*

*ludziom przewycięzać ciemność i okrucieństwo epoki; docho-  
dziło do owych osiągnięć niejako na przekór powszechnie  
wówczas panującej tendencji życia kosztem innych.*

Wątek ten utrzymuje w wyobraźni czytelnika nieuchronne ciemne zabarwienie i staje się tym bardziej ponury i zatrważający, im mniej otrzymujemy informacji. Jeżeli *Powrót z gwiazd* jest przede wszystkim powieścią o szansie nawiązania utraconego kontaktu, to ten rozwijający się gdzieś w fabularnych i myślowych podtekstach wątek ma wyraźnie antyutopijny, antytotalitarny, z ducha Huxleya i Orwella poczęty charakter.

Sprawa na tym się jednak nie kończy. Władza, jakkolwiek zresztą nazwiemy tę siłę, która przeprowadziła eksperyment w skali światowej, okazała się bardziej przewrotna i przewidująca od wielu historycznych sił dążących do przebudowy świata: przewidziała szansę odwrotu. Szansa ta została wkalkulowana w panowanie nad sytuacją. Jak odkrywa podczas swych lektur Bregg, betryzacja — nie był to zabieg na plazmie dziedziącej, jak się tego skrycie obawiałem. Zresztą, gdyby takim był, nie trzeba by betryzować każdego następnego pokolenia. Pomyślałem o tym z otuchą. Zawsze pozostawała, teoretyczna przynajmniej, możliwość odwrotu.

Powieść Lema nie daje pewnych przesłanek do wnioskowania o charakterze tych sił, które zdecydowały się na eksperyment i konsekwentnie go przeprowadziły. Mogła to być władza polityczna, biorąc pod uwagę czas akcji — jakiś rząd światowy czy ponadnarodowa organizacja. Betryzacja byłaby w tym wypadku sposobem zrealizowania marzenia każdej władzy o poddanych nie sprawiających rządzącym kłopotu. Albo, co w tym świecie jest również możliwe, odpowiedzialność za nowy kształt świata spoczywa na ludziach nauki, którzy — mając odpowiednie środki naukowe i finansowe — zapragnęli eksperymentalnie sprawdzić, jak wyglądałaby realizacja marzenia człowieka o dostatku i bezpieczeństwie. Wobec tylu nieświadomych nasuwa się jeszcze jedna wątpliwość: czy szansa odwrotu była strategią eksperymentatorów, czy koniecznością, przykrym ograniczeniem w sytuacji, gdy nauka nie potrafiła jeszcze zapewnić betryzacji dziedzicznej? Ale ta możliwość jest już zbyt ponura, by dłużej się nad nią rozwodzić.

Bregg, schodząc z gór po nocy spędzonej na rozmyślaniach, już pogodzony z Ziemią taką jaka jest, jeszcze nie podejrzewał, że dość zaskakujący fakt pozostawienia mu tak dużej swobody może być zarówno zabiegiem wychowawczym w intencji łagodnego, bezkonfliktowego włączenia go w ziemską społeczność, jak i... eksperymentem na nim. Może oto w ośrodku dyspozycyjnym nowego świata ludzie, którzy przyjęli na siebie odpowiedzialność za losy cywilizacji, doszli do przekonania, że z eksperymentu betryzacyjnego należy się wycofać, że gwałt na naturze, wyrastający z protestu przeciw jej niebezpiecznym i rzekomo nieracjonalnym cechom, prowadzi donikąd, a społeczeństwu grozi atrofia woli i w perspektywie — całkowita degeneracja. Postanowiono więc zakłócić, a właściwie zezwolić na zakłócenie dotychczasowej stabilizacji, by jednostki najbardziej wartościowe, nawet w formie buntu (czy Bregg nie uznałby betryzacji swoich i Eri dzieci za pozbawienie ich człowieczeństwa?), wprowadziły ożywczy prąd zmian.

Ta hipoteza, zakładająca istnienie nie ujawniającego się ośrodka władzy i traktująca losy bohatera jako rezultat nie tylko jego własnej woli, ale i manipulacji, umiejętnie masko-



wanej pozorami samodzielności, ma swoje uzasadnienie w powracającym co pewien czas motywie inwigilacji. Krytyczny stosunek Bregga do Adaptu — instytucji opiekującej się astronautami powracającymi z misji w celu wcielenia ich w normalny bieg ziemskiego życia — nie ma charakteru wykoncypowanej decyzji, wyrasta z lęku i podejrzliwości. Nawykły do ryzyka, nie mógłby się pogodzić z myślą, że ktoś decyduje o nim. Jest to zarówno odruch, w którym kryje się duża szansa wygranej.

Pozostawiony niby to samemu sobie astronauta musi jednak znajdować się pod nadzorem, skoro w odpowiednim momencie zjawia się pracownik Adaptu, by zaproponować łagodny sposób przystosowania się do zmienionych warunków. Skoro możliwe jest niezwłoczne ustalenie miejsca jego pobytu, może więc błędnie po dworcu raketowym miało być nauczka, przestroga przed zbytnią samodzielnością. Może więc i Eri nieprzypadkowo znalazła się na jego drodze; to przecież biuro podróży poleciło Breggowi zarówno miejsce pobytu wycieczkowego, jak i towarzystwo... Kiedy już raz wkroczyliśmy na drogę podejrzliwości, wszystko stało się dwuznaczne, to, co się dzieje, zmienia się w kamuflaż tego, o co istotnie chodzi. Sytuacja astronauty byłaby odwróceniem sytuacji anonimowego pracownika Gmachu z *Pamiętnika znalezionej w wannie*. Tam zorganizowane i podlegające woli człowieka działanie odślaniało w końcu jako swój najgłębszy mechanizm — przypadek. Tu — przypadek może się okazać sytuacją wyreżyserowaną, do najdrobniejszych szczegółów, otwierającą przed bohaterem jeden kierunek działania, pożądany przez tych, którzy wszystkim kierują.

Bregga wiele dziwi, stosunek Adaptu do niego tłumaczy na swój sposób, ogólnie jednak zaszokowany jest swobodą i korzystając z niej traktuje ją jako rezultat wyłącznie własnej odwagi i zdecydowania. Podejrzewając wiele, tego jeszcze nie podejrzewa. Moment zrozumienia roli, jaką mu przeznaczono, jest jeszcze przed nim. Na razie ma dla kogo żyć, kocha Eri miłością, od której odwykły poprzednie pokolenia, i we dwoje tworzą coś, co może się stać nie tylko szansą ostatecznego pogodzenia z Ziemią, ale i zaczynem odrodzenia ludzkości.

Trwanie tego pozafabularnego, domyślnego zaledwie nurtu przekracza granice powieści. Rzecz formalnie zakończona domaga się dalszego ciągu. Dla bohatera noc spędzona samotnie w górach (scena finałowa) jest nocą oczyszczenia. Opadają ostatnie wątpliwości. Oddalona zostaje ostatnia pokusa, by przyłączyć się do tych współtowarzyszy wyprawy, którzy nie mogąc pogodzić się z tym, co zrobiono z Ziemią podczas ich nieobecności, przygotowują nowy lot ku jeszcze bardziej odległym celom.

*Teraz, trzeźwy i czujny, oczekujący dnia, w powietrzu aż srebrnym od szarości, wobec powolnego wylaniania się surowych ścian górskich, żlebów, osypisk, które wynurzały się z nocy jako milczące potwierdzenie realności powrotu, po raz pierwszy sam, ale nie obcy na Ziemi, już poddany jej i jej prawom, mogłem — bez buntu, bez żalu — myśleć o odlatujących po złote runo gwiazdy...*

W momencie, gdy kończą się wątpliwości, sprawa najważniejsza dopiero się zaczyna. Świat został zaledwie rozpoznany w najogólniejszych swych cechach. Hal Bregg podjął decyzję, która odnawiając emocjonalną jedność z Ziemią — domem nie usuwa przecież przepaści między jego światem a światem, do

którego wrócił. Jest jednak Eri. Kto z nich zwycięży w tym związku, co każde z nich wniesie do wspólnoty, co ocala oboje z własnych stanowisk, a czego dopracują się wspólnie, jak ułożą się ich stosunki ze światem, czy siła ich uczucia zrównoważy ciśnienie rzeczywistości zewnętrznej, wrogiej wszelkiej nietypowości, indywidualizmowi? Z tych pytań na kanwie fantastycznej sytuacji narodzić by się mogła nowa powieść. Zupełnie niefantastyczna — mógłby ktoś zauważyć — wręcz tradycyjnie psychologiczna, gdzie przyszłościowa projekcja byłaby tylko zbyt cennym kostiumem. Zapewne, ale pozostać by w niej musiało i to przesłanie, dające się wyczytać z *Powrotu z gwiazd*, które wyraża niepokój z powodu konsekwencji manipulowania jednostką i społeczeństwem, które — w formach nie tak drastycznych, jak przewiduje science fiction — obserwować można już dzisiaj.

Tak więc powieść Lema, która przy pierwszej, nawet bardzo uważnej lekturze fascynowała bogactwem szczegółów, pomysłowością wizji przyszłego świata, niezwykłością sytuacji głównego bohatera — najciekawsza jest w tym, czego w niej nie ma, co istnieje tylko potencjalnie, jako uzupełnienie i interpretacja czytelnika. Pasjonujący myślowo jest i wątek władzy, która udaje, że jej nie ma, i perspektywa ciągu dalszego, jako konsekwencji zawiązanych tu sytuacji.

Jest to interesujący przykład utworu, który od czytelnika wymaga aktywnej lektury. Bo pisarz wymaga od czytelnika *Powrotu z gwiazd* nie tylko interpretacji, co jest przecież rzeczą naturalną, ale i stworzenia powieści równoległej, będącej koniecznym uzupełnieniem tego, co zostało powiedziane wprost. Można zapytać: skąd tyle zaufania? Bierze się ono w przypadku Lema z przekonania, poświadczonego całą jego twórczością, że dla odbiorców, których interesuje tylko fabuła, tylko anegdota — pisać nie warto. Stąd charakterystyczna dla tego pisarza otwarta struktura semantyczna jego utworów. Nigdy nie zawierają one rozstrzygnięć ostatecznych. Sam autor mnoży sugestie interpretacyjne, jego bohaterowie starają się dojść bliżej prawdy o sytuacji, w jaką zostali uwikłani, ale rzecz pozostaje w końcu nie rozstrzygnięta, stając się zaproszeniem dla czytelnika do kontynuowania wątku poza przypadłościami fabuły. W żadnej jednak powieści nie odgrywało tak decydującej problemowo roli to, o czym się bezpośrednio w tekście nie wspomina.

Andrzej Stoff

JERZY KUTNIK

## OD POE'A DO VONNEGUTA

(historia science-fiction w USA)

Spory o rodowód science fiction toczone są przez krytyków od kilku dziesięcioleci i nie wydają się one mieć większego znaczenia z punktu widzenia teorii literatury. Czy zaczęło się od Arystofanesa, Miorusa czy Swifta jest istotne głównie dla piszących na ten temat — od czegoś (kogoś) trzeba przecież zacząć. Nie mówiąc o tym, że sięganie po tak znakomitych antenatów jest niczym innym jak próbą nobilitacji gatunku, który nigdy nie cieszył się zbyt szacunkiem w kręgach tzw. poważnych pisarzy, krytyków i czytelników. Na tej zasadzie Amerykanie, którzy z przyczyn oczywistych mają kłopoty z odwoływaniem się do własnej tradycji często wywodzą science fiction od Edgara Allana Poe'a. bo choć nie jest bardzo zamierzoną postacią, to przynajmniej ma ustaloną pozycję w historii literatury powszechnej. Nie ujmując nic pisarzowi należy jednak stwierdzić, że pochodzenie science fiction jest znacznie bardziej plebejskie niż sugerują pewni krytycy zyczliwi tej literaturze aż do przesady. Dowodzi tego historia literatury sf w Stanach Zjednoczonych, gdzie gatunek ten powstał raczej jako zjawisko kulturowe a nie literackie, niezależnie od tego, że przez długi czas sama jakość pisarstwa nie kwalifikowała science fiction do nazywania jej literaturą.

Za ojca amerykańskiej science fiction należy uznać ni mniej ni więcej tylko człowieka, który jest symbolem komercjalizacji i masowej produkcji dla masowego czytelnika. Jest nim Edgar Rice Burroughs, jeden z najpoczytniejszych pisarzy naszego wieku, który zasłynął jako autor serii opowieści o Tarzanie. W czasie siedemdziesięciu pięciu lat życia (1875—1950), Burroughs napisał ponad siedemdziesiąt powieści, których łączny nakład na całym świecie dawno już przekroczył sto milionów egzemplarzy. Był on notorycznym fantasta o nieposkromionej i bezkrytycznej wyobraźni, zerującym jednocześnie na swoich czytelnikach w sposób wręcz drapieżczy. Wprawdzie jego fantastyczne pomysły nie miały nic wspólnego z naukowością, wywarł on ogromny wpływ na późniejszych autorów sf właśnie jako przykład możliwości niczym nie skrepowanej wyobraźni ludzkiej hasającej swobodnie po wszystkich zakątkach systemu słonecznego. Burroughs napisał szereg cykli powieściowych, m.in. o Marsie (po polsku ukazały się dwie części — *Księżniczka na Marsie* i *Córka Marsa*), o Wenus, o Księżycu i o Pellucidarze, świecie istniejącym wewnątrz Ziemi (w jednej z siedmiu powieści tego cyklu gościł osobiście Tarzan — *Tarzan at the Earth Core*). Za najlepszą książkę Burroughsa uważa się *The Land That Time Forgot*, cykl trzech nowel, które opowiadają historię świata o nazwie Caspak. Jest to świat, w którym każdy osobnik przechodzi

wszystkie etapy ewolucji życia na Ziemi, od kijanki do homo sapiens — kobiety składają jaja w ciepłych bajorach i powstaje życie od podstaw.

Burroughs miał wielu naśladowców, ale żaden nie dorównywał temperamentem i wyobraźnią temu autorowi fantazji, które więcej miały wspólnego z westernami niż z analityczną fantastyką uprawianą w tym czasie przez H. G. Wellsa. Jego najgroźniejszym rywalem był George Allan England, a najbardziej wstydnym naśladowcą niejaki Otis Adelbert Kline, który skopiował chyba wszystkie pomysły swego mistrza. Zarówno ci dwaj, jak i tuzin innych (m.in. para A. Hall i H. E. Flint, R. M. Farley, R. Cummings) należą dziś do ścisłej czołówki zapomnianych twórców popularnej literatury fantastycznej, która obok westernów była podstawą ogromnej popularności tzw. „pulp magazines”, tanich czasopism rozrywkowych drukujących przeważnie wieloodcinkowe seriale, jakich setki wydawano w USA w pierwszej ćwiartce naszego stulecia.

Drugim pisarzem, który jest po dziś dzień pamiętany w gronie fanatyków sf jest Howard Phillips Lovecraft (1890-1937). Był on maniakiem, którego nie interesowało absolutnie nic poza makabrą i horrorem. W jego książkach roi się od różnych odrażających potworów i scen przyprawiających czytelnika o zawal serca. Jego ulubionym chwytym było pisanie powieści w formie dziennika, który urywał się nagle, gdy piszącemu przytrafiało się coś mniej lub bardziej jeżącego włos na głowie. Jednym z jego najlepszych utworów jest opowiadanie *Herbert West — Reanimator*. Jego bohaterem jest swoisty anty-Frankenstein, który zajmuje się ożywianiem ludzi umarłych. Ma szerokie pole do popisu — toczy się właśnie I wojna światowa. Dzisiaj takie opowieści raczej śmieszą niż mrozą krew w żyłach, ale w swoim czasie nie brakowało i takich entuzjastów, którzy zakładali firmy wydawnicze wyłącznie po to, by drukować książki Lovecrafta (Arkham House została założona w 1939 roku przez A. Derletha i D. Wandrei'a właśnie w tym celu).

Mógłby ktoś zapytać dlaczego akurat Burroughsa i Lovecrafta uznawać za prekursorów science fiction, skoro w tym czasie tworzył Wells i kilku innych pisarzy, którzy wydawali się zasługiwać na to miano bardziej niż ktokolwiek inny. Otóż sytuacja w owym czasie przedstawiała się tak: Wells, a później A. Huxley, O. Stapledon i C. S. Lewis (pomijając fakt, że byli Anglikami) należeli do elity intelektualnej i w żadnym razie nie można o nich powiedzieć, że byli pisarzami popularnymi. Natomiast ERB i HPL drukowali przede wszystkim w „pulp magazines”, pismach przeznaczonych dla przeciętnych, wręcz bardzo przeciętnych czytelników, które miały olbrzymie nakłady i cieszyły się autentyczną popularnością wśród „ludu”. Powielaly one w nieskończoność sprawdzone schematy w myśl zasady, że jak się komuś coś podoba, to będzie chciał tego jeszcze więcej. I właśnie za pośrednictwem takich wydawnictw elementy fantastyki i coraz częściej nauki, jakkolwiek w bardzo poślednim wydaniu, stopniowo zostały wprowadzone do literatury masowej. W latach dwudziestych „pulp magazines” zaczęły się specjalizować i wtedy powstały pierwsze pisma w całości poświęcone literaturze fantastycznej. Wtedy też powstała nazwa „science fiction” i zaczął się bezprecedensowy boom tego typu literatury (faktycznie nigdy nie osiągnął on rozmiarów, jakie mu się często przypisuje — nakład najpopularniejszych pism rzadko przekraczał 50 tysięcy egzemplarzy).

Człowiekiem, który stworzył science fiction jako zjawisko społeczne o charakterze subkultury był Hugo Gernsback (1884-1967). Brian W. Aldiss, czołowy brytyjski autor sf, nazwał go „największym nieszczęściem, jakie kiedykolwiek przytrafiło się science fiction”, co jest o tyle niesprawiedliwe, że o ile rozumienie Gernsbacka, czym powinna być sf zaszkodziło na długie lata reputacji tej literatury, to z drugiej strony, bez jego przedsiębiorczości i determinacji nie byłoby dziś science fiction jako literatury na miarę XX wieku. Gernsback urodził się w Luksemburgu, gdzie otrzymał wykształcenie techniczne, po czym w 1904 roku wyemigrował do Ameryki. Okazał się człowiekiem bardzo rzutkim i wkrótce otworzył firmę handlującą odbiornikami radiowymi i zaczął wydawać pierwsze w świecie pismo radiowe „Modern Electrics”. Tam właśnie opublikował w 1911 roku swoją powieść *Ralph 124C 437: A Romance of the Year 2660*. Tytuł ten najlepiej świadczy o zainteresowaniach Gernsbacka — nie obchodziło go nic poza nauką i techniką, a jego obsesją był projekt edukacji ludzkości w dziedzinie nauki za pomocą literatury. Był do cna zafascynowany różnego rodzaju urządzeniami, mechanizmami, maszynami i tzw. „gadżetami”. Jego pomysłowość w tej dziedzinie równa była jego bezmyślności w sprawach literackich, czego nie mogą mu do dziś wybaczyć trzy czy cztery pokolenia przedstawicieli nowoczesnej science fiction.

Gernsback chętnie udostępniał łamy swego pisma innym autorom, jeśli uznal, że potrafili oni nie gorzej od niego wymyślać nowe, fantastyczne maszyny i urządzenia. Chętnych było tylu, że w 1926 roku postanowił on założyć pierwsze pismo w całości poświęcone science fiction — „Amazing Stories”. Przy okazji warto wspomnieć, że zanim wymyślił termin „science fiction”, jego chorobliwa pomysłowość zrodziła słowo „scientifiction”, którego równie potwornym odpowiednikiem w języku polskim mogłoby być słowo „naukoproza”. Początki „Amazing” były wcale obiecujące — w pierwszym numerze ukazały się opowiadania Verne’a, Poe’a i Wellsa. Później drukowało tam również sporo solidnych autorów, którzy znani już byli czytelnikom „pulp magazines”. Rola Gernsbacka nie ograniczała się zresztą do działalności wydawniczej (wydawał również „Science Wonder Stories”). Zorganizował on potężny ruch miłośników sf — patronował fan-klubom i drukowanym przez nie gazetkom, organizował konferencje poświęcone sf, począwszy od małych, lokalnych imprez, aż po ogólnokrajowe i międzynarodowe kongresy pisarzy sf. Z jego inspiracji fani zaczęli przyznawać coroczne nagrody dla najlepszych utworów, które nazwano, jakżeby inaczej, „Hugo”. Po dziś dzień „Hugo” jest obok „Nebuli” największym wyróżnieniem, jakie może spotkać pisarza sf w Ameryce.

Gernsback kładł nacisk wyłącznie na szczegółowe opisywanie swych technicznych pomysłów, podczas gdy fabuła ograniczała się do schematu, np. szalony naukowiec — wynalazek zagrażający światu — piękna córka naukowca — świat zostaje uratowany dzięki odwadze wspaniałego młodzieńca — zaręczyny w świetle Księżycy. Powstała wkrótce cała szkoła Gernsbackczyków, której przewodził Edward E. Smith (1890-1965), piekarz z tytułem doktora. Jest on najlepszym przykładem destrukcyjnego wpływu Gernsbacka, który przejawiał się w pseudonaukowej gigantomanii. U Smitha wszystko było „super” — jego powieści dotyczyły spraw pomiędzy, już nie różnymi światami, ale całymi galaktykami. Ambicją jego było, by cała jego twórczość złożyła się na super-sagę wszechświata.

W tym celu często zmieniał wcześniej napisane książki, żeby je do siebie dopasować. W sadze tej, jak łatwo się domyślić, człowiek spełniał rolę marginesową (choć i w tym względzie Smith miał pewne „zasługi” — jako pierwszy wysłał Indian w kosmos). Ten odhumanizowany nurt sf do dziś pokutuje w pewnych rejonach i sprawia, że szereg dobrych pisarzy sf uparcie zaprzecza swym związkom z tego typu literaturą.

Jedynym pisarzem w tym gronie, który zasługuje na kilka cieplejszych słów jest Jack Williamson. Był pisarzem bardzo płodnym, jak większość autorów sf (stawki były bardzo niskie, więc trzeba było dużo pisać, żeby się utrzymać), ale też i nie pozbawionym talentu. W odróżnieniu od banalnego stylu Smitha, Williamson potrafił konstruować swoje powieści na zasadzie innej niż budowanie automatu do wykonywania określonych czynności, gdzie wszystko ma swoje z góry określone miejsce. Potrafił budować napięcie i zaskakiwać czytelnika nagłymi zwrotami akcji. Do jego najlepszych książek należą *Darker Than You Think* i *The Humanoids*. W latach pięćdziesiątych Williamson pisał książki wspólnie z Frederickiem Pohllem, a w końcu zaniechał aktywnej działalności pisarskiej i został profesorem literatury na uniwersytecie, specjalistą od sf.

Z kręgu Gernsbacka wywodzi się druga czołowa postać subkultury science fiction, która rozkwitła w latach trzydziestych (rozkwit ten zbiegł się z Wielkim Kryzysem — ludzie szukali dróg ucieczki od przygnębiającej rzeczywistości i sf okazała się najdostępniejszą formą eskapizmu). Postacią tą jest John W. Campbell, Jr. (1910-1971). Początki jego kariery nie zapowiadały nic nadzwyczajnego — z wykształcenia inżynier, w 1930 roku zadebiutował w „Amazing” opowiadaniem w najlepszej, a raczej najgorszej, tradycji szkoły Gernsbacka. Przez kolejne cztery lata pisywał utwory, w których dawał wyraz swojej pasji dla rozmaitych skomplikowanych maszyn i urządzeń. W 1934 roku w pisarstwie Campbella nastąpiła przemiana — pod pseudonimem Don A. Stuart wydał serię opowiadań o charakterze bardziej filozoficznym, w których nauka była bardziej wiarygodna a spekulacje myślowe podporządkowane były ściśle rygorom logiki. Nie znaczy to, że zdrowy rozsądek był u niego cnotą dominującą. Jego pasją stały się siły nadprzyrodzone i percepcja pozazmysłowa, a także bardziej „naukowe” sprawy, jak urządzenia antygravitacyjne, akwelungi i astrologiczne prognozowanie pogody. Z zacięciem godnym lepszej sprawy zajmował się również tworzeniem naukowych podstaw telepatii i różnych zjawisk parapsychologicznych, nazywając tę dziedzinę wiedzy psioniką. Później fascynował się scientologią, nauką, czy raczej kultem stworzonym przez L. Rona Hubbarda. U podstaw tych zainteresowań leżało przekonanie Campbella, że człowiek wykorzystuje swój umysł tylko w 25%. Staral się więc znaleźć zatrudnienie dla reszty swego mózgu. Poza tym wierzył, że „nauka stosowana” jest w stanie zbawić świat i wynieść ludzkość na wyżyny inteligencji.

Campbell zasłynął jednak przede wszystkim jako założyciel i wieloletni (aż do śmierci) redaktor najsłynniejszego pisma w historii science fiction — „Astounding Science Fiction”, później przemianowane na „Analog”. Skupił wokół siebie całą plejadę utalentowanych autorów, zarówno debiutantów jak i doświadczonych pisarzy, którzy ukryli się obecnie pod nowymi pseudonimami i zaczęli nowe kariery. Wywierał na nich ogromny wpływ, często wtrącając się do ich pracy i dokonując zmian w ich utworach, na ogół uzasadnionych. Żądał bez-

względne przestrzeganie zasad logiki. adekwatnego wykorzystywania nauki i po prostu dobrego pisania. Zapoczątkował „złoty wiek” sf w 1939 roku numerem „Astounding”, w którym zamieścił utwory A. E. van Vogta, R. Heinleina, I. Asimova i T. Sturgeona.

Kilka czynników sprawiło, że po raz pierwszy od powstania popularnych magazynów sf autorów dla nich piszących można było uznać za intelektualnie i literacko dojrzałych i godnych porównania z „poważnymi” pisarzami zajmującymi się fantastyką i spekulacją naukową, takimi jak Lewis, Stapledon czy Huxley. Jednym z nich było pojawienie się grupy twórców o rozległej wiedzy, wybitnej inteligencji i dużym talencie pisarskim, którzy z całą powagą i odpowiedzialnością traktowali wpływ, jaki wywierała ich działalność pisarska w coraz szerszych kręgach czytelników. Innym czynnikiem był wybuch i przebieg II wojny światowej, gdy złowieszczo prawdziwie zaczęły brzmieć różne katastroficzne przepowiednie fantastów. Na wzrost poważania dla sf wpłynął także gwałtowny rozwój nauki, zwłaszcza w dziedzinie fizyki jądrowej, gdzie szereg fantastycznych pomysłów zamieniło się w fakty. Klasycznym przykładem jest tu historia opowiadania C. Cartmilla *Deadline*, które ukazało się w 1944 roku w „Astounding”. Jego treścią było wynalezienie broni jądrowej, i zbieżność z tajnym „Projektem Manhattan”, w ramach którego amerykańscy naukowcy pracowali nad skonstruowaniem bomby atomowej, tak duża, że wywiad wojskowy ZSRR „należał” na redakcję pisma, ponieważ podejrzewał autora opowiadania o szpiegostwo. Rewolucja naukowa w fizyce i nieco później w astronautyce spowodowały również pewien nawrót do złych tradycji Gernsbacka, choć tym razem mistrz „gadget story” Hal Clement reprezentował wcale przyzwoity warsztat pisarski. Wracano także do innych tradycyjnych tematów z czasów Burroughsa, Lovecrafta i Smitha, jednak *wszystko* to stało na znacznie wyższym poziomie intelektualnym i literackim. Spadkobiercą tego ostatniego był van Vogt, autor pełnych rozmachu i wigoru super-fantastycznych opowiadań i powieści (w Polsce ukazała się *Wyprawa do gwiazd*).

Jednym z ciekawszych talentów, jakie pojawiły się na początku lat czterdziestych był Henry Kuttner, który w 1947 roku został uznany przez konwencję pisarzy sf za pisarza roku. Był on poniekąd wyjątkiem w gronie współpracowników Campbella, gdyż bardziej interesowały go problemy ludzkie niż kwestie naukowe. Z jego ciekawszych książek można wymienić *Fury*, *Mutants*, *Bypass to Otherness* i *Return to Otherness*. Podobne zainteresowania, ale za to zupełnie inny styl reprezentował Theodore Sturgeon, pisarz który z upodobaniem i dużym poczuciem humoru zajmował się różnego rodzaju dewiacjami psychicznymi. Jego najlepsza książka nosi tytuł *More Than Human*. Nie był on zresztą jedynym dowcipnym piszącym dla „Astounding”. Dużą popularnością cieszyły się wśród czytelników parodie artykułów naukowych pisane regularnie przez I. Asimova. Jednakże spośród wszystkich poważnych i niepoważnych autorów piszących dla Campbella, jego pupilkiem był bezapelacyjnie L. Ron Hubbard, który był niejako ucieleśnieniem wizji supermana i Mesjasza, przynajmniej w oczach własnych i Campbella. W 1950 roku opublikował on książkę pt. *Dianetics: The Modern Science of Mental Health*, która stała się biblią jego religii — scientologii. Przyswiecały mu cele jak najbardziej przyziemne. Podczas kongresu pisa-

rzy sf Hubbard stwierdził otwarcie: *Pisanie za centa od słowa jest śmieszne. Jak się chce zarobić milion, najlepszym sposobem jest założenie własnej religii.* Życie dowiodło słuszności tego stanowiska: jako organizator seansów i kursów, Hubbard zarobił swój milion z nawiązką. Ocenia się, że kult stworzony przez niego ma na całym świecie ponad cztery miliony wyznawców. Byłoby oczywiście zwykłym nieporozumieniem nie wspomnieć o pisarstwie Hubbarda, który nie gardził bynajmniej owym centem od słowa. Napisał sporo powieści i opowiadań, a do najbardziej udanych należał serial *Final Black-out* ze „złotej” ery „Astounding”.

Era ta trwała do wczesnych lat pięćdziesiątych i jej efektem był znaczny wzrost zainteresowania science fiction poza zamkniętym kręgiem fanów. Zasluga Campbella polegała na tym, że stworzył pierwszy w swoim rodzaju kolektyw świetnych pisarzy. Zręcznie nimi dyrygując, Campbell przyczynił się jak nikt przed nim do podniesienia rangi i jakości literatury sf, sprawiając, że wreszcie stała się ona godna swej nazwy. Uwidoczniło się to przede wszystkim w zmianie polityki wydawniczej wobec science fiction — duże domy wydawnicze zaczęły drukować powieści sf w formie książkowej, i to nie tylko w wydaniach kieszonkowych, ale także w eleganckiej oprawie i dużym formacie (do tej pory powieści takie ukazywały się najpierw w odcinkach w jakimś magazynie sf, a dopiero potem ewentualnie jako książki). Miało to ogromne znaczenie, bowiem w ten sposób książki te stały się ogólnie dostępne w księgarniach i bibliotekach. Science fiction zaczęła wychodzić z podziemia, jakim niewątpliwie był dość jednak wąski krąg fanów. Wraz z rozwojem nauki, stała się ona bardziej poważana, choć trzeba przyznać, że nauka zadała jej bolesny cios — kiedy pod koniec lat pięćdziesiątych człowiek sięgnął w kosmos, życie przerosło fikcję. Nastąpił wyraźny spadek czytelnictwa, który na szczęście nie trwał zbyt długo. O najważniejszym traktowaniu science fiction świadczył także wzrost zainteresowania tym gatunkiem ze strony poważnych pisarzy, nawet tych najwybitniejszych (spośród czołówki amerykańskiej można tu wymienić takie książki jak *Nova Express* Williama S. Burroughsa, *Giles Goat-Boy* Johna Bartha, *Ada* Vladimira Nabokova, *Love in the Ruins* Walkera Percy'ego czy V. Thomasa Pynchona).

Wprowadziwszy science fiction na szerokie wody, „Astounding” musiało ustąpić miejsca nowym, bardziej interesującym pismom. Dużo w tym było winy samego Campbella, który na starość tak dalece poświęcał się swym pasjom naukowym, że coraz mniej myślał o zapewnieniu godziwej rozrywki czytelnikom. Spośród nowych konkurentów na rynku najciekawsze okazały się dwa tytuły — „Galaxy” i „Fantasy and Science Fiction”. Wydawcą tego pierwszego był H. L. Gold, a później F. Pohl, jeden z najciekawszych pisarzy tego okresu. Zarówno Gold jak i Pohl kierowali zainteresowania swoich współpracowników ku socjologicznemu i psychologicznemu podejściu do spraw współczesności; a ponadto płacili najlepsze stawki wśród wszystkich magazynów sf. A. Boucher, redaktor „Fantasy and Science Fiction” miał również duże zasługi w nobilitacji sf, która dokonała się po II wojnie światowej. Kładł on duży nacisk na jakość pisarstwa, szatę graficzną pisma i reprezentatywność drukowanych utworów dla bieżącego stanu sf na świecie. Reputacja sf nie wzrosła oczywiście z dnia na dzień i w dalszym ciągu, jak zauważył jeden z autorów, lepiej pisało się nawet o literaturze porno. Wśród ponad czterdziestu pism sf

wiele było wciąż takich, które dawały krytykom podstawy do poniewierania całym gatunkiem.

Do najlepszych debiutów tego okresu należała powieść Alfreda Bestera *The Demolished Man*. Niestety Bester napisał jeszcze tylko jedną powieść, równie znakomitą jak pierwsza, pt. *The Stars My Destination* (znaną również pod tytułem *Tiger! Tiger!*) i tom opowiadań, po czym zamilkł. Inną nie spełnioną nadzieją był Cyril Kornbluth, zmarły przedwcześnie, który w 1952 napisał wspólnie z F. Pohlem *The Space Merchants*. Był to jeden z najlepszych duetów w historii science fiction. Ich dziełem są jeszcze *Search the Sky*, *Gladiator-at-Law*, *Wolfbane* i *The Wonder Effect*. Sam Kornbluth napisał między innymi *The Explorers* i *The Marching Morons*. Pohl z kolei był jednym z najbardziej zasłużonych członków społeczności twórców sf — oprócz uprawiania własnej twórczości (pisał głównie opowiadania), współpracował m.in. z J. Williamsonem, wydawał antologie (*Star Short Novels*, *Star of Stars* i inne) oraz kilka magazynów sf — „Astounding Stories”, (jako nastolatek; nie mylić z „Astounding Science Fiction” Cambella), „Super Science Stories”, „Star”, „If”, a wreszcie przejął „Galaxy” po H. Goldzie. Ciekawą postacią był również James Blish, autor serii powieści o latających miastach (cztery tomy łącznie zatytułowane *Cities in Flight*) oraz wielu innych powieści i opowiadań, które pełne były nowatorskich pomysłów i dobrej prozy. Blish w ogóle jest chyba jednym z najinteligentniejszych i literacko świadomych pisarzy w tym gronie. Nic dziwnego, skoro jest on jednocześnie cenionym znawcą pisarstwa Jamesa Joyce'a i autorem dwóch prac krytycznych na temat science fiction. Z innych nazwisk godnych odnotowania, można tu wymienić Poula Andersona, Roberta Sheckleya, Lestera Del Reya, Roberta Silverberga, Fritza Leibera (znamy z przekładu na polski jego *Wędrowca*), Johna Brunnera, Philipa José Farmera, Harry'ego Harrisona i Waltera Millera. Były też i kobiety piszące sf, wśród których spora popularność zdobyła Zenna Henderson, Marion Zimmer Bradley, Rosel George Brown, Margaret St. Clair, Miriam Allen de Ford czy Catherine Moore (żona Kuttnera).

Jednakże żaden z wymienionych autorów nie osiągnął części tej sławy i popularności, jaką cieszyli się trzej najwięksi w świecie science fiction tamtych lat — Isaac Asimov, Ray Bradbury i Robert Heinlein. Ten ostatni jest u nas najmniej znany, choć to właśnie on zyskał w swoim czasie największy rozgłos poza wąskimi kręgami fanów sf. Zanim tak się stało, napisał kilka przeciętnych książek (*Red Planet*, *Double Star*, *If This Goes On*) i jedną bardzo złą (*Starship Troopers*). W 1961 roku ukazała się powieść *Stranger in a Strange Land*, która została uhonorowana nagrodą „Hugo”, ale nie zwróciła większej uwagi czytelników. I słuch by po niej zaginął, gdyby nie odkryła jej młodzież w kilka lat później. W latach sześćdziesiątych miała miejsce w USA fala ruchów kontestacyjnych, z których większość nie posiadała żadnej ideologii poza chęcią zmanifestowania swej pogardy dla ideałów społeczeństwa burżuazyjnego. Młodzież, zwłaszcza ta spod znaku „hippie”, gorączkowo poszukiwała przywódców duchowych i Heinlein został jednym z nich, choć, jak się później okazało, był to dość wątpliwy zaszczyt. Powody popularności Heinleina wśród hippiesów nie trudno odgadnąć — wyjaśnia to treść powieści, aczkolwiek w rzeczywistości młodzież wyczytała tylko to, co ją akurat interesowało najbardziej, wypaczając ogólną myśl autora. *Stranger in a Strange Land* przypomina trochę historię Tar-

zana, opowiada bowiem o człowieku wychowanym wśród Marsjan, który przybywa na Ziemię mając 25 lat i zaczyna szerzyć marsjańskie poglądy na temat moralności, religii i miłości (jest wyznawcą zbiorowego seksu!). Górując nad przeciętnymi ludźmi intelektem i zdolnościami psychokinetycznymi staje się idealnym kandydatem na Mesjasza. Jako twórca nowego kultu, dobrowolnie zostaje męczennikiem, a po śmierci z rąk tłumu zmartwychwstaje i rozplywa się w kosmosie. Pomijając w ogóle wątpliwą wartość religii wyznawanej przez bohatera, najciemniejszą stroną popularności książki stał się fakt, że posłużyła ona jako jedno z głównych źródeł inspiracji dla słynnej „rodziny Mansona”. Tak jak Mesjasz Heinleina pozbywał się wrogów dematerializując ich, tak Manson postanowił w ramach obrządku religijnego zamordować Sharon Tate i jej przyjaciół (Manson w ogóle darzył szczególnym zainteresowaniem science fiction — fascynowała go również scientologia). Niezależnie od nie zamierzonych przez niego skutków swego pisarstwa, Heinlein pozostaje jednym z najciekawszych autorów sf. Posługując się utartymi schematami, nadał on swoim utworom istotny wymiar debaty na temat przyszłego kształtu systemów społecznych na Ziemi.

Razem z Heinleinem debiutował młodszy od niego I. Asimov, pisarz o zupełnie innym temperamencie i zainteresowaniach. Należy on do najplodniejszych twórców sf, mimo że między 1957 a 1972 rokiem w ogóle nie pisał sf. Asimov wniósł do science fiction rozległą wiedzę (jest profesorem biochemii na Uniwersytecie Bostonskim) i przyczynił się do unaukowania pewnych fantastycznych teorii, które kłóciły się ze zdrowym rozsądkiem. Przykładem są jego słynne trzy prawa robotyki, które do dziś są w zasadzie przestrzegane przez innych autorów. Równie duże zasługi ma Asimov w dziedzinie popularyzacji wiedzy i światopoglądu naukowego jako autor niezliczonych artykułów i książek popularnonaukowych (dwie z nich zostały wydane również w Polsce). Należy do najczęściej tłumaczonych pisarzy sf, także u nas. Do jego najlepszych książek należą *Foundation Trilogy*, *The Naked Sun*, *The Caves of Steel*, *I, Robot*, *The End of Eternity* i zbiory opowiadań *Pebble in the Sky* i *Nine Tomorrows*.

Choć wydaje się to wręcz nieprawdopodobne, największą popularność wśród czytelników uzyskał ten, dla którego nauka miała najmniejsze znaczenie, co nie znaczy małe — Ray Bradbury, bajkopisarz science fiction. Jego *Kroniki Marsjańskie* (*Martian Chronicles*) należą do najpiękniejszych książek współczesnej literatury amerykańskiej, a wśród powieści science fiction pozostają nadal niedościgłym wzorem. Rewolucja, jaka dokonała się za sprawą Bradbury'ego polegała na wniesieniu poetyckiej, łagodnej i ciepłej aury do suchej, przeintelektualizowanej atmosfery większości książek sf. Nastrojowość i delikatność jego prozy były czymś niespotykanym w setkach i tysiącach schematycznych, pisanych banalnym językiem powieści, których jedyną ambicją było przedstawianie coraz bardziej wyszukanych i skomplikowanych rozwiązań problemów technicznych i naukowych. Wprawdzie Bradbury też posługiwał się schematem, był to jednak zupełnie inny schemat — rodem z baśni Christiana Andersena.

O pozycji Bradbury'ego świadczy fakt, że jego książki wydawane były od początku przez renomowane wydawnictwa, a opowiadania, które są raczej fantastycznymi esejami, ukazywały się już nie w „pulp magazines” lecz w najpoczytniejszych

tygodnikach i miesięcznikach. Przy okazji warto wspomnieć, że wyjściu science fiction poza krąg „pulp magazines” sprzyjało powstanie wielkich wydawnictw specjalizujących się właśnie w tego typu literaturze, np. Ace Books i Ballantine. Sam fakt, że powieści zaczęły się ukazywać od razu w całości jako książki, a nie jak wcześniej w odcinkach, miał z kolei zbawienny wpływ na ich jakość — pisarze zaczęli myśleć o konstrukcji utworu jako całości zamiast pisać epizody, które następnie były łączone, często na siłę, w całość (w przeszłości często się zdarzało, że przygotowując książkę do druku, trzeba było przerabiać wiele rzeczy, tak aby miało to jakiś sens, co nie było sprawą istotną w przypadku druku w odcinkach).

Najistotniejszą jednak zmianą, która dokonała się w latach sześćdziesiątych był zdecydowany zwrot w kierunku problemów społecznych cywilizacji technicznej, takich jak przeludnienie, zagrożenie środowiska naturalnego i dehumanizacja życia. Nastąpiło więc zwrócenie się z gwiazd na Ziemię, nie tylko zresztą z obawy o los tej ostatniej. Pisarze zaczęli zdawać sobie sprawę, zwłaszcza po wylądowaniu Amerykanów na Księżycu, jakie zagrożenie dla kosmosu niesie ze sobą ekspansjonizm Ziemi. J. G. Ballard, czołowy przedstawiciel brytyjskiej „nowej fali”, ujął tę groźbę w takich słowach: „Gdybym był Marsjaninem, już dzisiaj zacząłbym uciekać”.

Mówiąc o „nowej fali” należy wspomnieć, że choć pojęcie to odnosi się do brytyjskiej science fiction lat sześćdziesiątych, zostało ono częściowo przeniesione na grunt amerykański, choć trudno sprecyzować, co miało dokładnie oznaczać. Służyło raczej jako etykieta, pod którą umieszczono pokolenie autorów debiutujących później niż wspomniani powyżej. Do najbardziej znanych w tej grupie należą Thomas Disch (autor znakomitej powieści *Camp Concentration* oraz 344 i dwóch zbiorów opowiadań), John Sladek (*Mechasm*), Norman Spinrad (*Bug Jack Barron*, *The Iron Dream* oraz znakomita antologia *Modern Science Fiction*), Roger Zelazny (*This Immortal*, *The Dream Master*, *Lord of Light*, *Isle of the Dead*), Samuel Delany (*Babel 17*, *The Einstein Intersection*, *Nova*, *Driftglass*), Harlan Ellison (autor dwóch wielkich antologii „nowej fali” pt. *Dangerous Visions* i *Again, Dangerous Visions*) oraz, z pań, Angela Carter, Pamela Zoline, Kit Reed i Kate Wilhelm (w Polsce wydano jej *Gdzie dawniej śpiewał ptak*). Renesans popularności dzięki nowym książkom przeżywali także R. Silverberg, T. Sturgeon i A. E. van Vogt. Ale bezapelacyjnie najwybitniejszymi autorami ostatnich kilku lat są Philip K. Dick i Ursula K. Le Guin, oboje znani już trochę polskim czytelnikom.

Philip Dick, który debiutował jeszcze w latach pięćdziesiątych, jest bardzo typowym przykładem przemian, jakie zaszły w science fiction od czasów Asimova, Bradbury’ego i Heinleina. Można je ogólnie określić jako przejście od problemów świata fizycznego (często znaczyło to po prostu „świat fizyków”) do problemów świata psychicznego. Metoda Dicka polega często na zatarciu granic pomiędzy rzeczywistymi przeżyciami bohaterów a wytworami ich wyobraźni. Są to zwykle ludzie zagubieni wśród cudów techniki, ofiary różnych form ucisku, jakie stosuje współczesne społeczeństwo. Dick pisze dużo i na wysokim poziomie. Większość jego powieści zasługuje na uwagę, a do najciekawszych należą *Martian Time-Slip*, *The Crack in Space*, *Do Androids Dream of Electric Sheep?*, *Ubik*, *Man in*

*the High Castle* (te dwie zostały przetłumaczone na polski) i *The Three Stigmata of Palmer Eldritch*.

Ursula Le Guin zadebiutowała w 1969 roku powieścią *The Left Hand of Darkness* i od razu została uznana za gwiazdę pierwszej wielkości, i to nie tylko w świecie science fiction. Jej twórczość wysoko oceniają także poważni krytycy literaccy i inni pisarze. Należy ona z pewnością do największych odkryć w historii sf, zwłaszcza że od początku swej kariery pisze dużo i coraz lepiej. Sukces pierwszej powieści został potwierdzony przez następne, takie jak *The Lathe of Heaven*, *The Tombs of Atuan*, *The Dispossessed*, *The Word for World Is Forest* i *The Wind’s Twelve Quarters* (wydana po polsku jako *Wszystkie strony świata*). Przyszłość science fiction należy prawdopodobnie do pisarzy w stylu Le Guin, która łączy nowatorstwo myślowe z nowatorstwem formalnym.

Aby przewrotność tytułu niniejszego szkicu była pełna, wypada zakończyć go kilkoma uwagami na temat Kurta Vonneguta. Jego związki z science fiction i w ogóle z literaturą popularną są oczywiste — zaczynał od opowiadań drukowanych m.in. w „Galaxy”, popularnych magazynach kobiecych, itp. Jego trzy powieści, *Pianola (Player Piano)*, *The Sirens of Titan* i *Kocia kotyśka (Cat’s Cradle)* są w zasadzie powieściami sf, choć ta druga jest raczej parodią szkoły Gernsbacka, a trzecia jest formalnie nowatorską powieścią, która została bardzo wysoko oceniona nie jako science fiction, ale jako poważne osiągnięcie literackie. Pierwsza, o czym warto wspomnieć, jest zupełnie różna od późniejszych powieści pisarza — może dlatego, że jest, jak przyznaje Vonnegut, kopią znanej dystopii Aldousa Huxleya *Nowy wspaniały świat (Brave New World)*, która jest z kolei imitacją pierwszej nowoczesnej powieści sf w historii tego gatunku, *My E. Zamiatina*. W innych dwóch książkach Vonneguta występują postacie, które niezmiennie przywodzą na myśl dwie znane osobistości ze świata st — w *Mother Night* jest to Campbell (bohater Vonneguta nazywa się po prostu Howard W. Campbell, Jr.) a w *Niech Pan Bóg błogosławi, Panie Rosewater (God Bless You, Mr. Rosewater)* protagonista jako żywo przypomina L. R. Hubbarda. W tej ostatniej książce jedną z czołowych postaci jest zapoznany pisarz sf, Kilgore Trout. Pojawia się on również w *Rzeźni numer pięć (Slaughterhouse-Five)* i *Śniadaniu mistrzów (Breakfast of Champions)*, gdzie Vonnegut rozstaje się z nim na zawsze dając mu wolność. Zresztą wyglądało to na coś więcej niż gest symboliczny, bo w 1975 roku ukazała się na rynku w Stanach powieść *Venus of the Half-Shell* firmowana nazwiskiem Trouta. Jej autorem okazał się Philip José Farmer. Książka ta nie spodobała się Vonnegutowi i zabronił Farmerowi posługiwać się nazwiskiem Trouta. Powód jest dość prosty — książka Farmera jest satyrycznym komentarzem do *The Sirens of Titan*, repliką na parodię Vonneguta. Sam Vonnegut na dobre chyba porzucił science fiction, o czym przekonują jego dwie ostatnie książki, *Slapstick* i *Jailbird*. Elementy fantastyczne, które w nim występują dowodzą, że zainteresowanie Vonneguta sf nigdy nie było celem samym w sobie, lecz było środkiem do realizacji innych zamierzeń autora. Być może na tym też właśnie polega zasługa Vonneguta, że wykorzystując science fiction traktował ją jako pełnowartościowy sposób, równie dobry jak każdy inny, komunikowania treści o ogólnoludzkim wymiarze. Nie oznacza to bynajmniej, że udało mu się to, czego nie zdołali dokonać jego poprzednicy, a mianowicie

cie wyniesienie science fiction ponad jej naturalne środowisko jakim jest popkultura, w świat literatury przez duże „L”. Jeśli już o zasługach Vonneguta mowa, to raczej dotyczy to powieści awangardowej — dowiódł on, że i taka powieść może stać się bestsellerem. Taką powieścią jest w pewnym sensie *Rzeźnia*, która jest jednocześnie jedną z najpopularniejszych książek przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i jedną z najdoskonalszych powieści eksperymentalnych tzw. postmodernizmu w Ameryce.

Konkluzja tego szkicu wydaje się więc oczywista: science fiction jest rodzajem literatury masowej. Taką była, taką jest i taką chyba pozostanie. A jeśli staje się coraz lepsza, należy traktować to jako budzący otuchę objaw intelektualnego dojrzenia ludzkości. I w tym sensie science fiction spełnia ogromną rolę jako środek kształtowania poglądu społeczeństw na temat kierunków rozwoju ziemskiej cywilizacji. Dlatego też wydaje się bezcelowe uzasadnianie jej racji bytu względami, które nie mają tu nic do rzeczy. Science fiction nie jest kierunkiem w sztuce lecz istotnym elementem dwudziestowiecznej kultury masowej.

Podstawowe fakty zostały zaczerpnięte z książki Briana W. Aldissa *Billion Year Spree: The True History of Science Fiction*.

Jerzy Kutnik

Autorem wszystkich rysunków w numerze jest ANDRZEJ CZECZOT.



ANNA GORENIOWA

## WŚRÓD GWIAZD O ZIEMI

Zróżnicowana radzieckiej fantastyki naukowej tkwią w modernizmie. Od okresu rewolucji 1905 roku do połowy lat dwudziestych była ta proza terenem wielkich światopoglądowych dyskusji. W tej właśnie konwencji wypowiadali się ludzie, których nazwiska do dziś liczą się w literaturze, nauce, filozofii. Na zesłaniu w Kałudze fantastyczno-naukową powieść napisał Konstanty Ciołkowski. W roku 1907 poeta rosyjski Walery Briusow w opowiadaniu *Republika Krzyża Południowego* opisał utopijne społeczeństwo usytuowane na Antarktydzie. Dyskusję filozoficzno-społeczną zainicjowała napisana przez znanego filozofa i lekarza Aleksandra Bogdanowa powieść *Czerwona gwiazda*, wydana w 1907 roku. Po Rewolucji Październikowej Aleksy Tolstoj w *Aelicie* (1922) przeniósł rewolucję proletariacką na Marsa. W niewerystycznej konwencji wypowiadali się Michaił Bułhakow i Ilia Erenburg.

Wydawać by się mogło, że okres po Rewolucji sprzyjać będzie rozwijaniu — w literaturze również — wielkich wizji społecznych, że właśnie wtedy snuć się będzie śmiało projekty przebudowy świata. Tak się nie stało. Po roku 1925 nie tylko fantastyka naukowa, ale i w ogóle radziecka fantastyka, zaczęła obumierać, czy ściślej — zniknęła z radzieckiej świadomości literackiej. Złożyło się na to wiele przyczyn, na pewno nie był to niedostatek talentów.

Pisali należące do fantastyki książki ludzie o niepospolitym talencie, ale zarazem tacy, których losy nie układały się prosto. Ich utwory wydawane w niewielkich nakładach nie doczekały się szybkich wznowień. Aleksander Grin umarł w nędzy. Powikłane było i życie, i dzieje spuścizny Bułhakowa. Nieprzychylnie przyjęła krytyka *Trust D. E.* i *Zagładę Europy* Erenburga. (...)

W roku 1922 w Kańsku, małym syberyjskim mieście, ukazała się utopia Władimira Itina *Kraj Gonguri*. Była to poetycka wizja przyszłych losów Syberii, pełnej ludzkiego szczęścia i kwitnących sadów. A że jednym z aksjomatów nowej władzy było przekonanie, iż kultura ma być dostępna dla wszystkich, więc Itin wydał książkę tak tanio i w takim nakładzie, by była rzeczywiście dostępna. I była dostępna — kosztowała tak tanio, że wykupiono ją natychmiast na skróty do machorki. Dział pierwsze wydanie *Kraju Gonguri* jest bibliofilską rzadkością.

To przyczyny — można by rzec — personalne, niekiedy anegdotyczne. Ale przyczyny głębsze, te, dla których science fiction zamilkła w Związku Radzieckim na wiele lat?

Proza, którą pisywali Briusow i Erenburg — celowo przywołuję tu nazwiska różniących się od siebie diametralnie pisarzy — zakładała niezgodę na rzeczywistość społeczną. *Republi-*

ka Krzyża Południowego i Zagłada Europy burzyły zastany świat społeczny, burzyły w imię innej, lepszej rzeczywistości. Takie były cele fantastyki rosyjskiej już w modernizmie. Takie właśnie utopijne myślenie było własną tradycją niewerystycznej rosyjskiej prozy radzieckiej.

W latach trzydziestych, czterdziestych, początku pięćdziesiątych w literaturze radzieckiej nie było miejsca na burzenie, można było tylko budować. Można było tylko poznawać, opisywać i katalogować. Świat był zaprojektowany i skończony. W tym świecie zadanie artysty polega jedynie na robieniu właśnie katalogów, katalogów rzeczy dla człowieka. Człowiek, redukując nie znaną sobie przestrzeń, dokumentuje swój stan posiadania, aprobeuje istniejące status quo. W miejsce kontrowersyjnych problemów społecznych przychodzi apologia techniki.

Jest to stara, pozytywistyczna jeszcze koncepcja, u której źródła tkwi proza Julesa Verne'a. Koncepcja tak stara, że w wieku XX należała już niemal wyłącznie do sfery zainteresowań literatury dla dzieci.

I właśnie fantastyczno-naukowe książki tylko dla dzieci pisywano w Związku Radzieckim przez wiele lat. Najbardziej znanym był piszący niesłychanie wiele Anatolij Bielajew ze swą wydaną po wielokroć powieścią *Człowiek-amfibia* (pierwotny wydruk w roku 1928). Powieści jego pełne są apologii techniki. Świat społeczny i bohaterowie są rysowani w dwóch barwach: czarnej i białej. (...)

Tuż przed wybuchem wojny radziecko-niemieckiej pojawia się parę opowiadań i powieści utrzymanych w tonacji „silni-zwarcigotowi”, które traktują o wspaniałych wynalazkach radzieckich uczonych, wynalazkach dzięki którym będzie można łatwo i niemal bezboleśnie wygrać wojnę (na przykład, powieść Jurija Dolguszina, *Generator cudów* — 1940 rok).

Również po wojnie radziecka fantastyka naukowa ma ściśle przez krytykę określone pole tematyczne. W uładowym świecie, w jakim porusza się w owych latach literatura, jest miejsce tylko na idylliczne opisy przyszłości i popularyzację pomysłów technicznych.

Sytuacja zmienia się w latach sześćdziesiątych, ale jeszcze w 1964 roku moskiewski krytyk Jurij Kotljar twierdził, iż utwory fantastyczno-naukowe *powinny popularyzować nowsze osiągnięcia nauki, mówić o odkryciach, które „wiszą w powietrzu” i wkrótce staną się zdobyczą ludzkości*. Inny moskiewski krytyk Łukjanin, w tym samym roku, twierdził po prostu, iż przedmiotem fantastyki naukowej jest *nie dzisiejszy dzień nauki, a naukowe hipotezy, nauka i technika jutra, acz opisywana z dzisiejszej perspektywy*. Z poglądami tymi w roku 1966 ostro polemizowali znani leningradzcy znawcy zagadnienia — Brandis i Dmitriewskij. Pisali, że przyjmując punkt widzenia Kotljar — Łukjanina trzeba odrzucić najlepsze teksty współczesnej fantastyki naukowej, ponieważ w nich nie tyle dominują problemy naukowo-techniczne, a raczej filozoficzne, społeczne i etyczne.

W roku 1966 Brandis i Dmitriewskij już mieli prawo tak pisać, odwołując się do radzieckiej fantastyki naukowej. W ogóle w połowie lat sześćdziesiątych fantastyka naukowa była już w Związku Radzieckim zjawiskiem, o którym można było i warto było dyskutować. Do roku 1957 wydawano w całym Związku Radzieckim, we wszystkich językach, około 10 książek fantastyczno-naukowych rocznie. W roku 1965 opubliko-

wano 315 utworów science-fiction jedynie w języku rosyjskim. W ciągu siedmiu lat od 1959 do 1965 roku ogólny ich nakład w ZSRR wyniósł około 140 milionów egzemplarzy. Zaczęło ukazywać się wiele ciekawych i liczących się w świecie serii.

Najciekawsze z nich to: „Fantastika” — wydawana w „Molodjoj Gwardii”, „S-F” — w „Znanije — Siła”, „W Mirie Fantastiki i Prikljuczenii” w Leninzdacie. Wychodziła wreszcie w olbrzymich nawet jak na Związek Radziecki nakładach przez kilka lat „Biblioteka Mirowoj Fantastiki” (inspiracja wielu przekładów publikowanych przez nasze „Iskry”).

Radzieckie almanachy są na ogół układane — tak jak na Zachodzie — tematycznie. Na przykład tomy „N-F” z kilku ostatnich lat są poświęcone kolejno: pozaziemskim cywilizacjom, bionice, medycynie przyszłości, utopiom ziemskim przeniesionym w odległą przyszłość.

Wydawałoby się, że nic prostszego tylko posegregować to wszystko wedle istniejących anglosaskich klasyfikacji i opisać. Zaczyna się takie klasyfikacje zwykle od motywu *lotów kosmicznych*, a kończy na *inner space* — czyli przestrzeni wewnątrzziemskiej lub wewnętrznych problemach człowieka.

Tyle że typologia wypracowana na Zachodzie i sprawdzająca się świetnie w zastosowaniu do anglosaskiej science fiction przyłożona do radzieckiej literatury fantastyczno-naukowej jest bezradna. Nic z niej nie wynika. O sensie i swoistości radzieckiej fantastyki naukowej decydują nie ci pisarze, którzy działają pod wpływem prądów zachodnich, choć jest ich sporo. Na Zachodzie — przynajmniej ilościowo — dominuje w science fiction literatura przygodowa wychodząca z westernu. Dopiero w obrębie przygodowego schematu fabularnego zostają, jakby na drugim planie, rozwiązywane takie problemy, jak loty kosmiczne będące — na przykład — konsekwencją przyszłego przeludnienia Ziemi, zagrożenie naturalnego środowiska człowieka, stosunek ludzi do myślących robotów itp., itp. Kolejną pochodną przygody i współczesnych zagrożeń technologicznych i biologicznych są problemy społeczne.

W radzieckiej fantastyce ostatnich dwudziestu lat hierarchie są odwrotne. Ze względu na problemy społeczne analizuje się to, co przynosi — na przykład — rozwój techniki, a fabularnie całą intelektualną konstrukcję podpira mniej lub bardziej przygodowa akcja. Ranga radzieckiej fantastyki naukowej w świecie została osiągnięta dzięki nawiązaniu nie do obcych wzorców, ale do własnej tradycyjnej literatury rosyjskiej, konkretnie do utopii. Oczywiście jest to utopia nowoczesna, która nie powtarza starego, rygorystycznego wzorca tego gatunku.

Można w tej literaturze wyodrębnić parę schematów fabularnych. Radzieccy fantaści pisują oczywiście wiele o podróżach międzygwiazdnych. Jest to konsekwencja różnie rozwiązywanego motywu konfrontacji: *My — Oni*. *My* — to ludzie, a raczej ludzkość jako całość. *Oni* — to istoty myślące z pozaziemskiej cywilizacji, kosmiczni przyjaciele lub wrogowie. Pojawia się motyw Ziemi po wielu wiekach. Pojawia się motyw: *my dziś w obliczu trendów własnej technologii albo obcej technologii i obcej cywilizacji*. Pojawia się obraz współczesnego „dzis” utrzymany z reguły w konwencji bajecznej, celowo odtealnionej.

Rzecz jednak nie w analizach z poetyki, opisie kolejnych motywacji kompozycyjnych. Interesujące jest raczej: czemu to wszystko służy?

Motyw, który można nazwać „my” po wielu latach, to



prawie zawsze apologia. Upraszczając nieco: oto mamy Ziemię jak wielki ogród i świat pełen ludzkiego szczęścia. Przy takim założeniu nie ma miejsca na konfrontację, na spięcia fabularne.

Właśnie na niedostatek fabuły cierpi jedna z najbardziej znanych radzieckich powieści fantastyczno-naukowych — wydana po raz pierwszy w 1957 roku *Mgławica Andromedy* Iwana Jefremowa. Bo głównym celem tej utopijnej powieści nie jest dostarczenie czytelnikowi napięć płynących z opisu przygód. Celem jej — tak jak każdej utopii — jest szeroka wizja społeczna możliwie dokładna i precyzyjna.

We wstępie pisze Jefremow o „rozmachu twórczej fantazji” i „wierze w świetlaną przyszłość”. Pisze, że *ustroj komunistyczny uzbroi człowieka w potężne środki działania i stworzy gigantyczne możliwości ustrojowe. (...) Postęp techniczny będzie odbywał się o wiele szybciej*<sup>1</sup>.

Opisów udoskonaleń technicznych jest tam nieskończenie wiele. Na przykład, nad biegunami *umieszczono sztuczne słońce, dzięki czemu lody uległy całkowitemu stopnieniu i zmienił się klimat całej planety.* (s. 61) Odkryto nowe źródła energii, dzięki którym można było zrezygnować z groźnej energii termojądrowej. Na Ziemi nie ma chorób, życie ludzkie trwa znacznie dłużej. Osiągnięto powszechne piękno ciała ludzkiego i doskonałość ludzkiego umysłu.

Jednakże takich pomysłów, bardziej jeszcze finezyjnych, jest w literaturze fantastyczno-naukowej zawsze dużo. Zainteresowanie *Mgławicą Andromedy* na Zachodzie wzbudziły ustrojowe koncepcje Jefremowa. Na Ziemi, którą opisuje autor, nie ma właściwie żadnego ustroju, gdyż nie ma państw, nie ma narodów. Istnieje jeden język, przemieszały się rasy i narodowości. Ludzkością nikt nie rządzi, bo nikt nie musi rządzić. O tym, czy jest coś możliwe czy nie, decyduje Rada Ekonomiki, która „zna realne możliwości”. Wspomagają ją różne instytuty i akademie — na przykład Instytut Badania Smutku i Radości, Akademia Sił Produkcyjnych, Akademia Przewidywania Przyszłości itp. Jednak są to ciała społeczne jedynie porządkujące czy sugerujące. Jeśli przed ludzkością staje jakiś szczególnie trudny lub nowy problem, cała ludzkość ustosunkowuje się do niego w powszechnym plebiscycie. Wyniki plebiscytów są na ogół jednobrzmiące. Ludzie zgadzają się ze sobą, zniknęły kontrowersje. Przyczyn tej jednomyślności doszukać się można w tym, co jest autentycznie nowe i własne w koncepcji Jefremowa. Istotą ustroju jest — jego zdaniem — wychowanie przyszłego członka społeczeństwa.

*Jedno z najważniejszych zadań ludzkości to przewyciężenie ślepego instynktu macierzyńskiego. Jest rzeczą bezsporną, że tylko zbiorowe wychowanie dzieci przez specjalnie w tym celu kształconych i dobieranych ludzi może ukształtować człowieka tej społeczności. Teraz się już nie spotyka egzaltowanej miłości macierzyńskiej, tak powszechnej w dawnych czasach. Każda matka wie, że cały świat jest zyczliwie ustosunkowany do jej dziecka.* (s. 342-343).

Dlatego każda zdrowa kobieta rodzi dwoje dzieci — to należy do jej obowiązków — i nie wychowuje ich. Dzieci wychowują się w szkołach, w których dba się, by nie zostały nawiązane wieloletnie przyjaźnie. Co cztery lata dziecko jest przesyłane do nowej szkoły znajdującej się w odległym miejscu.

<sup>1</sup> Iwan Jefremow: *Mgławica Andromedy*. Przetłóżył Lew Kaltenbergh, Iskry 1968.

Ciągle zmiany zapobiegają, zdaniem psychologa — jednej z postaci tej powieści, stopieniu umysłu częstego przy monotonii wrażeń.

Z tego tygla wyrastają, czy mają wyrastać, ludzie różni — Ziemia roić się ma od ludzkich indywidualności. Ale utopia na pokazanie ludzkich indywidualności nie pozwala. Postacie ludzkie są najmniej udanym elementem kompozycyjnym w powieści Jefremowa. Postacie są papierowe — wszyscy są piękni, dobrzy, sprawiedliwi i mądrzy. Z tej reguły wyłamuje się tylko jedna postać. Mven Mas — potomek Afrykanów — po to, by zaspokoić swe własne marzenie wyłamuje się z ogólnospołecznej dyscypliny i na własną rękę przeprowadza doświadczenie, w wyniku którego giną ludzie. Sam wobec siebie wyciąga konsekwencje. Jedzie na Wyspę Zapomnienia — miejsce wyjętych spod prawa. Jednakże Komisja Kontroli Honoru i Prawa rozważa motywy jego postępowania i uniewinnia go.

Masowi zamarzył się bezpośredni kontakt z mieszkańcami innych układów gwiazdnych. Chciał z nimi porozmawiać. Nie wystarczyły mu normalne już wtedy sposoby porozumiewania się, które polegały jedynie na przekazywaniu obrazów. To istniało już od dawna. Komunistyczna Ziemia ze względu na rozwój techniki i na poziom życia społecznego i etycznego została już kilkaset lat przed czasem fabularnym *Mgławicy* przyjęta do wspólnoty Wielkiego Pierścienia — wspólnoty myślących cywilizacji. Koncepcja Wielkiego Pierścienia — przyjaznego sojuszu istot myślących, pojawiać się będzie po wielokroć w radzieckiej fantastyce. Motyw kontaktu między nami — ludźmi i nimi — kosmicznymi przyjacielami lub wrogami stał się w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych kluczowym motywem tej literatury.

W przestrzeń kosmiczną mkną szybsze od światła statki. Rozwija stare pomysły Jefremow — *Cor Serpentis* (1959), *Godzina Byka* (1970), Siergiej Sniegow pisze olbrzymią powieść *Dalekie szlaki* (1966 i 1968), Georgij Martynow kontaktowi z inną cywilizacją poświęca *Gianęję* (1965), o konfrontacji z innymi — odmiennymi od reguł rządzących światem przedstawionym — ustrojami piszą wielokrotnie bracia Arkadij i Borys Strugaccy.

Na burcie jednego z międzygwiazdnych statków Jefremowa widnieje napis — *inwokacja ze Świętej Księgi Majów: O Ty, który później ukazesz swą twarz! Jeśli twój rozum rozumie, zapytasz: kim jesteśmy? Kim my jesteśmy? Zapytaj zorzę, zapytaj las, zapytaj falę, zapytaj burzę, zapytaj miłość. Zapytaj ziemię, ziemię cierpień i ziemię ukochaną! Kim jesteśmy? Jesteśmy Ziemią.*

Takie wyznanie niosą statki ludzi w międzygwiazdne daleko to, by spotkać braci w rozumie. Czy zawsze braci? Czy zawsze przyjaciel? W Galaktyce szaleją wojny. Okrutne istoty niszczą inne planety. Co mają robić ludzie? Pomocy dla innych, dla Niebian nie da się pogodzić z aksjomatem ustrojowym Ziemi. „Wszystko dokonuje się dla dobra ludzkości i człowieka”. Zjednoczona ludzkość uznaje, że zasada kiedyś prawdziwa jest już anachronizmem. Ogólnoludzki plebiscyt ustala, że pomoc dla nie ludzi jest obowiązkiem ludzkości. A pomoc to interwencja — interwencja w imię dobra, tak jak dobro rozumieją ludzie. W *Dalekich szlakach* Sniegowa:<sup>2</sup>

<sup>2</sup> Siergiej Sniegow: *Dalekie szlaki*. Przetłóżył Tadeusz Gosk, Iskry 1972.

Obok burt naszego statku przemknęły tysiące układów gwiazdnych i na żadnym z nich nie znaleźliśmy cukierkowego raju spokoju i błogości. Musieliśmy natomiast bić ciężką pięścią ludzkiej potęgi tych, którzy budowali swój mały dobrobyt na wielkich nieszczęściach innych. Uderzać złem w zło jest także dobrem. (s. 169-170)

Interwencja udaje się. Najbardziej wojownicza cywilizacja Kosmosu zostaje pokonana przez ludzi. Rozpoczyna się jej resocjalizacja.

Najpierw zmusimy ich siłą do zaniechania okrucieństw, a następnie stopniowo wciągniemy do stowarzyszenia rozumnych i wolnych istot Galaktyki. (...) Są pracowici i odważni, mają ogromne osiągnięcia techniczne. Czy sumienie pozwoli nam na zawsze odsunąć taki naród od współpracy międzygwiazdnej? (s. 305)

Planeta Gianeja (powieść G. Martynowa) sama dokonała rewolucji społecznej i dlatego nawiązała współpracę z Ziemią. Ale bywają planety, których się nie zdobywa, ale które chce się poznać również dlatego, że są inne, że panuje na nich odmienny od ziemskiego ustrój społeczny.

Potomkowie bohaterów *Mglawicy Andromedy* lądują na planecie Tormans, która — w sensie społecznym — trwa w Godzinie Byka. To, wedle świętej Księgi Mongołów, ta pora przed świtem, kiedy jest najciemniej, kiedy ciemność dławi za gardło. Ostatnia powieść Iwana Jefremowa *Godzina Byka*<sup>3</sup> (pisana w roku 1968) jest radykalną kontrutopią z licznymi i czytelnymi aluzjami do rzeczywistości chińskiej.

Jest to opis społeczeństwa rządzonego totalitarnie. Planeta (może kontynent) boryka się z problemami przeludnienia. Tym tłumaczą władze tego społeczeństwa jego podział dokonywany wedle swoich rozumianych zasad użyteczności społecznej. Ci, którzy są mniej przydatni, są tylko siłą roboczą, żyją krótko, są zabijani około trzydziestki. Nawet ubiera się ich inaczej w odróżnieniu od drugiej warstwy. Bo ci, którzy są zdolni, których trzeba kształcić, żyją długo. Ale żyją długo tylko dlatego, by służyć ustrojowi, nie mają prawa do uczuć rodzinnych, do osobistego szczęścia, do pogłębiania własnej działalności twórczej. Nie mają nawet prawa do śmierci, wtedy gdy życie jest dla nich zbyt okrutne.

Ciągnie się korowód: władza i nieograniczone możliwości dla grupki, która rządzi, nadto warstwy długo- i krótkożyjących zależne od władzy i nienawidzące się nawzajem. Jak z tego kręgu wyjść? Jak pomóc udręczonym mieszkańcom Tormansu? — zastanawiają się ludzie komunistycznej Ziemi. Trzeba zacząć od poznania — trzeba *rzeczywiście* poznać oficjalnie zafalszowaną przeszłość planety i ukrywaną teraźniejszość społeczeństwa Tormansu.

Świadomość społeczną na tej planecie fałszuje nauka. Rozbita na drobne okruchy wiedza interesuje ludzi nie więcej niż jakakolwiek inna robota, szeregowi pracownicy nauki nie widzą w niej sensu i celu. Fragmenty naukowych informacji łączą dopiero w logiczne i sensowne całości i opracowują w ściśle zamkniętych instytucjach wybrane grupki wtajemniczonych, przede wszystkim po to, by utrzymać ludzi w posłuszeństwie. To wiedza pozwala nie wykorzystywać wszystkich możliwości materialnych społeczeństwa — utrzymuje się nieprawdopodobną nędzę. Walczący o chleb ludzie nie mają czasu i siły na

<sup>3</sup> Iwan Jefremow: *Godzina Byka*, Młoda gwardia 1970. Przekłady moje — A. G.

myślenie. W naukowych instytucjach konstruuje się okrutną broń, przygotowuje się trucizny, opracowuje się technologię skażonego jedzenia. Mąci się ludziom w głowie przy pomocy chytrych zabiegów, fałszuje się prawdę.

Równocześnie podtrzymuje się wobec uczonej nienawiść, wzbudza się chęć upokarzania ich, wywierania przemocy fizycznej, mordy, eksterminacji. Ci, którzy żyją krótko — nie rozumieją nawet języka długożyjących. Te same słowa znaczą w języku jednych co innego, w języku drugich — co innego. Wiedzy na usługach władzy towarzyszy sprzedajna sztuka. Sztuka budzi wstręt, sprzeciw. Na przykład, sześciu młodych ludzi bije jednego, starego i niedołężnego. Ziemianin pyta: — Za co?

— Bo to pismak. Ci przekłeci pisarze-fagasi wymyślają niestworzone bzdury o naszym życiu, przekręcają historię, udawadniają wielkość i mądrość tych, którzy pozwalają im na długie życie i dobrze płacą. Za jedną ich frazę, która spodoba się władcom, musimy płacić my wszyscy. Bić takich to za mało. Ich trzeba wyrzucić. (s. 309)

Okłamująca nauka, sprzedajna sztuka nie wystarczają jednak do utrzymania społeczeństwa w ryzach ustroju. Pojawia się więc terror:

Od czasu do czasu fala terroru przeczesuje masy długożyjących i krótkożyjących, rzesze dostojników, uczonej, „oczy władcy” (tajną policję — A. G.) pozostawiając niezatarty strach. (s. 285)

Podsłuchy, tajne rewizje, aresztowania, rozwinięty system konfidentów... Odbywa się nawet pranie mózgow — hipnotyczne seanse, które wbijają w podświadomość entuzjazm wobec władzy. Taka rzeczywistość społeczna nie jest dla Ziemi czymś nowym. Tak działo się w odległej historii Ziemi (odległej w stosunku do czasu świata przedstawionego w powieści).

Ludzie nie pozostawiają braci w rozumie samotnych wobec terroru. Ekspedycja Ziemiaków nawiązuje kontakty poza władzą, kontakty z szeregowymi członkami społeczeństwa. Ludzie Ziemi organizują i udoskonalają istniejące już podziemne organizacje walczące z władzą. Zostawiają broń i co ważniejsze uzbrajają powstańców w ideologię, a przede wszystkim uczą wiary w siebie i zaufania wobec innych. Cena, jaką za to płacą, jest wysoka. Część ekspedycji ginie. Ale po kilkudziesięciu latach na planecie Tormans wybucha rewolucja społeczna — zostaje osiągnięty sprawiedliwy ustrój. Tormans wchodzi na drogę komunizmu.

Pozornie podobna jest wizja świata w opublikowanej równocześnie z *Godziną Byka* powieści Arkadija i Borysa Strugackich *Przenicowany świat*<sup>4</sup>. Na odległej planecie ląduje zabłąkany ziemski gwiazdolot. Na planecie panuje głód i nędza. Inteligentni i dziwni ludzie rozbierają pełne zardzewiałej amunicji metalowe lasy w północnych częściach kontynentu. W miastach rządzi gwardia, może tajna policja, i wylapuje tych dziwnych i inteligentnych, którzy potem rąbią lasy. Ci, których zostawia się w miastach we względny spokój, poruszają się jak w hipnotycznym śnie. Pierwsze wrażenie kosmonauty jest prawdziwe — *rzeczywiście* cała ludzkość owej planety jest poddana hipnozie. Kontynent obejmuje system wież. *Promieniowanie wież oddziałuje na układ nerwowy każ-*

<sup>4</sup> Arkadij Strugacki, Borys Strugacki: *Przenicowany świat*. Przetłumaczył Tadeusz Gosk, Iskry 1971.

dej istoty ludzkiej z tej planety. Fizjologiczny mechanizm tego oddziaływania nie był znany, lecz jego istota spowodowała się do tego, że mózg poddany napromieniowaniu tracił zdolność krytycznej analizy rzeczywistości. Człowiek myślący zmieniał się w człowieka wierzącego i zaślepionego, wierzącego fanatycznie, wbrew bijącym w oczy faktom. Człowiekowi znajdującemu się w polu promieniowania można było za pomocą najprymitywniejszych środków wmówić, by brednie uważał za święte i jedyne prawdy, gotów był za nie żyć, cierpieć i umierać.

Pole działało zawsze. Niezauważalne, wszechobecne i wszechprzenikające. Wypromieniowywała go nieustannie gigantyczna sieć wież pokrywająca cały kraj. Niczym gigantyczny odkurzacz wysysało z milionów umysłów wszelkie wątpliwości na temat tego, co krzyczały gazety, broszurki, radio i telewizja, co powtarzali nauczyciele w szkołach i oficerowie w koszarach, co głoszone z kościelnych ambon. (s. 264-265)

Kierujące napromieniowywaniem umysłów Centrum zostaje zlokalizowane — mieści się ono razem z centrum radiowym i telewizyjnym. Zostaje przez kosmonautę zniszczone, ale żaden z problemów tej planety nie został przez to rozwiązany, nie rozwiązał się sam przez się.

Czy wiesz, że w kraju szaleje inflacja? Czy ty w ogóle wiesz co to jest inflacja? Czy wiesz, że zbliża się głód, bo ziemia nie rodzi?... Czy wiesz, że nie zdążyliśmy zgromadzić zapasów żywności i lekarstw? Czy wiesz, że głód promienisty w jednej piątej prowadzi do schizofrenii? — (...) Potrzebujemy lekarzy... Dwunastu tysięcy lekarzy. Potrzebujemy syntetyzatorów białkowych. (...) Musimy zahamować degenerację biosfery... (s. 342)

Można było to wszystko zahamować, można było wszystkiemu zaradzić. Nad powolnym i skutecznym wydzwignięciem nieszczęsnej planety z inferno pracował sztab Ziemi — komunistów, którzy potrafili myśleć dialektycznie i znali prawa rozwoju społecznego. I oto jeden niecierpliwy i niedoinformowany chłopak przez jeden gwałtowny wyskok zniszczył napromieniowujące Centrum. Ale niezależnie od tego, co się stało, niezależnie od wszystkich konsekwencji, które gotowy jest ponieść, chłopak wie dobrze:

— Będę robił wszystko to, co mi poleca fachowcy (...) Ale swoje naczelne zadanie znam dokładnie: dopóki żyję, nie dopuścić, aby ktokolwiek zbudował tu jeszcze jedno Centrum... Nawet w najlepszych zamiarach. (s. 352)

Zdaniem Strugackich, nawet najszlachetniejszy cel nie uszczęca środków, nie pozwala na interwencję w wewnętrzne sprawy obcej albo tylko innej cywilizacji.

Prawo do interwencji w obliczu Kontaktu jest tylko jednym z motywów *Przenicowanego świata*. O konieczności i niemożności zachowania dystansu wobec obcej cywilizacji Strugacy napisali inną jeszcze książkę — *Trudno być bogiem* (1964)<sup>5</sup>

W feudalnym państwie Arkanar — na odległej planecie — szaleje terror. W powietrzu wisi zamach stanu i nieważne, czy przygotowuje go Inkwizycja, czy bojówki faszystowskie. Zjadacze chleba siedzą po domach i czekają bezwolnie na swoją kolej i swój los. Szarym mnichom ze Świętego Zakonu, który organizuje przewrót, jest wszystko jedno, kto spłonie na stosie. Ważne jest jedno: by ludzie się bali. Trudno znaleźć krótki

<sup>5</sup> Arkadij Strugacki, Borys Strugacki: *Trudno być bogiem*. Przetłumaczyła Irena Piotrowska, Iskry 1974.

i obojętny termin, który określiłby panoramę społeczną Arkanaru. To więcej niż *danse macabre*:

A jak śmierdzą gorące trupy na płonących stosach, wiece? A widzieliście kiedy nagą kobietę z rozprutym brzuchem. leżącą w kurzu ulicznym? Widzieliście miasta, w których milczą ludzie a słychać tylko krakanie wron? (s. 199)

Po ulicach Arkanaru chodzą ludzie o pustych twarzach. Tylko naiwnym terror wydaje się sztuką dla sztuki. Ma zastraszyć wszystkich, ale zniszczyć fizycznie i psychicznie tych, „którzy są wykształceni, inteligentni, mówią ciekawie, nie piją wina”.

Wczoraj na mojej ulicy zdeptali buciorami jakiegoś starca dowiedziawszy się, iż jest oświecony. Deptali podobno dwie godziny i pot im ściekał z tępych, zwierzęcych mord. (s. 47)

Najznakomitszy poeta Arkanaru sam rzucił do ognia swoje książki i na byle gest władcy deklamuje swoje nowe wiersze, które nie są już poezją.

Co powinien robić pracownik Instytutu Historii Eksperymentalnej, który ma pomóc ludziom Arkanaru? Nie wolno mu używać broni, choć musi ją posiadać. Właściwie nie powinien nawet wydostawać skazanych na zagładę intelektualistów Arkanaru z rąk katów. Ma przyspieszać procesy społeczne, „a nie zaspakajać swój słuszny gniew”.

Nie ingerując i nie pomagając, też ponosi się odpowiedzialność. Nieustanna walka ze sobą: bunt wobec okrucieństwa i świadomość, że jakakolwiek pomoc w skali społecznej jest niemożliwa. Przekonanie, że można tyle co nic — można ratować tylko jednostki, gdyż społeczeństwo musi przejść przez całą gehennę terroru i faszyzmu, bo tylko samo — bez żadnych pomocników i ingerujących doradców — może osiągnąć sprawiedliwy ustrój społeczny. To są etyczne antynomie, w których tkwi obserwator, życzliwy obserwator z Ziemi.

Cenę za nieinterwencję płaci obserwator — jedna z nielicznych mocno zarysowanych postaci w radzieckiej science fiction. Nawet jego przyjaciele cofają się przed milczącym i zamkniętym człowiekiem, na którego rękach są ślady krwi: Choć nie, to nie jest już krew, to tylko ślady poizomek, bo obserwatora wywieziono z Arkanaru na Ziemię — na spokojną, idylliczną Ziemię.

W innej powieści Strugackich, w *Pikniku na skraju drogi* Ziemia nie przypomina sielanki. Nie stać jest jeszcze Ziemi na idyllę, choć stała się rzecz wielka, o której marzyły pokolenia. W niezbyt odległej przeszłości pojawiły się na Ziemi bliżej nieokreślone twory, które niewątpliwie pochodzą z pozaziemskiej cywilizacji. Nastąpił moment wielkiego Kontaktu, ale Ziemia do Kontaktu nie dorosła. Dialog nie został nawiązany. Nie wiadomo nawet, co się naprawdę zdarzyło. Być może jakas cywilizacja zrzuciła na Ziemię mechaniczne urządzenia zbyt dla ludzi skomplikowane, a więc nie do pojęcia. Być może odwiedziły Ziemię myślące istoty, ale jeśli nawet tak było, to nie wiadomo, czy owe istoty Ziemię opuściły. Może była to próba inwazji. Może dla Innych Ziemia stała się czymś w rodzaju śmietnika i zostawili na niej ślady takie, jakie zostawiają turyści po pikniku na skraju drogi.

To, co w tradycyjnej fantastyce naukowej byłoby ośrodkiem fabuły, w powieści Strugackich jest nieistotne. Wiadomo tyle tylko, że zostało skażonych parę miejsc na kuli ziemskiej, skażonych, czyli śmiertelnie niebezpiecznych dla ludzi. Ważny jest w tej powieści problem, w jaki sposób to wydarzenie może zaważyć na losach Ziemi.

I oto dzieje się to, co zwykle się dzieje na Ziemi w wypadkach kłopotliwych i trudnych do rozstrzygnięcia. Niebezpieczne strefy otacza kordon oenzetowskich wojsk, powstają stosowne instytuty naukowe, z zagrożonego terenu szmugluje się przedmioty o nieznanym pochodzeniu, którym ludzie starają się dorobić ziemską użyteczność. W amerykańskim miasteczku sąsiadującym z niebezpieczną strefą powstają nowe sklepy, spelunki, burdele — przyjeżdża przecież masa nowych ludzi.

Ktoś za śmiałą hipotezę dostał Nagrodę Nobla. Jacyś starannie maskujący się osobnicy płacą nieprawdopodobne sumy za wszystko, czym można skutecznie i niekonwencjonalnie zabijać ludzi. Z dziwnych kuleczek robi się naszyjniki. Jeszcze coś innego, nazywanego „owaki”, zastępuje napęd benzynowy w samochodach, bo przecież nadal brak nowych źródeł energii. Słowem ludzkość przetłumaczyła sobie kontakt na własny język, przykrajala go do własnych potrzeb.

Dla większości ludzi sens wydarzenia zamyka się w krótkich gazetkowych notatkach i paru nowych udoskonaleniach przydatnych w codziennym życiu. Ci jednak, którzy patrzą nie tylko w najbliższe dni, wiedzą, że kontakt z pozaziemską cywilizacją dla Ziemi może stać się tylko przekleństwem, ponieważ ludzie do niego nie dorosli.

Ale Ziemia — także współczesna — w radzieckiej fantastyce naukowej jawi również swoją radosną twarz. Zbyt ostre kontury dnia codziennego zaciera umotywowane w tej konwencji odrealnienie. Spełniają się tu marzenia ludzi — wielkie marzenia o własnym losie, które kiedyś trafiały jedynie do baśni magicznej. Właśnie motywy baśni magicznej mieszają się z naukowotechnicznymi rekwizytami. Wbrew sobie kosmita obdarza ludzi prawem do wiecznej młodości i piękna, ale tylko tych ludzi, którym młodość jest rzeczywiście potrzebna. (Kirył Bułyczow — *Rycerze na rozstajach*)

Nieograniczonymi możliwościami obdarzeni są pracownicy Instytutu Badania Czarów i Magii Akademii Nauk Związku Radzieckiego (Arkadij i Borys Strugacki — *Poniedziałek zaczyna się w sobotę*<sup>6</sup>). Słuchają ich demony, pracują nad opanowaniem i swobodnym wykorzystaniem właściwości „wody życia”, przez przyzwoitość tylko nie posługują się inkluzami — czyli monetami, które zawsze po wydaniu wracają do właściciela. Pracują nad problemami ludzkiego szczęścia i sensu życia. Właśnie dlatego przyjęli roboczą hipotezę, że „zarówno szczęście, jak i sens życia polega na nieustannym poznawaniu rzeczy nieznanych”. W ich Instytucie dewizą stało się przekonanie, że „poniedziałek zaczyna się w sobotę”, ponieważ o szczęściu i sensie życia, ich zdaniem, decyduje praca. Ale praca autentyczna, a nie pozorowana.

Prawa rządzące Instytutem są bezlitosne. Jeśli ktoś oddaje się czynnościom egoistycznym, na uszach zaczyna mu rosnąć szara świńska szczecina.

No i snują się po korytarzach i pracowniach takie osobniki z uszami obrośniętymi szarą szczeciniastą sierścią, tępe, głupiejące w oczach, (...) Są także inni. Z pustymi oczami. Doskonale wiedzący, która strona kanapki posmarowana jest masłem (...)

<sup>6</sup> Arkadij Strugacki, Borys Strugacki: *Poniedziałek zaczyna się w sobotę*. Przełożyła Irena Piotrowska, Iskry 1970. (Jest to skądinąd powieść z kluczem o Pułkowskim Obserwatorium Astronomicznym Akademii Nauk Związku Radzieckiego, w którym przez wiele lat pracował Borys Strugacki).

Przezorni i wyzuci z zasad, znający siłę ludzkich słabostek, umiejący każde zło zmienić dla siebie w dobro i pod tym względem niez mordowani. Starannie wygalają swoje uszy (...) Jakże często osiągają znaczne wyżyny i wielkie sukcesy w głównej dziedzinie swej pracy — budowaniu świetlanej przyszłości w jednym wyodrębnionym mieszkaniu, na jednej wyodrębnionej działce odgradzonej od reszty ludzkości drutem kolczastym... (s. 160)

Nie odgradziła się drutem kolczastym od swojej współczesności radziecka fantastyka naukowa. Znalazła swój własny ton i dzięki niemu zajęła poczesne miejsce w światowej science fiction. Nie ześliznęła się w łatwe przygodowe schematy, które tak bardzo ciążyą nad zachodnimi książkami należącymi do tej konwencji. A dzięki przynależnej sobie metaforyczności czasami mawiała więcej o tym, co realnie otacza literaturę, niż proza z nazwy realistyczna. To jest jeden z licznych sekretów tej konwencji, ale znają go tylko ci, którzy umieją czytać książki pozornie rozrywkowe.

Anna Gorenkowa



MARIAN A. ALEKSANDROWICZ

## DROGI I BEZDROŻA POLSKIEGO KOSMOSU

Za Stanisławem Lemem (wszystko w polskiej SF bierze się od Lema, albo ociera się o jego dzieło) można by podzielić — polskich pisarzy — fantastów na dwie grupy, biorąc za wyróżnik zawartość w ich dziełach pierwiastka fabularnego i ideowego: myślicieli i wizjonerów<sup>1</sup>. Pierwsi podporządkowują konstruowane światy własnym oryginalnym systemom filozoficznym, u drugich zaś idea pełniąca rolę drugorzędną i możliwa do streszczenia niekiedy jednym zdaniem jest konsekwencją powieściowej rzeczywistości będącej w utworze bytem samoistnym.

Dzieło fantastyczno-naukowe bywa na ogół budowane z trzech zasadniczych komponentów: idei, którą może być system filozoficzny lub jego część, teoria naukowa ewentualnie dyskutowana na kartach utworu bądź przedstawiona do dyskusji hipoteza z dowolnie wybranej dziedziny wiedzy; ze świata pomysłanego, którego wizja jest nośnikiem idei lub polem gdzie odbywa się dyskusja nad nią; wreszcie z samej fabuły, do której należałoby tu zaliczyć również psychologiczne portrety bohaterów. Dominacja pierwszego czynnika dowodzi, iż obujemy z filozofem, czynnik drugi prezentowany jako nadrzędny komponent dzieła znamionuje wizjonera, wreszcie trzeci, zwłaszcza przy braku pozostałych, jest typowy dla montażysty.

U podstaw teorii nadistot Adama Wiśniewskiego-Snerga leży podział przyrody żywej i martwej na kilka stopni rozwoju. Stopień pierwszy to minerały, drugi — rośliny, trzeci — zwierzęta, a czwarty to człowiek. Zdaniem autora *Robota* istota niższego stopnia nie jest w stanie ogarnąć świadomością i pojąć istoty szczebla wyższego, nawet jeśli postrzega ją zmysłowo. W myśl tej teorii rośliny są nadistotą dla mineralów, zwierzęta — nadistotami roślin, zaś człowiek — nadistotą dla zwierząt. Łańcuch ten, jak uważa Snerg, może być kontynuowany. Pisarz przekonany jest o istnieniu jakichś organizmów o niezwykle wysoko rozwiniętej świadomości, będących nadistotami człowieka, których nie jesteśmy w stanie postrzec ani pojąć (nie mówiąc już o kontakcie intelektualnym) mimo iż są one materialne i wyzbyte jakichkolwiek cech nadprzyrodzonych. Teoria Snerga, jakkolwiek jest efektem czystej spekulacji umysłowej, stanowi na gruncie polskiej literatury SF ciekawą i oryginalną próbę racjonalnego wyjaśnienia sensu religii i wiary w Kosmitów.

Edmund Wnuk-Lipiński jest w swej teorii bardziej konkretny, wyprowadził ją bowiem z obserwacji totalitarnych systemów władzy, zwłaszcza zaś dyktatur latynoskich. Jest to

<sup>1</sup> Stanisław Lem: *Fantastyka i futurologia*, Wyd. Literackie, Kraków 1971, t. I;

może nie tyle teoria naukowa, ile ogólniejsza refleksja nad obecnymi systemami władzy autokratycznej. Otóż autor *Wiru pamięci* uważa, iż wszelkie junty dyktatorskie są z gruntu bezideowe, jeśli nie uznamy za ideę przemożnego pragnienia władzy, które to pragnienie jest motorem wszystkich działań, jak by one złe nie były; ktoś, kto posiadał już władzę, raczej nie jest gotów oddać jej dobrowolnie, a przeciwnie — czyni wszystko dla jej zachowania, podporządkowując temu celowi nie tylko działalność służb państwowych, ale także system informacji masowej, naukę, kryteria obyczajowe i moralne, a nawet modę i życie prywatne obywateli. Wyrazicielami tych poglądów są w powieści szef Służb Specjalnych i jego podkomendny, kapitan Vitollini.

Powieść Wnuka-Lipińskiego prezentując świat bogaty w szczegóły, pozostawia czytelnikowi spory margines dla domysłów. Już czas i miejsce akcji autor okrył tajemnicą. Apostezjon (tak brzmi nazwa powieściowego państwa) położony jest na wyspie, zaś po drugiej stronie morza znajdują się krainy w opinii władz Apostezjonu wrogie jego mieszkańcom. Obsesja infiltracji obcych agentów towarzyszy nam od początku do końca powieści. Władzę na wyspie sprawuje Zespół Ekspertów o bliżej nie określonym składzie i kompetencjach. Czytelnik może się jedynie domyślać, iż jest to dosyć bierna grupa osób będących same dla siebie prawodawcami i sędziami. Decyzje Zespołu docierają do obywateli za pośrednictwem telewizji, która oprócz funkcji informacyjno-propagandowych spełnia rolę kształcenia oraz jest czymś w rodzaju przewodnika życiowego. Rady i polecenia telewizji, sformułowane zresztą dosyć kategorięcznie mają tu moc prawa, a dotyczą wszystkiego, z dyktowaniem sposobu odżywiania się i ubierania włącznie. Zasadniczy trzon społeczeństwa, tak zwani „przeciętni”, przyjmuje te rady i zalecenia za dobrą monetę w przekonaniu, że służy to życiu, zdrowiu i bezpieczeństwu mieszkańców. „Przeciętni” to masa bierna i nieudolna. Jedzą syntetyczną żywność, faszeringują się pigułkami wywołującymi określony nastrój. Życie na Apostezjonie zubożało im do tego stopnia, że nie upominają się nawet o tradycję, której zostali — jako szkodliwej — brutalnie pozbawieni, tak samo, jak pozbawieni zostali wiedzy o stanie państwa i jakiegokolwiek na ten stan wpływu. Informacje podawane przez telewizję, chociaż są prawdziwe, to poprzez odpowiedni komentarz odbierają widzowi prawo do interpretacji faktów, zastępując je jedynie słuszną z punktu widzenia władzy interpretacją podawaną na wzór dogmatów.

Poza „przeciętnymi” żyje na Apostezjonie dwojakiego rodzaju margines społeczny: narkomani i gangsterzy oraz „temporyści”. Pierwsi stanowią dosyć podobny do naszego świat przestępczy, natomiast temporyści są typowo apostezjońskim marginesem. Są to ludzie, którzy nie przyjęli tutejszej cywilizacji. Mieszkają na ogół w podziemiach miast, karmią się świeżymi owocami rolnymi pochodzącymi z własnych upraw, noszą tradycyjne stroje, piją kawę, alkohol, a nawet czytają prawdziwe książki w zapomnianych językach. Władze traktują „temporystów” jak ludzi chorych psychicznie i często straszą nimi „przeciętnych”.

Fenomenem Apostezjonu są Służby Specjalne pełniące tu rolę armii, policji i sądu zarazem. Nad bezpieczeństwem mieszkańców czuwa i przestrzegania prawa egzekwuje Wydział Operacyjny Służb dowodzony przez kapitana Vitolliniego. Ka-

pitan jest człowiekiem zdecydowanym, energicznym i lojalnym. Świadom swej siły, w zakres której wchodzi także orzekanie o winie pojmanych przestępców i wymierzanie im kary, działa twardo i bez skrupułów nie oszczędzając nawet rodzowego brata — zawodowego gangstera. Członkowie służb są specjalnie dobierani i odpowiednio szkoleni, co daje im w połączeniu ze znakomitym wyposażeniem technicznym władzę nie tylko nad obywatelami, ale w praktyce również nad Zespołem Ekspertów, którego są częścią, gdyż Zespół, przydzielając służbom dotacje opiera się wyłącznie na sprawozdaniach szefa i w żadnym razie nie jest zdolny skontrolować praworządności i celowości poszczególnych operacji. Między służbami a światem przestępczym istnieje swoista symbioza oparta na założeniu, iż nie wolno wylapać gangsterów do ostatniego, ich to bowiem istnienie jest najlepszym uzasadnieniem celowości funkcjonowania Służb i przyznawania im stale rosnących funduszy.

Przesłanie powieści jest pesymistyczne: o ile system nie stosuje drastycznych form przemocy na masową skalę, nie wykształci się żadna zorganizowana opozycja i system będzie trwał, wciąż doskonaląc ingerencję w najintymniejsze sfery życia jednostki.

Innego rodzaju wizję społeczeństwa proponuje Janusz A. Zajdel w powieści *Cylinder van Troffa*. W przeciwieństwie do *Wiru pamięci* zarówno czas, jak i miejsce akcji są tu ściśle określone: rzecz dzieje się w XXIII wieku na Ziemi i na Księżycu. Wracająca z dalekiej wyprawy międzygwiezdnej ekspedycja zastała ludzkość podzieloną i chylącą się ku zagładzie. Podczas minionych dwustu lat uczeni, chcąc zapobiec przeludnieniu i klęsce głodu zastosowali środki drastycznie ograniczające liczbę urodzin. Niestety nowe pokolenie dotknięte zostało plagą mutacji genetycznych grożących degeneracją całej populacji. Zastosowano więc kolejny środek: wyselekcjonowano najbardziej prawidłowe jednostki i tylko one otrzymały prawo do prokreacji, pozostali zaś ludzie zostali tego prawa pozbawieni przez wpuszczenie do wody pitnej preparatu antykoncepcyjnego. Niestety preparat ten okazał się nieskuteczny wobec ludzi najbardziej obciążonych dziedzicznie i rychło grupa ludzi względnie normalnych wymarła, zaś pozostały jedynie osobniki genetycznie „czyste” oraz mutanty o bardzo niskim ilorazie inteligencji. Ten moment otrzymał w ówczesnej historiografii nazwę Rozszczepienia. Rządząca elita uczonych nie chcąc dopuścić do wymieszania się obu podgatunków w tajemnicy przed społeczeństwem wybudowała na Księżycu kilka samowystarczalnych miast-bunkrów, dokąd przeniosła się znaczna część naukowej i intelektualnej elity Ziemi. Pozostałym na miejscu ludziom stworzono znośne warunki życia, wzbogacając miasto o układ fotoogniw przetwarzających energię promieni słonecznych na elektryczność i syntetyczne pożywienie, jak też o automatyczny system komunikacji, łączności i służb komunalnych. Po całkowitym wymarciu mieszkańców Ziemi ludzie z Księżyca tzw. lunacy mieli na nią powrócić i zacząć odbudowywać cywilizację. Aby termin powrotu nie był zbyt odległy, wodę pitną na Ziemi nasycono preparatem, który sprawiał, że rodzili się prawie wyłącznie chłopcy.

Główny bohater powieści miał okazję poznać i porównać oba bieguny ludzkiej cywilizacji. W pierwszej kolejności lądował w bazie Luna-1 i dostał się wraz z towarzyszami do jednego

z czterech osiedli księżycowych. Miasta te rządzone dosyć autonomicznie grupowały łącznie kilkanaście tysięcy osób. Autonomia ta bynajmniej nie oznaczała demokracji. Zadaniem lunaków było przetrwać, przenosząc równocześnie w przyszłość całą wiedzę i wszystkie osiągnięcia cywilizacyjne ludzkości. Takie nastawienie na przetrwanie zmusiło Radę Ekspertów do opracowania bezwzględnie systemu prawnego. Ograniczono więc najwyższy dopuszczalny pułap długości życia do 60 lat (przedłużenie życia mogło mieć miejsce jedynie w uznaniu zasług), zaś śmierć uznano za rzecz normalną i niezbędną do kontynuacji gatunku, dopiero bowiem po zwolnieniu miejsca wydawano zezwolenie na poczęcie dziecka. Zdarzały się przejawy buntu przeciw przymusowej śmierci, lecz były one traktowane jak przestępstwo. Ziemia według oficjalnej propagandy nie nadaje się do ponownego zasiedlenia, jednakże, być może już w niedalekiej przyszłości, będzie można na nią powrócić, ale na razie nikomu nie wolno opuszczać Osiedla. Nie jest to zresztą możliwe, gdyż magazyny skafandrów i wyjścia na powierzchnię są pilnie strzeżone przez całą dobę. Wśród mieszkańców Osiedla L-1 krążą pogłoski, że Rada Ekspertów, aby nie utracić znaczenia i władzy, nigdy nie dopuści do powrotu lunaków na Ziemię, co byłoby nawet z punktu widzenia ich zdrowia niepożądane, gdyż ludzie ci wskutek braku ruchu i ściśle racjonowanych dawek żywności i tlenu stali się słabi i niezdolni do życia w warunkach ziemskich. Co odważniejsi zawiązywali tajne sprzysiężenia i spiski, które dzięki dobrze działającej sieci konfidentów rychło wykrywano, zaś winnych bądź uśmiercano, bądź wysyłano bez żadnego wyposażenia w niesterowanej kapsule na Ziemię, co z reguły również kończyło się śmiercią. Tak więc mimo drobnych zgrzytów życie w Osiedlach biegło swoim trybem: funkcjonowała telewizyjna oświata i propaganda, a karne i potulne społeczeństwo wierzło w wielki dzień powrotu na Ziemię.

Dzięki fortelowi dostaje się tam główny bohater i oczom jego ukazuje się społeczeństwo ludzi-zwierząt, będących wymierającymi resztkami genetycznych mutantów. Automatycznie zasilane energią słoneczną miasto karmi ich i ubiera, oni zaś pędzą żywot konsumpcyjny w najgorszym znaczeniu tego słowa, dzieląc swój czas między sen, poszukiwanie żywności, krwawe bijatyki i uprawianie niby-tańca. W hordzie tej nie będącej nawet społeczeństwem nie obowiązują żadne prawa poza prawem silniejszego. Podporządkowała się temu stanowi rzeczy szczęśliwsza grupa uczonych, którzy nie udali się na Księżyc. Ludzie ci, kolejno przedłużając sobie życie drogą hibernacji wegetują w świetnie zabezpieczonym przed niepożądanymi gośćmi bunkrze. Są to znakomici uczeni, którzy starają się przedłużyć życie ginącej ludzkości nie zapominając przy tym o sobie. Za broń własnej produkcji zdobyli od rozwydrzonych wyrostków trochę prawdziwych roślin. Syntetyzują o wiele lepsze pożywienie, niż to z automatów oraz alkohol, a ponadto biochemik Tom zajmuje się produkcją kobiet powielając kody genetyczne nielicznych mieszkanki miast. Tak więc ludzie ci, mając na względzie głównie własny interes chronią resztki ludzkości przed wymarciem.

Osobliwym przypadkiem jest w tym „społeczeństwie” dziewięćdziesięcioletni Tess, mędrzec-samouk znający świetnie przeszłość i przyczyny upadku rodzaju ludzkiego. W jednej z końcowych sekwencji powieści Tess wyklada swą filozofię:

Docentów i mnie broni to, że jesteśmy potrzebni tym ludziom. Oni zaspakajają ich niższe potrzeby. Ja próbuję zaspokoić wyższe... Bo i takie posiadają. Musisz wiedzieć, że są to wciąż ludzie. (...) Jednak większość tych ludzi opanował marazm wynikający stąd, że zdają sobie sprawę z tego, iż stanowią usychającą gałąź ludzkości. Mogąc korzystać z tego, co zapewniają ludziom miasta, mało kto już miał ochotę uczyć się, tworzyć, pracować. Robili to tylko nieliczni którym jeszcze sprawiała to satysfakcję. Ale każdemu, kto sobie uświadomił, że tylko kilka pokoleń dzieli jego czasy od końca ziemskiego społeczeństwa, opadły ręce. To właśnie ten brak motywacji, brak celów — stały się przyczyną rozkładu. Nie debilizm, skłonność do agresji i inne skutki genetycznych obciążeń — lecz beznadziejność i bezcelowość działania. Człowiek od początku swego istnienia jako gatunek rozumny był świadomy skończoności swego życia — a jednak powstała cywilizacja doskonała przez przemijające pokolenia — dla pokoleń następnych. Tu zabrakło spadkobierców, odbiorców owoców działania... Co robię w tym mieście? Po prostu próbuję niektórych przekonać, że powinni do końca zachować człowieczeństwo. Może ich ludzie i mamie, zmyślając cele, ku którym każę im zmierzać. Ale dla każdego z nich czyż niełatwiej będzie dożyć kresu swych lat z poczuciem pewnego sensu swojego istnienia? Tak, jak dla mnie dziś to wszystko, co robię stanowi o sensowności mojego bytu (...). Niektórzy wierzą, inni nie. (...) Niektórzy wierzą nawet w to, że bliski jest czas, gdy oni (Kosmici — przyp. M. A.) tu przybędą i uratują pozostałych na Ziemi ludzi, umożliwią im normalne rozmnażanie. Ciągłość populacji traktują jak nieśmiertelność, jej koniec — jak własną śmierć. Resztki populacji bronią się przed zagładą<sup>3</sup>.

Niestety wszystko okazało się daremne i bunt na L-1, który szybko rozprzestrzenił się i na pozostałe Osiedla, położył kres cywilizacji księżycowej, zaś Kosmici, którzy w końcu przylecieli na Ziemię, mogli jej miasta potraktować już tylko jako stanowiska prac archeologicznych.

Oprócz faktu, że zarówno *Wir pamięci* jak i *Cylinder van Troffa* są bez wątpienia utworami w swym gatunku wybitnymi, książki te i ich autorów łączą jeszcze co najmniej dwie cechy. Po pierwsze, obaj autorzy są uczonymi: Janusz A. Zajdel jest docentem fizyki jądrowej zatrudnionym w Centralnym Instytucie Ochrony Radioaktywnej, zaś Edmund Wnuk-Lipiński jest doktorem socjologii zajmującym się problematyką czasu wolnego. Po drugie, obaj pisarze wyrażają w swej twórczości niepokój o przyszłość cywilizacji i jednostki ludzkiej oraz sceptycyzm z powodu stale rosnącej roli uczonych w zarządzaniu społeczeństwami. Niezależnie od prywatnie głoszonych ideałów ludzie nauki w większym stopniu, niż politycy starego typu przejawiają zamiłowanie do władzy totalitarnej, z tą jednak różnicą, że wcielanie tych zamiłowań w życie przesłaniają parawanem wzniosłych haseł, stawiając ponad wszystko troskę o dobro człowieka, przy czym dobro i wolność to dla nich dwa zupełnie różne pojęcia. Pierwsze ma wymiar konkretny, drugie zaś — to mrzonka poetów.

Wśród książek lat siedemdziesiątych warto jeszcze zwrócić uwagę na trzy wizje, zaprezentowane przez Ryszarda Głowackiego<sup>4</sup>,

<sup>3</sup> Janusz A. Zajdel: *Cylinder van Troffa*, Czytelnik, Warszawa 1980, s. 163-165;

wackiego<sup>5</sup>, Lucynę Penciak<sup>6</sup> oraz spółkę autorską Andrzej Wójcik-Andrzej Krzepakowski<sup>7</sup>.

Ryszard Głowacki w *Paroksyzmie numer minus jeden* portretuje po raz kolejny w SF cywilizację robotów. Spotkanie Ziemi z „Gruszkowatymi” ma miejsce w przestrzeni kosmicznej, jednak ten kontakt pod żadnym pozorem nie wytrzymuje próby krytyki. Nie chodzi tu już nawet o to, że autor wyczynia z teorią Einsteina, co chce — jeśli ten w sumie niewinny i często w fantastyce praktykowany chwyt ma prowadzić do szlachetnego celu, wszystko jest w porządku. Jednakże autor zaplątał się w pętlę swego pierwotnego założenia: „Gruszkowaci” są nieśmiertelni i wszytkowiedzący — „i leży, jak długi”. Skoro bowiem tak jest, jak sobie życzy autor, to roboty wiedziały również wszystko i o spotkaniu z Ziemią i o historii, teraźniejszości i przyszłości Ziemi. Zatem cała prowadzona za pośrednictwem komputera rozmowa cywilizacji, zajmująca więcej, niż połowę książki traci z logicznego punktu widzenia jakikolwiek sens, stając się paplaniną głupiego z głupim.

Innego rodzaju „grzech” popełniła Lucyna Penciak w swych *Neuronach zbrodni*. Świat podwodnych miast i laboratoriów byłby może i ładny, gdyby autorka potraktowała czytelnika z szacunkiem należnym istotom rozumnym. Stanisław Lem, formując dziesięć sposobów odróżniania dobrej książki SF od złej, wskazywał między innymi na eskalację fantastyczności, jako na cechę tej drugiej<sup>8</sup>. U Lucyny Penciak owa eskalacja wyszła poza granice potrzeby kreacyjnej i zdrowego rozsądku. Mało, że nieletni bohaterowie, zamiast ślęczeć nad książką, toczą wojnę, mało, że delfiny (!) zastępują atomowe okręty podwodne, mało, że na każdą niekorzystną sytuację jest skuteczne antidotum w postaci pigułki lub jakiegoś cudownego wynalazku, to jeszcze w całej, podobno straszliwej wojnie ginie tylko parę delfinów, a na dobitkę wrogowie zjednoczenia Ziemi pełniący w książce rolę czarnych charakterów, a będący podobno bandą złożoną ze zdecydowanych na wszystko zawodowych wojskowych dają się wykołować grupie wyrostków, przed wykonaniem pierwszego zbrodniczego posunięcia. W końcowym zaś rozdziale okazuje się, że wszyscy będziemy aniołami, jeśli tylko pan doktor otworzy nam łepetynę i wytnie neuron zbrodni, dzięki któremu świat miał okazję zapoznać się z możliwościami Nerona, Draculi i Hitlera.

Fantastyka naukowa mimo wszystko jest, a przynajmniej stara się być literaturą i dlatego oceniając utwory tego gatunku, należy przykładać do nich taką samą miarę, jak do innych dzieł literackich bez ulg i bez stawiania sztucznych barier. Skoro więc w literaturze w ogóle liczy się oryginalność obrazów i świeżość sądów, to tak samo liczy się ona i w SF. Powinien o tym pamiętać każdy autor i to zanim zasiądzie do pisania. Niestety spółka Krzepakowski-Wójcik, powołując do życia świat z *Obszaru nieciągłości* zapomniała o tej dewizie, skutkiem czego czytelnicy otrzymali miasto rodem z *Pozytywnego dedektywa* Isaaca Asimova.

W izolowanym od świata zewnętrznego przy pomocy klosza pola siłowego mieście co jakiś czas powołuje się do życia kolej-

<sup>4</sup> Ryszard Głowacki: *Paroksyzm numer minus jeden*, KAW, Warszawa, 1979;

<sup>5</sup> Lucyna Penciak: *Neurony zbrodni*, KAW, Warszawa 1980;

<sup>6</sup> Andrzej Krzepakowski, Andrzej Wójcik: *Obszar nieciągłości*, KAW, Warszawa, 1979;

<sup>7</sup> Stanisław Lem: op. cit. t. I, s. 424-426 (przede wszystkim punkt 8);

ne Ideały — ni to bogów, ni to polityków, ni to uczonych. Ludzie ci spoczywają w sarkofagach hibernacyjnych w bazie księżycowej, skąd sprowadza się ich na Ziemię, odmraża i pokazuje w telewizji. Cała ta operacja nosi nazwę Eksperymentu, którego cel i skutki nie są znane ani wykonującym go uczonym, ani obywatelom miasta, ani nawet autorom, że już o czytelnikach nie wspomnę. Samo społeczeństwo przypomina trochę mieszkańców Apostezjonu, z tą jednak różnicą, że w ostatniej sekwencji powieści lud na wezwanie proroka w jednym momencie ze stada powolnych kukiel przemienia się w myślący naród, który w chwilę później wywołuje zwycięską rewolucję. Piękne to, ale nawet w fantastyce niemożliwe, bo jeden człowiek nie da rady przekonać otumanionych przez lata milionów, że rewolucja jest konieczna, a tym bardziej nie uczyni tego w ciągu jednej chwili. Jakby i tego było autorom mało, świat powołany do życia w ich powieści jest sprzeczny wewnętrznie z logicznego punktu widzenia, nie jest bowiem do pomyślenia, aby ciemni i głupawi ludkowie byli w stanie utrzymać w stałej sprawności technicznej skomplikowany system automatyczny, a skoro już utrzymują, to jako ludzie wykształceni nie dadzą sobą manipulować wedle widzimisię jakichś tam Ideałów.

Oczywiście, nie same tego rodzaju utwory pojawiły się w ostatnich latach. Ciekawe i z humorem pisane opowiadania Jacka Sawaszkiewicza, *Wizje Krzysztofa W. Malinowskiego* czy opowiadania Dariusza Filara i część (ale, niestety, tylko część) dorobku Zbigniewa Prostaka są wyjątkami od tej monsterskiej partaniny.

W świetle powyższych rozważań warto poszukać odpowiedzi na pytania stawiane autorom i wydawcom przez rzesze zwolenników fantastyki naukowej — pytania o stan i perspektywy rozwojowe tego gatunku prozy w naszym kraju.

Podobnie jak kryminał, także SF stała się jeszcze przed wojną literaturą „do skonsumowania”. Część naszych współczesnych krytyków i wydawców widzi w SF źródło zysków dla oficyn wydawniczych i tanich wrażeń dla niezbyt wymagającego czytelnika, zapominając, że w przeciwieństwie do kryminału gatunek ten niesie o wiele więcej, niż tylko rozrywkę, czego skutecznie już od lat dowodzi Lem, czego też dowiedli Jan Dobraczyński, Andrzej Przykowski, a ostatnio również prof. Józef Kozielecki.

Obniżenie poziomu rodzimej produkcji SF wzięło się z rosnącego nacisku czytelnicznych rzesz na księgarski rynek i konieczności zwiększenia ilości i nakładów nowo publikowanych tytułów. Ponadto należy pamiętać też o wzroście liczby stałych serii wydawniczych i o tym, że od redaktora SF wymagać należy nie tylko kwalifikacji czysto zawodowych, lecz także dobrej znajomości gatunku, nad którym przyszło mu pracować. Tylko wtedy fantastyka uzyska normalne warunki rozwoju. Normalne, czyli takie, które pozwolą preferować literaturę jako taką przy równoczesnym wzniesieniu zapory przed hochsztaplerami i beztalenciami. Tylko niedojrzałości redaktora można przypisać fakt ujrzenia światła dziennego przez opowiadanie Rajmunda Hankego *Eksperyment*. Tekst ten zawiera bowiem błąd rzeczowy wynikły z nieznamomości przez autora fizyki na poziomie szkoły podstawowej<sup>7</sup>.

<sup>7</sup> Opowiadanie Rajmunda Hankego *Eksperyment* znajduje się w tomie *Wielkie dni lotrów* („Iskry”, Warszawa 1980, s. 131-136), zaś wymieniony błąd rzeczowy polega na tym, iż przejmujące wycie pół-czł-

Perspektywy, przynajmniej te najbliższe rysują się dosyć zachęcająco. Spośród pisarzy będących już klasykami polskiej SF nowe książki przygotowują: Lem, Boruń, Chruszczewski i Fiałkowski. Spośród młodszych nową powieść, podobno rewelacyjną, złożył w „Iskrach” Janusz A. Zajdel, tomy opowiadań opublikują: Zajdel, Dworak, Wnuk-Lipiński i Wiśniewski-Snerg.

Za pozytywny objaw należy też uznać wzrost zainteresowania fantastyką ze strony krytyków i prasy literackiej. Negatywny natomiast jest ciągle brak na rynku wielu klasycznych pozycji ze światowego dorobku SF, takich choćby autorów jak Stapledon, Jefremow, Miller, Heinlein, Ballard, Berdnyk, Zsoldos, Orwell, Shekley, Bester, Komatsu i wielu innych. Miejmy wszakże nadzieję, iż także i te zaległości zostaną odrobione, wszak bez klasyki trudno mówić o kształtowaniu opinii krytyki i czytelników.

Marian A. Aleksandrowicz

wieka, pół-potwora wystrzelonego w Kosmos dociera do mieszkańców Ziemi, napawając ich strachem. Jak wiadomo, fale głosowe nie rozchodzą się w próżni;





JERZY KRZYSZTOF MISIEC

## CZEGO BRAKUJE LITERATURZE S-F?

Zyjemy szybko, coraz szybciej, ale wydaje się, że jeszcze ta prędkość nam nie wystarcza. Między rozliczaniem, selekcjonowaniem i interpretowaniem przeszłości a zachłannym pędem w niewiadomą przyszłość zda się brakować miejsca na przeżywanie teraźniejszości. Została ona skrócona do ulotnych chwil. ułamków sekund.

Jeśli pogodziliśmy się z ową metafizyczną nieobecnością teraźniejszości, przeszłość, a szczególnie przyszłość, stają się obszarami największej nadziei i... zagadek. Są zbawiennym azylem, gdzie kwitnąć może coraz bujniej rozwijająca się hipoteza mania. Jej szczególną cechą jest powszechna dostępność i poważnie ograniczona możliwość weryfikacji. A hipotezy mające swoich zwolenników funkcjonują dopóty, dopóki ich życie (nauka) definitywnie nie obali.

W tak nakreślonym nurcie naszej świadomości jest również miejsce dla literatury, zwłaszcza tej spod znaku science fiction. I może zbyt dużym uproszczeniem jest łączenie literatury s-f z ufologią, danikenologią (czy raczej szkołą Danikena), paleo-astronautyką, futurologią itp., to można doszukać się różnych pokrewieństw w tej skolięconej przez współczesność rodzinie. Świadczy o tym zakres zjawiska, wzajemne zależności i kontakty. Jedne dziedziny korzystają często z hipotez innych i odwrotnie. Nas najbardziej jednak interesuje literatura s-f.

Literatura s-f jest już w chwili obecnej faktem obiektywnym i silnie istniejącym. Przeżywa nawet w naszym kraju okres szczególnego rozkwitu i prosperity na rynku wydawniczym. Posiada swoje fan-kluby, serie wydawnicze, antologie, krąg swoich autorów ostatnio poważnie powiększonych przez grupę debiutantów (chodzi mi głównie o pozycje KAW-u). Wprowadzić nie mamy jeszcze w Polsce stałego periodyku poświęconego wyłącznie fantastyce naukowej, ale słyszy się, że coś takiego ma wkrótce powstać. Podaż i popyt na literaturę tego rodzaju są więc ogromne. W Stanach Zjednoczonych, gdzie w latach dwudziestych powstawały pierwsze magazyny science-fiction, gatunek ten staje się obecnie podstawową formą literatury masowej. I choć struktura literacka a nawet forma zewnętrzna zbliżają s-f do tradycyjnej „popular literature”, to fantastyka proponuje inną kompozycję świata przedstawionego, odwołuje się do odmiennych wyobrażeń o rzeczywistości, która w utworze najczęściej jest wynikiem spekulacji fantazji i tego, co nosi charakter naukowego prawdopodobieństwa.

Nie da się ukryć, że s-f jako pewien rodzaj „popular literature” obciążona jest jej grzechami i uproszczeniami zarówno jeśli chodzi o sposób budowania fabuły, stylistykę, słownictwo

jak i charakterystykę osób. Krytyka — raczej sporadycznie towarzysząca fantastyce — godzi się przeważnie z tym stanem rzeczy, odpowiada to także autorom. Wytworzyła się więc sytuacja, w której (może przez analogię do produkcji przemysłowej) to co masowe, co z pewnością zostanie sprzedane i skonsumowane, nie musi być najwyższej jakości. Względy komercyjne wydawców są zrozumiałe, ale trudno się pogodzić z bez troską autorów. Bo jeśli dowiaduję się, że w plebiscycie czytelników na najlepszą powieść s-f w trzydziestolecie PRL nagrodę otrzymuje Adam Wiśniewski-Snerg za powieść *Robot* to nie wierzę, że czytelnika tej literatury zadowoli byle jak napisana książka, byle „było o podróżach kosmicznych”. Lektura większości pozycji s-f pozostawia pewien niedosyt a nawet niesmak. Należy więc zadać sobie pytanie: czego brakuje literaturze science-fiction?

Poetykę s-f determinuje zasadnicze przewartościowanie w strukturze kompozycyjnej utworu. Tradycyjna relacja bohater — pomysł czy też bohater — idea ulega odwróceniu. Funkcję bohatera, dokładniej: ośrodka kompozycyjnego, pełni pomysł, a więc to wszystko, co jest najczęściej techniczno-kosmiczną koncepcją, która określa los osób występujących w utworze. Sam człowiek ograniczony jest we wpływie na budowę fabuły. Rolę dominantnej kompozycyjnej pełni pomysł, pewna idea, której musi zostać podporządkowana cała fikcja literacka. Zawęża to w sposób zasadniczy autonomiczność jednostki ludzkiej, jej indywidualizm jest przez to trudniejszy do zaakcentowania. Ulegając deterministycznym barierom stworzonym przez autora (dla czytelnika jest to w trakcie lektury mniej widoczne przez skomplikowanie fabuły, nagromadzenie epizodów) człowiek w s-f może demonstrować swoją siłę opierającą się przeważnie na doskonałej technice, ale jego możliwości są zawsze ograniczone. Jeżeli np. w *Niezwykłym* Lema załoga kosmicznego krążownika bezskutecznie usiłuje zniszczyć przy pomocy różnego rodzaju broni i promieniowania tajemnicze chmury owadów pozbawiające ludzi pamięci, to nie służy to demonstracji technicznej potęgi Ziemi. Niesamowita ilość energii zużyta w walce z owadami służy podkreśleniu niesamowitości pomysłu. Owady okazują się miniaturowymi mechanizmami o niezwyklej trwałości, działającymi jedynie w dużych zespołach. To z kolei pozwala na zbudowanie fantastycznej hipotezy o dziejach planety zagubionej w głębiach Kosmosu.

Lema dba jednak o spójną strukturę nawet największej ilości pomysłów. Gorzej, gdy pomysły są nieskładną mozaiką fantastycznych hipotez. Wówczas ciągłość fabularna, logiczna spójność faktów ulegają zachwianiu. Zbiorem takich pomysłów, które autor stara się za wszelką cenę powiązać jest *Powtórne stworzenie świata* Czesława Chruszczewskiego (Poznań 1979). *Fenomen kosmosu* tego autora był powieścią znacznie lepszą, choć również opartą na dużej ilości pomysłów.

Pomysł, jako główny szkielet utworu, okazuje się być dla s-f dobrodziejstwem i przekleństwem zarazem. Najłatwiej broni się w krótkich opowiadaniach, jest jakby dla nich stworzony. Od powieściopisarza wymaga zaś dużych umiejętności warsztatowych. Sam pomysł jest jedynie punktem do realizacji utworu poprzez nagromadzenie wokół niego atrakcyjnej fabuły. Zauważmy, że dla prozaika niefantasty punktem wyjścia jest najczęściej określona indywidualność, charakter czy pewne środowisko.

Literatura musi być interesująca, posiadać pewną strukturę i cel estetyczny. W s-f technicyzacja i fantastyczność pomysłu spełnia wprawdzie pierwszy postulat, ale autor jest tak zafra-powany ową koniecznością pomysłowości, że zapomina o funkcjach estetycznych. Wydaje się, że egzystuje przekonanie o wszechwładnej sile pomysłu; im bardziej „przebojowy” pomysł tym prostszymi, żeby nie powiedzieć prymitywnymi, środkami można go wyrazić. Zaskakująca fabuła, nagromadzenie zdarzeń, tajemniczych faktów po czym kompleksowe ich rozwiązanie jest najprostszym schematem. Można się w takim przypadku zastanowić: czy s-f nie oscyluje przypadkiem w stronę powieści sensacyjno-kryminalnej w jej najgorszym wydaniu?

Jedną z najsłabszych stron fantastyki naukowej jest psychologiczne portretowanie postaci. Faktem jest, że twórczość tego gatunku hołduje przeważnie behawiorystycznemu ujmowaniu człowieka — można dopatrywać się w tym jeszcze jednego czynnika wywołującego wyobraźnię czytelnika — ale w ten sposób zaprzepaszczona zostaje również cała sfera socjologicznych wpływów na psychikę jednostki. Jakby pod ciśnieniem hiperteknicznego otoczenia, przepelnionego robotami, komputerami, supermózgami, psychiczne jestestwo człowieka zostaje sprasowane, okrojone, sprowadzone do mechanistycznych zachowań. Stwierdzają ten stan i Vera Graaf (*Homo futurus*) i Stanisław Lem (*Fantastyka i futurologia*); s-f przedstawia raczej typy niż indywidualności ludzkie. Autorzy ci analizują przede wszystkim literaturę zachodnią, ale odnosi się to również do literatury polskiej, z chlubnym wyjątkiem właśnie Lema, w którego twórczości można zauważyć ewolucję w stronę psychologizacji i socjologizacji. Lema fascynuje np. socjotechnika w futurologicznym ujęciu i portret człowieka w społeczeństwie przyszłości (świetnym tego przykładem *Kongres futurologiczny*).

Pisarze s-f wydają się nie „kochać” socjologii, czują się na jej gruncie niepewnie, kiedy futurystyczną wizję społeczeństwa trzeba poddać scjentyficznym wymaganiom. Prognozowanie rozwoju społecznego nie należy do rzeczy łatwych, ale podlega pewnym, określonym regułom, oparte jest na naukowych przesłankach. Aby ograniczyć lub wręcz zniwelować działanie owych prawidłowości wprowadza się sytuację katastrofy (np. wojna atomowa), kosmicznej zagłady (inwazja kosmitów). Dlatego też systemy etyczno-socjologiczne pojawiające się w s-f są po prostu kombinacjami wszelkich możliwości i niemożliwości. Charakterystyczny, nawet dla utworów przedstawiających społeczeństwa innych od ludzkiej cywilizacji, jest antropocentryzm, który można poczytać za pewną naiwność. Z drugiej jednak strony trudno wyjść poza formę ludzkiej świadomości. Pamiętać również trzeba — co tak rzadko wykorzystują nasi fantaści — że fantastyczna opowieść może być jednocześnie pamfletem na konkretną rzeczywistość społeczną. Kosmizacja środowiska — w większości utworów akcja toczy się na pokładach pojazdów kosmicznych, innych planetach — tworzy atmosferę pewnej sterylności, oderwania od społecznego kontekstu. Autorzy jakby bali się umieszczenia akcji w ziemskich realiach powiedzmy roku 2041. Wymaga to bowiem szerszego przedstawienia środowiska, cywilizacji ziemskiej, wreszcie hipotetycznej ewolucji społecznej.

W fantastyce tak szeroko uprawianej i posiadającej liczną grupę odbiorców (np. książki KAW-u wychodzą w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy) tkwią jeszcze ogromne możliwości.

próba wyeliminowania słabości tej prozy może przynieść cenne efekty. Nie można jej uważać za gorszą, mniej wartościową. Posiada ona potencjalnie wszystkie cechy literatury niefantastycznej. Może być więc również instrumentem kształtowania wrażeń estetycznych, zainteresowań, światopoglądów, przekonań. W warstwie formalnej może przynosić ciekawe rozwiązania (Lem *Wielkość urojona*), być wartościową artystycznie prozą (R. Bradbury, K. Vonnegut, A. Wiśniewski-Snerg). Fantastyka dla polskich pisarzy jest jeszcze szansą, dopóki ten gatunek literatury nie skostnieje w tanich schematach i nie zdeprecjonuje się poprzez niedobre książki.

Fatalny wpływ na s-f może mieć kino i telewizja. Jeśli widz nie potraktuje na przykład filmu *Gwiezdne wojny* jako efektowną kawkadę tricków filmowych i prezentację technicznych osiągnięć kina, to tę kosmiczną bzdurę gotów jest utożsamiać z s-f. W ubiegłym roku TVP pokazała film animowany bodajże o jakimś „Galactusie”. Poza dobrą kreską reszta jest w tym filmie-komiksie dla dorosłych i dzieci, żywcem wzięta z amerykańskich „pulp-fiction” — groszowych powieści s-f na najniższym poziomie.

Zanim czas dokona selekcji wszystkich utworów literackich pozostawiając potomnym dzieła najlepsze, zadbajmy o poziom tego, co wyznacza stan literatury dzisiaj. Choć żyjemy tak szybko.

Jerzy Krzysztof Misiec

STANISŁAW LEM

## Czy odchodzę od Science Fiction?

Science Fiction przeżywa od szeregu lat fazę wzmożonej produktywności, widoczną we wzrostach ilości nowo wydawanych tytułów, w przyjmowaniu jej do programów wydawnictw, dotąd stroniących od SF, w powstawaniu nowych, poza istniejącymi, magazynów, poświęconych wyłącznie temu rodzajowi, w zainteresowaniu nim świata filmowego, przez co powstają filmy tak kosztowne jak „Gwiezdne Wojny”, i wreszcie w swego typu „uszlachceniu”, jakie SF zdobywa w kręgach przede wszystkim akademickich Stanów Zjednoczonych, gdzie wykłada się ją na uniwersytetach i poświęca czasopisma redagowane przez literaturoznawców i filologów, czyli fachowców, przeznaczone dla innych specjalistów, a zarazem wszystkie te zjawiska wzięte razem dodają autorom honoru i splendoru od poczucia, iż gatunek dotąd uznawany za tani, brukowy, awanturniczy, zdobywa — czy już zdobył — pełnoprawne obywatelstwo w Prawdziwej Literaturze.

Ten „boom” Science Fiction ogarnął także moje teksty, co widać we wzroście liczby wydań, tłumaczeń i nakładów i w propozycjach filmowania, jakie dość systematycznie odrzucam na równi z wychodzącymi od różnych telewizji. Mimo to ów trend wzmożonego zainteresowania SF bynajmniej mnie nie raduje, przeciwnie raczej zniechęca do gatunku i popycha ku eksperymentom, na ogół oddalającym się od gatunkowego kanonu. W niniejszych dość luźnych uwagach chcę wyjaśnić moje stanowisko.

Literatura na Zachodzie, bo o niej będę przede wszystkim mówił, podlega utowarowieniu jako komercjalizacja w tym mniejszej mierze, im bardziej jest wyszukana, czyli elitarna, i przez to nie może liczyć na masowy odbiór jako wchłanianie w obiegi masowej kultury. Nic nie mam, rzecz jasna, przeciw temu, by książki intelektualnie i artystycznie świetne czytały miliony ludzi. Takim trendem mógłbym się tylko cieszyć. Niestety, wzrost popularności SF w niczym nie odmienił jej typowych cech, pisarstwa rozrywkowego, sensacyjnego i przygodowego, i wolałem sytuację, w której SF jawnie się do tej skromnej roli i postawy przyznawała, aniżeli sytuację strojenia jej w fałszywe piórka. Jako czytelnik beletrystyki wszechkiernej, więc nie tylko fantastycznej, szukam utworów ujawniających niepowtarzalną autorską indywidualność i nic mnie tak nie odtrąca jak twórczość standaryzowana, jak książki zrastające się techniką narracyjną, podjętą problematyką, sposobem kształtowania fabuły, a nawet stylem i metodą tworzenia nazwisk bohaterów, książki sprawiające wrażenie, że pisali je wciąż jeden i ten sam anonimowy producent na zamówienie rynkowe, który nie miał nic własnego i jedyne do powie-

dzenia, lecz po prostu korzystał z istniejącego popytu i takiego minimum sprawności, które umożliwiła produkcję aprobowaną przez lektorów w wydawnictwach i księgowych, badających opłacalność całego przedsięwzięcia.

Nazwisko moje stało się w tej sytuacji znakiem jakości, czyli marką chodliwego towaru, a widać to choćby po tym, że Japończycy nabyli prawa do mojej *Filozofii Przypadku*, że wydać ją pragnął dom edytorski wydający głównie (choć nie wyłącznie) SF, aczkolwiek jest to rzecz z zakresu teorii literatury, dość hermetyczna, napisana głównie dla literaturoznawców i tym samym nie mająca nic wspólnego ani z beletrystyką fantastyczną, ani nawet z jej krytyką czy teorią. Książka ta, omawiająca pewne zagadnienia teorii na przykładach bliskich krajowemu czytelnikowi, nie może dać wiele Japończykom, którzy nie znają przecież naszej klasyki literackiej i poznać jej nie mogą, gdy idzie o nazwiska takie, jak np. Leśmian. Toteż chciałem zrazu wyjaśnić wydawcy, że jego propozycja jest nieporozumieniem, lecz mój agent skłonił mnie do zaniechania podobnych wystąpień i wydawca prawa nabył, czego dziś właściwie żałuję. Nie uważam bowiem, że należało się przyczyniać do powstawania mętlika nawet taką bierną zgodą.

Zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, ale też w innych bogatych krajach kapitalistycznych, trwa proces pochłaniania mniejszych wydawnictw samodzielnych przez olbrzymie konsorcja, dla których nabywanie domów wydawniczych nie jest nawet ruchem zmierzającym do monopolizowania rynku książki, lecz jeszcze jedną inwestycją kapitałów, bo wydawnictwa kupują konsorcja, które zarazem inwestują w dziedziny od spraw kultury bardzo odległe. W tej sytuacji produkcja książek staje się tak masowa i taśmowa, że razem z dystrybucją odbywa się niejako na ślepo; los pojedynczej książk. wazy tyle co, powiedzmy, los pojedynczego typu chłodnicy samochodowej w General Motors. Co nie sprzedaje się tak prędko, aby pokrywać włożone w produkcję środki, idzie do młyna papierowego, i na tym przynajmniej rynku, literatury masowej, nabyć konkretny tytuł, wydany kilka lat temu, który źle szedł, może być wręcz nieureczywistnialne: znaczy to, że znamie dla kultury typowe — trwałej przynajmniej potencjalnie pamięci, ulega zniszczeniu na rzecz jak gdyby zbiorowej amnezji. Podaż jest tak ogromna, by przewyższała zawsze popyt, a co wzbiera nad skraj popytu, ulega likwidacji. Zarazem trwa produkcja bestsellerów, które robią pospołu autorzy zdolni wyczuć momentalne łaknienie rynku czytelniczego, oraz wydawcy gotowi na ryzyko w stylu giełdowej operacji, doraźnego a sporego wkładu w reklamę. W USA są już w obiegu podręczniki instruujące, jak się wytwarza takie bestsellery, z reguły o życiu jednodniówek, ale przynoszące miliony, bo przed edycją najważniejsze jest sprzedanie praw ubocznych, więc ekranizacji, kasetowania i wszystkich innych. Słabsze domy wydawnicze, np. w Anglii, w ogóle niechętnie wydają cokolwiek pierwsze, bo dla zapewnienia sobie minimum rentowności najpierw usiłują sprzedać prawa filmowi i telewizji oraz licencje w całym obszarze anglijszczyzny od Kanady przez USA po Australię, by potem już bez ryzyka wazyć się na wydanie w samej Anglii.

Znam wypadki, kiedy od jakiegoś niedopatrzienia lub dzięki towarzyskim znajomościom czy personalnym układom znaczny wydawca w USA wyprodukował książkę Science Fiction, której aż do wyrzucenia całego nakładu przez maszyny w o g ó l e

nikt nie czytał, a skoro okazało się, że jest to zupełny bełkot, książkę całym nakładem skierowano wprost do młyna, bo obeszło się to taniej niż przyjęcie ryzyka dystrybucji. W polu takich nacisków właśnie powstaje masowa literatura SF silnie ujednolicona, wyjalowiona z myśli, powtarzająca ograne schematy, nie aspirujące do intelektualnych, filozoficznych czy jakichkolwiek innych rewelacji, konformistyczna, tyle że to jest konformizm nowszych czasów, to znaczy nie stroniący od spermy, krwi, kału, brudu, ponieważ okazało się, że miszkulancje te dobrze się sprzedają w „permissywnych” społeczeństwach.

Jak się o tym nie od razu, lecz ze znacznym mozolem i w ciągu długich lat, mogłem dowiedzieć o samym sobie — motorem mojej aktywności, tak pisarskiej, jak czytelniczej, jest autentyczna ciekawość, dająca się rozpisać na pytania długiej listy, na której figurują kwestie takie na przykład, jak rzeczywista pozycja ludzkości w Kosmosie, tajemnica Silentium Universi, granice postępu w działaniach poznawczych, obracanie się takiego postępu w czynnik szkodliwy lub zagrażający bytowi powszechnemu, antynomie wszechmocy zdobywanej przez wprzęganie sił Natury do społecznego wehikułu, typowość lub nietypowość przebiegu tej ewolucji naturalnej, która na Ziemi ukształtowała nasz rodzaj, bardzo odległe od nas w czasie stosunki pomiędzy wiarami religijnymi a racjonalizmem wyposażonym w ogrom instrumentalnej mocy, przyszły wygląd socjotechnicznych sprawności, mających utrzymać w ryzach „permissywnie anarchizujące się” społeczeństwa, skutki prześcignięcia przez rozum zmechanizowany i wyalienowany rozumu istot naturalnych, jako też setki podobnych zagadnień i zagadek, których porządne wysondowanie zakłada doczekanie się następnych tysiącleci, więc jest niemożliwością biologiczną. Udzielanie na takie fascynujące mnie pytania odpowiedzi jawnie uproszczonych, fantastycznych jako ludzających, głupich oraz kłamliwych, czy też rozmyślne albo mimowiednie niedostrzeganie owych pytań w ich całej poważnej sensowności sprawia, że Science Fiction przestała mnie cokolwiek obchodzić zarówno jako autora, jak też czytelnika. Oczywiście kluczowe dla tej dyferencjacji jest rozróżnienie między czczą kłamliwością a śmiałym hipotezotwórstwem i tutaj żadnych uniwersalnych kryteriów rozgraniczania podać nie umiem. Lecz skoro ten, kto chce spojrzeć możliwie daleko, musi stanąć możliwie wysoko, jasne jest, że dla kogoś palonego taką jak opisana ciekawością nie ma właściwie wiedzy zbędnej i z jej elementów musi sobie wznosić platformę obserwacyjną. Otóż wszechzakresowa ignorancja autorów SF, bijąca z kart ich powieści, jest godna podziwu; i jest to ignorancja po części tylko wywołana niechęcią doksztalcenia się, bo w znacznej części rozmyślna jako przekreślanie — dla celów korzyści narracyjnych — niezliczonych fundamentalnych praw Natury od termodynamiki po astrofizykę; lecz świat tak przedstawiony, Kosmos, jest Kosmosem w fundamentach swoich totalnie sfalszowanym i nie ma z realnym Wszechświatem nic wspólnego prócz pewnych nazw, pozorujących dalsze obserwowanie obiektów realnych jak jakieś gwiazdy czy mgławice.

Jednym z nurtów równoległych niejako, choć bocznych względem SF, jest piśmiennictwo pseudorzeczowe, niekiedy wyrastające z fanatyzmów maniakałnych, niekiedy na zimno eksploatujące lęki, nadzieje i niepokoje społeczeństwa współczesności, więc piśmiennictwo poświęcone jakoby obiektyw-

nemu omawianiu „tajemnic” takich, jak trójkąt bermudzki, jak życie po śmierci i „naukowe” dowody na jego istnienie, jak UFO, zjawiska „Psi”, telekineza, życie emocjonalno-duchowe roślin, jak astrologia i jej niezliczone teorie oraz wcieleń, jak nowe, ad hoc konstruowane „wiary”, będące zwykle hybrydami wiar istniejących, jak „objawienia” pokazujące wspaniałe i pozytywne strony narkomanii, a także jej przyszłych udoskonalień farmakotechnicznych itd. Warto zauważyć, jak cynicznie postępują na tych polach autorzy, którzy nie są maniakałnymi rzecznikami własnej sprawy (takim jest Däniken), lecz, jak np. Berlitz, na zimno eksploatują konkretny tematyczny krąg. Berlitz wiercił tak „trójkąt bermudzki” i kiedy już ten cały „pokład dóbr” wykorzystał do cna, przeniósł się w dziedzinę pozagrobowej egzystencji i tam wziął się, zakasawszy rękawy, do roboty.

Między tymi nurtami widać wyraźne zrosty, po prostu w tematach podejmowanych przez fantastykę, zwaną naukową, pojawiają się niezliczone elementy pożyczane od nurtu pseudodyskursywnego, popularyzującego te czy inne „tajemnice”. Powstają w ten sposób Himalaje umysłowego śmiecia i można tu bez najmniejszej przesady mówić o intelektualnym zanieczyszczeniu, zagrożeniu, a nawet o systematycznym zatrucaniu umysłowego środowiska. Trudno więc się dziwić człowiekowi łaknącemu jak ja realizmu w ocenie przyszłych zdarzeń i przyszłości poznania, że w uszlachcaniu nazwanej paskudy widzi zjawiska jednoznacznie negatywne, a dla kultury i higieny umysłowej wielu wręcz fatalne.

W sytuacji tej obrona prawdy, jako jej autentycznego poszukiwania wśród bezliku stojących przed rozumem szans, na całej szerokości frontu nie jest dla jednostki możliwa. Trzeba bronić zatem co najmniej własnych pozycji, i trzeba zarazem granicę między nimi a wrogami, bo tak przychodzi już mówić, przeprowadzać wciąż od nowa z największą sumiennością. Trzeba też ponadto dbać o to, aby owe rygory apokryzy i delimitacje nie uszczknęły niczego z lotności wyobraźni, aby nie stały się jej ograniczeniem w solennie podjętych poszukiwaniach. I trzeba wreszcie pozostawać otwartym na wszelką rzeczywistą innowację, bo przecież niepodobna a priori wykluczyć jej powstania gdziekolwiek na świecie.

Za bardzo znamienne dla sytuacji w całości uważam wypowiedź pewnego krytyka w austriackim periodyku; napisał on tam na marginesie mojej twórczości, że jest ona dla niego irytująca, jako nazbyt trudna, stawiająca czytelnikowi zbyt wyśrubowane wstępnie wymagania, w przeciwieństwie do popularnej SF, która ani nie zagraża, ani nie utrudnia przystępu do siebie barierami wstępnych doksztalczeń, które trzeba zyskać, żeby swobodnie czytać Lema, zwłaszcza w jego późniejszych tytułach. Wzięte w dwa słowa znaczyło to, że zrobiłem się za wyrafinowany i nazbyt mądry, a przez to i nieprzystępny. Z istnienia takiego ryzyka zdawałem sobie od dość dawna sprawę i wyznaję, że było mi to problemem nielatwym, ponieważ nie jest aż tak, żebym w ogóle nie zważał na czytelność jako zrozumiałość moich tekstów. Zresztą wiadomo mi też, ile przykrego zamętu i rozczarowania sprawiałem czytelnikom w ostatnich latach, odchodząc książkami *Doskonała Próżnia* czy *Wielkość urojona* od kanonu takich książek, jak *Niezwyciężony* czy *Solaris*. Szukałem rady, ale jakiejś równej wytrychowi, odmykającemu wszelkie skomplikowane zamki nie odnalazłem, niestety; pisząc więc dalej, miałem nie najlepsze

samopoczucie w postaci świadomości, że chociaż nie jest to moim zamiarem na pewno, uniedostępniam się licznym czytelnikom, nie mówiąc już o tym, że tracę razem z takimi czytelnikami niejednego z tłumaczy, jednym słowem utrudniam życie wszystkim naraz — a też samemu sobie. Dobrze uczynił ten austriacki krytyk, że tak wyraźnie i otwarcie to powiedział, bo zawsze lepsza jest diagnoza wyraźna od napomnień i pomówień na stronie. Jeśli cokolwiek ośmielało mnie jednak w dalszej wspinaczce na coraz bardziej strome wyżyny, to świadomość komplikacji, jakie wprowadza w literaturę głównego nurtu wszelkie eksperymentatorstwo. Chodzi o książki, które często obezradniają mnie jako czytelnika i muszę je wtedy odkładać nie doczytane z zalem, nie kierowanym jednak do autorów. Jeśli komplikować, zaciemniać, wikłać prozę i poezję wolno innym, uważam, że mnie należy się takie samo uprawnienie, aczkolwiek motorem moich poczynań nie jest poszukiwanie przede wszystkim innowacji artystycznej, lecz poszukiwanie jeszcze nie tkniętych strategii w hipotezotwórstwie i w myślowym doświadczeniu, burzącym i te kategorie, co są podstawami wszelkiego racjonalnego tradycyjnie myślenia. Widocznie ciekawość moja jest większa niż łaknienie masowego odbioru i takiegoż poklasku. Nie powiadam ani, że to dobrze, ani, że to źle. Odpowiadam wyłącznie za siebie, za swoje książki tak samo, jak za swoje wybory w lekturach, i dlatego też moja radykalna niechęć względem Science Fiction prawie w całości jej dokonań to jedynie uczciwe zdanie sprawy ze stanowiska, jakie zajmuję.

Kreacyjną część tego stanowiska pozwolę sobie unaocznic na dwu przykładach, aby je dookreślić. Nie jest bowiem tak, i wie o tym każdy, kto mnie czytał, jakoby całość mojej twórczości szła jednym szerokim nurtem prognostycznym i nie poza rezultatami tak skierowanych prób i wysiłków mi się nie liczyło. Rolę, jaką może grać w fantastyce humor, sprezentuje takie wyobrażone doświadczenie: łaknąc demokracji prawdziwie doskonale, wprowadza się do każdego domu końcówkę rządowego komputera, co umożliwi doraźne i błyskawiczne poznanie opinii całego społeczeństwa o każdej kwestii do rozstrzygnięcia, bez względu na jej wagę. Tak znakomite zinstrumentalizowanie zasady powszechnej i bezpośrednioj demokracji jako krótkiego zwarcia wszystkich obywateli z ośrodkiem decyzyjnym państwa doprowadziłoby całą tę koncepcję do zupełnego fiaska jako redukcja do absurdu, ponieważ momentalna wola większości wcale nie pokrywa się z tym, co dla owej większości może być w samej rzeczy najlepsze. Sprawy ogólnospołeczne zdobywają coraz wyższy stopień komplikacji w związku z rosnącą współzależnością masowych zjawisk w ekonomii, polityce wewnętrznej, zagranicznej, z pluralizmem w kulturze, z różnodystansowością skutków aktualnie podejmowanych decyzji, z powikłanymi stosunkami między prawną i obyczajową świadomością społeczną a potrzebami dnia, np. w zakresie polityki penitencjarnej, ze znacznym, nieuchronnym rozrzutem poglądów, zainteresowań, różnorodnością postaw obywatelskich, potrzeb konsumpcyjnych, nadziei życiowych, kształceniowych itd. Dlatego nasze czasy coraz więcej wagi przypisują społecznej roli wszelakich ekspertów, czyli trend specjalizacyjny przeciwstawia się trendowi demokratyzacyjnemu. Ilość spraw, o których rozstrzygać nie możemy bo po prostu nie rozumiemy się na nich, nie możemy znać skutków własnych na ogół ignoranckich postanowień, bez-

ustannie rośnie, lecz społeczeństwa, łaknące demokracji jako ochrony przed ubezwłasnowolnieniem, sprzeciwiają się temu trendowi, który tu czy tam może istniejąca władza rozmyślnie nasilać we własnym samozachowawczym interesie, lecz który zarazem nie jest tylko efektem egoizmu rządzących. Opisany eksperyment ukazałby to w sposób zupełnie jawny, a fatalne skutki decyzji podejmowanych przez laików w dziedzinach wymagających fachowej wiedzy najjaskrawiej ukazałaby zapewne groteska. Jak to zwykle bywa, forsowanie pewnej zasady (w tym przypadku demokracji) do końca, aby osiągnąć dzięki istniejącym technicznym środkom pełnię wpływu społeczeństwa na rządy, dowodzi, że tutaj, jak niemal w każdej innej dziedzinie życia, wskazany jest umiar i trudny do ustalenia z góry kompromis przy faktycznych sprzecznościach interesów. Ponieważ jednak życie społeczne nie składa się z samych aktów wyborczych, groteska do napisania wymagałaby — by nie stała się płaską, jednowymiarową karykaturą — wcielenia w świat wzbogacony o zjawiska, bezpośrednio z ideą naczelną nie związane. Utwór będzie więc miał nie całkiem jednoznaczny wymowę i tak zresztą powinno być w literaturze, w przeciwieństwie do dyskursu pozaartystycznego, którego ideałem jest klarowna jednoznaczność.

A oto drugi przykład, z innej dziedziny. Świat przedstawiony w utworze literackim nigdy nie jest i nie może być zresztą „wyczerpany do końca” jako opisany w całej swojej budowie i nie jest to wcale potrzebne, bo przecież w utworach realistycznych będzie to świat zamieszkiwany przez autora pospołu z czytelnikami. Ponieważ łączy ich, poza doraźnością codziennych doświadczeń, także wspólna tradycja kulturowa i wspólna historia, zachodzi szerokie pokrywanie się „informacyjnie aprioryczne” i kwestia ta na ogół nie pojawia się nawet jako wyraźny problem w świadomości pisarzy i ich odbiorców, tak jest oczywista. Natomiast świat kreowany z założeniem jego silnej nieidentyczności z naszym światem wymaga dookreśleń explicite w samym utworze i jest to jeden z istotnych teoretycznych problemów do pokonania w SF.

Niegdyś Michel Butor całkiem serio jak gdyby proponował, by autorzy SF budowali fantastyczny świat w wielkich zespołach, ponieważ nikt w pojedynkę całego, innego świata zmyślić nie jest w stanie. Spróbowałem (choć właśnie w pojedynkę) tej metody przy ostatniej powieści, pisząc na własny użytek coś w rodzaju wyciągu z encyklopedii poświęconej wyimaginowanemu światu innej cywilizacji, w postaci hasel takich, jak „dzieje geologiczne planety”, „przebieg ewolucji biologicznej”, „historia kultur”, „historia państw” (czyli dzieje powszechne), „historia wier religijnych i filozoficznych systemów”, „historia powstawania nauki i techniki”, „historia kontaktów z innymi społecznościami Kosmosu” itd. Ogrromna większość tak powstałych fragmentów owej encyklopedii nie została spożytkowana przy właściwej robocie, bo wprowadzanie czysto dyskursywnych tekstów rozsądziłoby fabułę i zmieniło utwór z założenia powieściowy w dziwaczne pomieszanie chrestomatii wielobibliotecznej z rozsypującym się wciąż wątkiem narracyjnym. Posłużyłem się więc znów chwytem pochodzącym z kanonu groteski, chociaż mającym i poważniejsze uzasadnienie: bohater mój uprawia studia owej cywilizacji, będąc człowiekiem obce wiadomości musi konfrontować z własnymi, ziemskimi, i stąd dowiadując się nowych dlań rzeczy, ulega nieustannie konfuzjom i nieporozumieniom, których nie rozjaśniam, w każdym razie nie zawsze, co daje efekty zabawne,

ale co w kategoriach powagi ma ujawnić nieprzystawalność wielu naszych elementarnych ujęć kategorialnych i pojęć do ich nieludzkiego zasobu. Trzeba jednak chyba, dodać, że metoda to niezwykle pracochłonna i że tylko część jej rezultatów można jako dzieło gotowe proponować czytelnikowi, ponieważ jak w przypadku świata realnego, i w tym nie podobna wszystkiego, co zostało zbudowane ad usum świata fikcyjnego, zawrzeć między okładkami. Pozostaje obfita reszta, z którą nie wiadomo, co robić. Takie jednak bywają koszty własne tej dziwacznej metodyki kreacyjnej.

Lecz dziwaczny jako niezwykle zamiar łatwo może pociągnąć za sobą również ekstrawagancję w robocie. Na co też nie widzę, niestety, żadnego uniwersalnego lekarstwa.

Październik 1981

Stanisław Lem



# przekroje

JERZY KRZYSZTOF MISIEC

## WYZNANIE NIEWIARY

Łączenie pisania o literaturze z reformą gospodarczą wydaje się być może zabiegiem dziwnym. Skutki reformy odbiją się jednak z pewnością również na polityce wydawniczej. Konieczność samofinansowania zmusi wydawców do szukania pozycji, które będą przynosiły zysk lub przynajmniej bardzo ograniczone straty. Tam, gdzie dotychczas rachunek finansowy ratowały dotacje, książki chodliwe będą musiały „zrobić” na pozycje deficytowe.

Masowy charakter literatury sensacyjnej każe w niej nadal upatrywać strumienia zysku dla wydawnictw, które staną się nie tylko mecenasami sztuki i nauki, ale przede wszystkim przedsiębiorstwami.

Ugruntowana popularność fantastyki naukowej nakazuje zwrócić baczniejszą uwagę na ten gatunek literatury. Z trzech monopolistów (pomijam tutaj Wydawnictwo Literackie, którego działalność edytorska w dziedzinie fantastyki jest specyficzna chociażby ze względu na Stanisława Lema): Krajowej Agencji Wydawniczej, „Iskier”, „Czytelnika”, to ostatnie wydawnictwo przyniosło tytuły i nazwiska najbardziej znaczące.

Przyjrzyjmy się więc książkom „Czytelnika” na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.

„Czytelnikowska” seria ze znaczkiem firmowym — sylwetka kroczącego kosmonauty (selenonauty) — jest serią tematycznie otwartą. W odróżnieniu od wielu zagranicznych wydawnictw, szczególnie radzieckich i amerykańskich, nie prezentuje wybranych zagadnień fantastyki naukowej. Jeśli chodzi o dobór autorów, to przeważają pisarze zagraniczni o głośnych nazwiskach i znacznym dorobku. Wyjątkiem jest udany debiut powieściowy Edmunda Wnuka-Lipińskiego.

Dominacja amerykańskiej science-fiction znajduje swoje odbicie również w omawianej serii; pisarze ze Stanów prezentowani są najliczniej. Głośna powieść Człowiek z Wysokiego Zamku Philipa K. Dicka, Wędrowlec Fritza Leibera czy Ostatni statek z planety Ziemia Johna Boyda, to przede wszystkim solidny warsztat pisarski, łatwość operowania konstrukcją fabularną, ciekawe rozwiązania pomysłów technicznych i naukowych.

Niczym nie skrzepowany, żeby nie powiedzieć przypadkowy, dobór pozycji do „Czytelnikowskiej” serii pozwala określić główne tendencje

w światowej fantastyce. Jest to stwierdzenie o tyle zasadne o ile możliwy jest wgląd w olbrzymią produkcję pisarzy tego gatunku i na ile kilkanaście książek „Czytelnika” z ostatnich trzech lat można uznać za reprezentatywne. Wydaje się jednak, że znaczna część pisarzy s-f odchodzi od tematów czysto kosmicznych, a więc podróży międzyplanetarnych i problemów z nimi związanych.

Po burzliwym rozwoju znajdującej się przeciwko obiektywnie w stadium raczkowania kosmonautyki, nastąpiło jakby częściowe „uziemienie” nie tylko pisarzy, ale i pogromców kosmosu. Podbój kosmosu po pierwszych, dużych i efektownych krokach przeobraził się w zmuśniony i z pewnością bardziej rozciągnięty w czasie, powolny marsz. Po okresie zachłyśnięcia się sukcesami, jako Kolumbowie kosmosu poczuliśmy się nawet jakby bardziej bezradni. Najbliższe nam ciało niebieskie, mimo lotów „Apolla”, jest dla uczonych nadal dużą zagadką. Coraz bardziej rozwijany i udoskonalany system nasłuchu radiowego sygnałów z gwiazd nie przyniósł jeszcze spodziewanych rezultatów. Poziom techniczny na jakim się znajdujemy zda się wskazywać na naszą samotność, a przynajmniej peryferyjność w nieskończoności Wszechświata.

Skoro nie mamy żadnych szans dotarcia do innych istot, może Kosmici zrobią to za nas, choć i oni, aby tego dokonać w realnym czasie (realnym oczywiście w wymiarze ludzkim), musieliby dysponować pojazdami o prędkościach zbliżonych lub przekraczających prędkość światła. Czy jest to możliwe?

(...) zwykle za największą prędkość uważa się prędkość światła, Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę wydaje się dużo, ale jest to zółwie tempo, jeżeli chodzi o ogromne odległości między gwiazdami i wewnątrz galaktyki — niezbyt dobra perspektywa dla podróży kosmicznych.

Ale jednak (...) istnieje teoretyczna możliwość, że czas międzyplanetarny jest tak spaczony i nierówny, iż odległe rejony naszego kosmosu stykają się w innym wymiarze — w nadprzestrzeni (...). Albo nawet, że każdy rejon styka się ze wszystkimi innymi rejonami. W takiej sytuacji podróżowanie szybsze od prędkości światła jest teoretycznie możliwe, gdybyśmy się przebili z naszego wszechświata w nadprzestrzeń, a potem wrócili z niej na dowolnie obrany punkt we wszechświecie. (Fritz Leiber Wędrowiec, s. 39)

Wykorzystując hipotetyczne możliwości nadprzestrzeni Fritz Leiber zbudował fabułę swojej powieści. Należące już do klasycznego niemal arsenału fantastyki naukowej pomysły — katastrofy planetarnej i spotkania z przedstawicielami nieznanego cywilizacji — stanowią doskonale tło dla ukazania odmiennych reakcji różnych grup i jednostek.

Oto do naszego układu planetarnego, z owej teoretycznie latniejącej nadprzestrzeni, przedostaje się planeta—pojazd wysoko rozwiniętej cywilizacji. Wtargnięcie obcego ciała kosmicznego burzy równowagę sił grawitacyjnych układu słonecznego, niszczy Księżyc powodując tym samym olbrzymie kataklizmy i spustoszenia na powierzchni Ziemi. Wstrząsy skorupy ziemskiej, wybuchy wulkanów, gigantyczne powodzie, pożary, sparaliżowanie systemu telekomunikacyjnego, wszystko to następuje dla mieszkańców niespodziewanie, nie na tyle jednak gwałtownie by ich reakcje na ten kosmiczny kataklizm nie były do zaobserwowania.

Wielopiętrowa struktura powieści — czytelnik poznaje losy kilkunastu bohaterów rozrzuconych po całej kuli ziemskiej, wywodzących się z różnych środowisk — i jej wszechwiedzący narrator pozwala Leiberowi stworzyć psychologiczny portret człowieka w obliczu totalnej zagłady.

Mamy więc grupę pasjonatów latających talerzy, których przybycie Wędrowca zaskakuje na sympozjum poświęconym niezidentyfikowanym obiektom. Zachowują się oni najbardziej godnie. Sprawia to chęć zrozumienia nowego zjawiska i solidarność w przetrwaniu ciężkich chwil. Jest również grupa sadystycznych terrorystów wykorzystujących dezorganizację życia, dokonująca gwałtów i morderstw. Grupa uaktywnionego sytuacją Ku Klux Klanu. Milioner starający się ująć z życiem i pieniędzmi przed występującym z brzegów morzem. Jest również armia, którą schematyczność działania i paraliż telekomunikacyjny wprawiają w stan zupełnej bezradności. W innym miejscu globu pilot bombowca jednego z państw afrykańskich ma złudzenie dokonywania niesamowitych czynów; w scenerii kosmicznej katastrofy jego zaangażowanie w lokalnym konflikcie nabiera żalonych, mrówczych rozmiarów.

Są również ludzie, których przybycie Wędrowca zaskoczyło w momencie indywidualnie pojmowanych chwil szczęścia, bez troski i romantyzmu. Samotny żeglarz, notorycznie popijający wolny poeta, grupka narkomanów biorąca realną rzeczywistość za cudowną wizję narkotycznych omamów, wreszcie, dwójka młodych ludzi uprawiających bez troską, zmysłową miłość. Wszyscy oni przechodzą jakby obok katastrofy, żyją w innym wymiarze. Wychodzą na tym najlepiej, bo przyczynę wtargnięcia obcego przybysza znają tylko nieliczni.

Wędrowiec okazuje się pojazdem zbuntowanych istot (Leiber nadał im postać człekokształtnych kotów) z cywilizacji, która wysłała za nimi „policyjny” pościg. Tygryśka z Wędrowca wyjaśnia jednemu z Ziemian istotę Wszechświata:

— Wszechświat jest przepelniony, Paul. Inteligentne formy życia są wszędzie, ich planety przyciemniają blask gwiazd, ich architektki lekkomyślnie zużywają energię słoneczną na to, żeby stworzyć odpowiednie warunki dla mózgu — spalają materię, żeby otrzymać energię, i wciąż budują nowe formy, nowe struktury, nowe umysły. Słowo — jeżeli tak nazwiemy umysł — zostaje rozpowszechnione i wkrótce nie pozostanie nic oprócz słowa. (...) Osiągnęliśmy nieśmiertelność. Umysł nie jest już niczym skrzepowany. Twój świat, Paul, jest jedną z niewielu wysp śmierci w tym wielkim morzu wiecznego życia.

Mimo tak nieograniczonych możliwości kocich istot wiedzą one, że koniec kosmosu nastąpi wtedy, gdy umysł osiągnie ostateczne granice, gdy cała materia zostanie podporządkowana ochronie inteligentnych form życia, a proces entropii zostanie odwrócony o tyle, o ile jest to możliwe w naszym wszechświecie. Nieśmiertelność najdoskonalszych istot nie oznacza wieczności.

Tragiczny przemarsz obcych istot przez „nasz kosmos” nie kończy się całkowitą zagładą Ziemi. Pozostaje jednak niepewność, że być może, gdzieś obok, za granicą nieosiągalnej dla ludzkości nadprzestrzeni, żyją potężni, nieśmiertelni inżynierowie galaktyk, a sprawami wszechświata zajmuje się demokratyczny rząd, który jest bardziej dobroliwy, a jednocześnie bardziej okrutny niż którykolwiek z wyimaginowanych bogów.

Wizja równoległych światów daje autorom science-fiction możliwość najprzeróżniejszych literackich rozwiązań. Gigantyczna wizja Leibera o metagalaktycznych rozmiarach odwołuje się do rejonów przekraczających granice ludzkiego poznania. Przestrzeń i czas urastają do wielkości trudno wyobrażalnych dla przeciętnego człowieka. Leiber jednak, na ile to możliwe, stara się przedstawiać przesłanki naukowe, na których opiera swą powieść.

Inaczej postępuje Adam Wiśniewski-Snerg w swojej trzeciej powieści

Nagi cel. Mechanizmy i prawa rządzące światem odsłaniają się wolno — mimo kolejnych wyjaśnień — pozostają w mglistych konturach. „Światem” w cudzysłowie, gdyż jest to świat ludzi, którzy dla naszego czasu nie istnieją. Jest to świat Stereonu — prostopadłościaków (o wymiarach 200 m × 100 m i wysokości 50 m) wypełnionych tak idealnym i sugestywnym obrazem rzeczywistości, że można w nim żyć niezgorzej: jeść, bawić się, upijać, ba, kochać się, z tym tylko, że wszystko w owych prostopadłościakach, jest trójwymiarowym widmem-mirazem-złudzeniem, trójwymiarowym kinem, do którego jednak może się przedostać normalny człowiek z naszego czasu. No, niezupełnie normalny. Zagmatwane?

Zacznijmy więc od recepty. W jaki sposób znaleźć się w tym fantastycznym świecie? Otóż należy sterroryzować załogę samolotu pasażerskiego, wznieść się na wysokość dokładnie 12100 m i strzelić sobie ze sprawnego pistoletu w skroń. Wówczas odrywamy się od starego ciała i spadając po kilku sekundach lądujemy w objęciach tajemniczego dysku — karetki zewnętrznego pogotowia. W powieści Wiśniewskiego-Snerga, w równoległym czasie „wszystkie lądy i morza są ciasno zabudowane aż do wysokości dwunastu kilometrów”, szczyt tej budowli jest Dachem Świata, z którego trafić można do jednego z kanałów i zacząć życie w Stereonie. „Ludzie-widma” tworzą tak realny świat, że aż nie do uwierzenia; posiadają swoje rodziny, domy, życiorysy z grubszą zaprogramowane — w trójwymiarowym ekranie grają swoje życie i nawet po przekroczeniu ram ekranu ich świadomość nie traci ciągłości, gdyż jest zakodowana w odpowiednio skomplikowanym systemie Stereonu.

Jeden z bohaterów *Nagiego celu*, tajemniczy Nuzan, tak wyjaśnia mechanizm Stereonu, w którym znalazł się wraz z nieumyślną ofiarą swego samobójstwa:

*Jego ściany są nieruchome względem kinoplanu. Przesuwają się tylko przestrzenne obrazy, które wypełniają wnętrza ograniczone ścianami (...) Udział widza jest bezpośredni, gdyż nie musi się on już wcielić w ekranowego bohatera: jest nim w rzeczywistości. Ruchem krajobrazów i postaci sterują zdalnie automaty „fabryki materialnych snów”. Złożone aparaty modelują scenografię całej okolicy widza, nadając przestrzennym formom w każdej chwili kształt właściwy dla fabuły określonego stereonu. Urządzenia te reagują błyskawicznie na wszelkie zmiany wprowadzane do akcji przez widza obdarzonego wolną wolą w działaniu: natychmiast przystosowują obraz do nowej sytuacji. Choć początek akcji w każdym stereonie jest szczegółowo określony, dalszy jej rozwój może znacznie odbiegać od ustaleń naszkicowanych w scenariuszu. Widz jest tutaj współtwórcą dzieła, a nie tylko biernym jego odbiorcą (s. 36).*

Problem współistnienia światów, równoległości różnych czasów pojawił się już w pierwszej powieści tego autora. W *Nagim celu* wizja świata Stereonu pozostawia bardziej przejmujące wrażenie. Fikcyjność życia przy jednoczesnym zachowaniu wszelkich atrybutów rzeczywistości jest dla postaci Stereonu nie do stwierdzenia, ich walka o niedopuszczenie do wybuchu bomby termojądrowej skradzionej przez terrorystów nabiera cech bezsensownej szarpaniny. Wszystko jest przeciwzłudzeniem. Ale racje obu stron są zachowane: Nuzan i Antoni wierzą równie gorąco w prawdziwość swojego świata, jak i postaci z filmowej rzeczywistości Stereonu wierzą w swoje życie na Capri czy w Londynie. Jedynie czytelnika mogą ogarnąć wątpliwości: czy nie jest przypadkiem statystą w filmie przyszłości?

Dopóki nie natrafimy na niewidzialne bariery ekranu (których w stereonie widz nie może przekroczyć) podejrzliwość jaką zaszczerpił autor w czytelniczej wyobraźni daje znakomity rezultat. Jego miara jest rosnąca popularność prozy Adama Wiśniewskiego-Snerga.

Hipoteza fizyki teoretycznej o równoległym istnieniu różnych światów oparta na przesłance o wielokierunkowym rozwoju czasu stała się ostatnio podatnym gruntem dla science-fiction. Indywidualna eksploatacja tego pomysłu daje możliwości wielowariantowych, zaskakujących rozwiązań fabularnych. Wśród książek „Czytelnika” zaliczyć trzeba do tego nurtu znakomitą powieść Boyda, *Bogów wojny* Gerarda Kleina i klasyczną w swoim rodzaju powieść Boba Shawa — *Człowiek z dwóch czasów* — historię człowieka, który poznaje warianty swojego życiorysu. Bardziej totalnie potraktował rozwój dziejów F. K. Dick przedstawiając wersję historii, w której Niemcy i Japonia wygrały II wojnę światową.

W książkach tych pisarzy jednolita struktura mechanizmów wszechświata ulega zachwianiu. Realność naszego jedyne go świata zostaje poddana w wątpliwość. Nieufność wobec jednorodności otaczającej rzeczywistości graniczy z niewiarą w istnienie jakiegokolwiek godnej zaufania prawdy o fizykalnym świecie.

Inny rodzaj niewiary wyznają w swojej mini-powieści bracia Strugaccy. Choć akcja *Przyjaciela z piekła* rozgrywa się w scenerii właściwej książkom s-f, to wymowa tej powieści ma charakter wybitnie pacyfistyczny.

Na odległej planecie zamieszkałej przez istoty bardzo zróżnicowane gatunkowo toczy się wojna. Jedna z ofiar wojny zostaje uratowana przez ziemski gwiazdolot i przeniesiona na naszą planetę: do nowego, wspaniałego świata, stojącego na niesamowicie wysokim poziomie rozwoju cywilizacyjnego. Waleczny Kot-Gag godzi się pozornie na egzystencję w nowych warunkach, ale po krótkim okresie fascynacji nowym światem, jego całym jestestwem rządzi pragnienie powrotu i zemsty na wrogach. Przy technicznych możliwościach Ziemian skuteczna interwencja w wojnę na obcej planecie byłaby kwestią jedynie decyzji. Do takiej interwencji jednak nie dochodzi. Gag wymusza na swoich wybawicielach odtransportowanie go na ojczystą planetę. Cały „resocjalizacyjny” wysiłek ludzi idzie na marne. Gag wraca do zabijania, brudu, błota, epidemii dżumy. Z perspektywy kosmosu jego zadowolone: „Jestem w domu. W domu...”, przy całym bezsensie wojny (z jej wydumaną nomenklaturą wojskową, paradoksalnymi motywacjami), brzmi równie przerażająco tragicznie co i naturalnie. Chciałoby się powiedzieć — ludzko.

Powieść Strugackich jest dowodem dużych możliwości fantastyki w rękach mistrzów tego gatunku; jeszcze jedną zrealizowaną szansą. Bo choć wprowadzie obraz wojny na Gigandzie zajmuje parę stron *Przyjaciela z piekła* (tworząc tragiczną klamrę dziejów Gaga), to przede wszystkim uczucie jej bezsensownej ohydy pozostaje po lekturze. Podobnie jak uczucie bezradności postronnych obserwatorów.

Nie sposób wspomnieć o wszystkich książkach w „Czytelnikowskiej” serii. Ich pesymistyczny w większości ton nie świadczy bynajmniej o katastroficznych skłonnościach pisarzy science-fiction. Fantastyka wyrażając swoją niewiarę wobec świata daje czytelnikowi szansę innego spojrzenia na naszą wiedzę, kulturę, nasze miejsce w przyrodzie. W sumie jest to więc nieufność konstruktywna, choć nie pozbawiona odcieni rezygnacji i zwątpienia w zdrową kondycję ludzką.

Od początku istnienia serii (tj. od 1978 roku) ukazały się w „Czytelniku” następujące pozycje: J. London *Szkariatna dżuma*, K. Bulyczow *Rycerze na rozstajach*, O. Klein *Bogowie wojny*, B. Shaw *Człowiek z dwóch czasów*, A. B. Strugaccy *Przyjaciel z piekła*, E. Wnuk-Lipiński *Wir pamięci*, J. Boyd *Ostatni statek z planety Ziemia*, E. Cooper *Testament Overmana*, F. Leiber *Wędrowiec*, A. Wiśniewski-Snerg *Nagi cel*, K. Wilhelm *Gdzie dawniej śpiewał piak*, P. K. Dick *Człowiek z Wysokiego Zamku*, oraz antologie: *Rakietowe szlaki* (2 tomy), *Wynalazca Włeczności*, *Gość z głębin*.



ZOFIA ZIELIŃSKA

## „Iwanow” w teatrze im. Osterwy

Dzieło sztuki teatralnej... nie powstaje na próbach. Próby i wszelkie prace zakulisowe są tylko przygotowaniem, zbieraniem materiałów, szkicowaniem, ćwiczeniem ręki i ducha. W tym okresie we wzajemnej współpracy realizuje się warunki, umożliwiające następnie tworzenie właściwego dzieła sztuki „na zawołanie”, a ściślej mówiąc na dzwonek inspicjenta, od godziny siódmej do dziewiątej<sup>1</sup>. Takie spojrzenie na teatr ogranicza teren działalności reżysera, przypisuje mu pewne granice tworzenia, odbierając miano głównego kreatora widowiska. Obserwując przez trzy miesiące próby sztuki Antoniego Czechowa *Iwanow* w lubelskim Teatrze im. Juliusza Osterwy, próbowałam sobie odpowiedzieć na pytanie, związane z poglądami na teatr Edwarda Csató — co jest wynikiem twórczości reżysera w teatrze? Czym jest w istocie ów etap przygotowawczy dla sztuki teatralnej?

Jeśli główne zadanie reżysera polega na uporządkowaniu wszystkich danych mu różnorodnych elementów w jedną całość, podległą idei, którą uznał za główną w budowanym przez niego świecie, to biorąc pod uwagę specyfikę sztuki aktorskiej, tak określone zadanie jest z góry skazane na niepowodzenie. Nie sposób bowiem zaplanować do końca natężenia, brzmienia, intonacji głosu każdego z aktorów, jego ruchów i gestów; jeden błysk oka może zdradzić inny nastrój od tego, który przewidział reżyser. Konsekwencją tego rozumowania byłaby eliminacja aktora z teatru i zastąpienie go „marionetą” — niespełnionym marzeniem Gordona Craiga. Przeciwnieństwem porządkowania, czyli usuwania przeszkód, zagrażających harmonii całości jest wydobywanie tych trudności, stawianie pytań tam, gdzie wszystko wydaje się jasne i oczywiste. Właśnie tak pojmuje rolę reżysera Edward Csató, nazywając go „specjalistą od stawiania trudności”<sup>2</sup>. Jego praca powinna polegać na stwarzaniu ruchu tam, gdzie każdy stanął już na swoim wybranym miejscu, na podpalaniu nowych ognisk niepokoju, gdy stare zdają się już gasnąć. Ostatecznie jednak przychodzi dzień premiery i dzieło teatralne zastyga na pewien czas w określonym

<sup>1</sup> Edward Csató, *Paradoks o reżyserze*, Warszawa 1970, s. 85.

<sup>2</sup> Tamże, s. 98.

kształcie. W jaki więc sposób udaje się reżyserowi pokonać nieobliczalność aktora i pozostałych twórców, skoro podsyca on jeszcze żywiołowość aktora, dokładając do jego niepokoju swoje własne wątpliwości i zastrzeżenia? Sądzę, że gdyby przyjąć pojęcie przestrzeni teatralnej, rozumianej jako dynamiczny układ sprzężeń zwrotnych, utrzymujących świat teatralny w stanie pewnej równowagi, to reżyser — „specjalista od trudności” zaistniałby jako czynnik konieczny tego układu. Zadanie reżysera nie polegałoby więc na narzucaniu swojej sily, lecz na wykorzystaniu wszystkich dążeń ujawnianych i wydobywanych przez niego na próbach w celu utworzenia mechanizmów, zapobiegających naruszeniu równowagi przedstawienia.

Przyglądając się próbom do *Iwanowa* próbowałam zapisywać poszczególne fazy budowy spektaklu. Jednak ostateczna redakcja tych notatek przekonała mnie, że przebieg wydarzeń został podporządkowany mojemu sposobowi zapamiętywania i moim późniejszym przemyśleniom. Dlatego zrezygnowałam z datowania poszczególnych fragmentów, chociaż zachowałam ich chronologiczny układ. Jednym z moich zamierzeń było określenie dążeń twórców tego spektaklu, a nawet wzajemnych relacji tych dążeń, które uwidoczniły się na próbach, czy też w rozmowach w czasie przerw. A jest to jedno ze szczególnych przedstawień, w którym różnorodność zamierzeń jego twórców powinna się ujawnić z dużą wyrazistością. Już samo zestawienie nazwiska reżysera Ignacego Gogolewskiego i scenografa Leszka Mądzika, reprezentujących jeśli nie przeciwstawne, to co najmniej odmienne koncepcje sztuki teatralnej, zaciekawia i niepokoi.

Rozpoczyna się jedna z pierwszych prób czytanych. Cały zespół jest zebrany wokół dużego owalnego stołu. Opornie nawiązuje się rozmowa o bohaterach sztuki. Aktorzy mówią o marazmie, o przytłaczającej atmosferze. Bohaterowie dramatu wydają się im bardzo odlegli. W jednej z wypowiedzi pada określenie sztucznego ożywienia jako stanu psychicznego, właściwego postaciom Czechowa. Ignacy Gogolewski podkreśla trafność tego spostrzeżenia. Przy głośnym czytaniu tekstu dramatu reżyser zwraca uwagę na muzyczne rozpracowanie dialogów — każda z partii powinna być wtopiona brzmieniem i rytmem w większą całość. Dobrym ćwiczeniem jest scena gry w brydża, w której każdy z grających w innym tonie i tempie wygłasza swój indywidualny pas, tak że całość sprawia wrażenie krótkiej etiudy muzycznej, oddającej nastrój nudy i oczekiwania brydżowych graczy. Już Stanisławski zwrócił uwagę na mistrzostwo Czechowa w oddawaniu nastrojów za pomocą zewnętrznego dla człowieka świata przedmiotów, dźwięków, światła: *Zmierzch, zachód i wschód słońca, burza, deszcz, pierwsze poranne głosy ptaków, tętent koni po moście i turkot oddalającego się pojazdu, bicie zegara, ćwierkanie świerszcza i głos dzwonu nie są potrzebne Czechowowi dla zewnętrznego scenicznego efektu, lecz dlatego aby ukazać nam nastroje ludzkiego ducha*<sup>3</sup>. Ludzki głos dla drugiego człowieka należy również do zewnętrznych dźwięków go otaczających. To spostrzeżenie będzie powracało na następnych próbach w innych sytuacjach.

Spotkanie przy stole rozpoczyna współreżyser przedstawie-

<sup>3</sup> K. S. Stanisławski, *Moje życie w sztuce*, Warszawa 1951, s. 239.

nia Zbigniew Wilkoński, omawiając jeden ze sposobów charakteryzowania postaci dramatu poprzez przypisywanie im odpowiedniego otoczenia.

W swoich sztukach Czechow ożywia przedmioty, przypisując im stany psychiczne swoich bohaterów. Dlatego świat przedstawiony w sztuce jest jednością, której elementy zawierają w sobie część owej jedności, jednocześnie tworząc samodzielne całości. Wynikiem rozchodzących się we wszystkie strony powiązań jest wieloznaczność poszczególnych części tego świata, gdyż każda z postaci i każdy z przedmiotów jest jak gdyby oglądany oczyma pozostałych, będąc równocześnie oglądającym. Przykładem mogą być meble z salonu Lebediewów, przykryte pokrowcami. Nakrycia na meblach podkreślają nie tylko nadzwyczajne skąpstwo Zinaidy Lebediewej, ale przede wszystkim świadczą o osamotnieniu i opuszczeniu przez ludzi bliskich im przedmiotów; sprawiają wrażenie tymczasowości sytuacji, tworząc wokół bohaterów pewien rodzaj pustki materialnej, jednocześnie bardzo konkretnie określają lekceważący stosunek gospodarzy do ich gości.

Głównym celem pierwszej próby na scenie jest wpisanie niewiadomej jeszcze materii w ramy prologu i epilogu. Ignacy Gogolewski mówi, że „początek przedstawienia powinien być pęknięciem, nagłym wtargnięciem w odmiennosc”. Dlatego kładzie szczególnie nacisk na dokładne opracowanie pierwszej i wszystkich pozostałych scen, wyjść i zejść całego zespołu. Każde z nich powinno być utrzymane już, bądź jeszcze, w rytmie i charakterze sytuacji, do której należy. Na przykład wejście aktorów w czasie snu Iwanowa powinien charakteryzować osaczający ruch tropienia ofiary; reżyser mówi, że „Iwanow ma być podany na półmisku dla wszystkich Borkinów”, zaś zejściu aktorów w tej samej scenie reżyser chce nadać gwałtowność zniknięcia — „jakby ich wszystkich nagle zdmuchnęło”. Zarówno reżyser, jak i scenograf zgadzają się, że podstawowym tematem sztuki jest umieranie Iwanowa, który w epilogu tylko przypieczętowanie wiadomy koniec procesu swojej psychicznej śmierci. Ta nowa interpretacja dramatu Czechowa wprowadza na scenę „subiektywną przestrzeń teatralną”, co oznacza według Jana Błońskiego, że *zdarzenia dramatyczne przedstawione są tak, jak widzi je bohater, postać centralna. Tym samym także przestrzeń zostaje zorientowana podwójnie: raz względem idealnego środka, raz względem protagonisty*<sup>4</sup>. Wejście w świat snu Iwanowa wymaga od pozostałych aktorów zmiany techniki gry. Teraz koncentrują się przede wszystkim na anomaliach i wynaturzeniach ludzkiej psychiki. Nieoczekiwane dla wszystkich w początkowej scenie budzenia się Iwanowa ze snu dały się słyszeć hałasy, przypominające szum wiatru. Odgłosy te były całkiem przypadkowe — z tyłu robotnicy przesuwali jakąś dekorację. Jednak wszyscy odczuli wyraźnie nastrój płynący z losowego zgrania się dźwięków z atmosferą przedstawianej sytuacji.

Być może nie przypominałabym sobie tego dosyć blącego zdarzenia, gdyby nie powtórzenie się podobnej sytuacji podczas pierwszej próby światel. Ustawienie światel, podporządkowane plastycznej koncepcji przestrzeni, przyjętej przez scenografa dosyć przypadkowo, wydobywało bryły postaci, poruszających się zgodnie ze schematem uzgodnionym z reżyse-

<sup>4</sup> Jan Błoński, *Dramat i przestrzeń*, „Dialog” 1977, s. 95.

rem. Docieranie się tych dwóch różnych zamysłów, dotyczących jednej płaszczyzny wizualnej przedstawienia następowało dopiero na próbach końcowych, nie dając aktorowi możliwości pełnego oswojenia się z nowym środowiskiem. Cały zewnętrzny świat dźwięków, kolorów, kształtów wpływa na stany psychiczne człowieka bez względu na to, czy jest to otoczenie sztuczne czy naturalne. Wiadomo, że każdy inaczej będzie mówił w ciemności, a inaczej przy pełnym świetle, chociaż przestrzeń akustyczna pozostanie ta sama. Jednak większość prób odbywa się przy niezmiennym, pełnym świetle roboczym. Światło zamiast tworzyć aktora i być przez niego tworzone, dopełnia go tylko — służebnie oświetlając, by był bardziej lub mniej widoczny.

Próby wchodzi w etap mozolnych poszukiwań emocji, które w danym momencie kierują zachowaniem postaci. Ignacy Gogolewski mówi, że „wszystko jest jeszcze nowe, musimy szukać odruchów postaci, które są jednocześnie naszymi”. Istnieje nieograniczona ilość sposobów przedstawienia dowolnie wybranej sytuacji z dramatu, jeśli zostanie ona odcięta od kontekstu, stwarzanego przez wszystkich twórców spektaklu. Ów kontekst jest funkcją konkretnych rozwiązań poszczególnych scen, ale ponieważ animatorzy przedstawienia zakładają pewien wynik — określają sobie ideę, której ukazanie ma być przewidywanym celem ich działań, ilość tych rozwiązań maleje. Zachodzi tu proces nieustannej wzajemnej konotacji między wszystkimi składowymi spektaklu. Jedno z głównych zadań reżysera polega na niedopuszczeniu do zatrzymania tego procesu ciągłych modyfikacji o dużej amplitudzie wahań w początkowej fazie powstawania przedstawienia i powoli zmniejszającej się w końcowej fazie prób.

Możliwości rozpadu bądź też niedopuszczenie do powstania więzi między poszczególnymi elementami przedstawienia spotęgują się wielokrotnie, jeśli weźmiemy pod uwagę nie tylko interakcje między aktorami, ale również możliwość zmian w czasie prób, a nawet w czasie trwania spektaklu przestrzeni wizualno-akustycznej — tak jak to się dzieje na przykład w teatrze Leszka Mądziaka. Kierownik Sceny Plastycznej KUL niejednokrotnie mówił, że odczuwalny przez niego nastrój widzów w czasie przedstawień zmusza go do reagowania i zmusza do zmiany natężenia dźwięku, tempa rozjaśnień i wygaszeń światła. Ignacy Gogolewski stosuje zasadę wywoływania współzależności, domagając się od aktorów, by instynktownie reagowali na zachowania swoich kolegów, by reagowali na swoje emocje, nawet nie próbując określić pobudek swojego działania. Gdy w scenie rozmowy Iwanowa z Lwowem konieczne jest podejście lekarza do Iwanowa, by mogli razem odejść do ogrodu, reżyser mówi do Marka Prażanowskiego, aby sam poszukał momentu, w którym będzie czuł potrzebę zbliżenia. Kiedy postać Anny, granej przez Grażynę Kłodnicką, wydaje mu się nieokreślona, mówi: „pozwólmy Annie zagrać”.

Próby na Sali Prób prowadzi Zbigniew Wilkoński. Obecni są tylko aktorzy biorący udział w końcówce II aktu. Z urywków wypowiedzi reżysera i aktorów, z ich pracy komponuje sobie teoretyczną nadbudowę dla przedstawianej sceny. Każde słowo i gest aktora powinny mieć swoje uzasadnienie w psychice kreowanej postaci. W scenie rozmowy Saszy z Iwanowem każde z nich odbiera zaistniałą sytuację przez pryzmat

swoich uczuć i dążeń. Saszę interesuje odmiennosc Iwanowa, intryguje ją jego walka z sobą samym, dla Iwanowa kontakt z Saszą jest jeszcze jedną z wielu prób uwolnienia się z kręgu marazmu i wewnętrznej pustki. Kierunek rozwoju sytuacji kreślonych przez Czechowa wynika z nieustannej konfrontacji prawie niezmiennych osobowości jego bohatera. Uczucia i myśli postaci dramatów Czechowa nie zmieniają się, ale widzą możliwość widzenia bohaterów ciągle pod innym kątem.

Ignacy Gogolewski opowiada aktorom o planowanym kształcie scenografii. Jej wyobrażenie jest niezbędne przy nakreśleniu ruchu scenicznego, zależnego nie tylko od stanu psychicznego danej postaci, ale również od rozplanowania przestrzeni przez scenografa. Dążenie do coraz swobodniejszego rozplanowania przestrzeni teatralnej jest cechą współczesnego teatru. Jak widzą przestrzeń sceniczną *Iwanowa* jego realizatorzy? Mówi Ignacy Gogolewski: „*Iwanow* to opowieść o nieprawdopodobnie wrażliwym i ambitnym człowieku, który ponosi klęskę. Wydaje mi się, że w każdym z nas niezależnie od płci tkwi coś z jego charakteru, że każdy z nas ma często poczucie odosobnienia, odcięcia od głównego krwiobiegu życia, wegetacji na jakimś odludziu — tak jak pisze Czechow: *Rzecz dzieje się w jednym z powiatów Rosji środkowej*. Ja chciałbym, żeby to był powiat zawieszony gdzieś między Moskwą, a Paryżem. Mamy sporo powiatów w tej szerokości geograficznej, kto wie, czy jednym z nich nie jest Lublin?”

W swojej pracy Gogolewski chce podkreślić człowieczy wymiar przestrzeni scenicznego. Próbuje przekładać układy psychiczne bohaterów na ich usytuowania i przemieszczenia w przestrzeni. Wychodząc z założenia, że istotną cechą wszystkich postaci jest ich zamknięcie w sobie, że każda z nich ma swój własny temat, z którym się snuje przez życie, reżyser przeznacza każdemu z bohaterów kawałek przestrzeni, z której pozostałe postaci są wypierane. Każde zbliżenie następuje albo z wielkim trudem, albo niesłychanie gwałtownie i jest natychmiast zrywane. Linie dróg bohaterów przecinają się, ale się nigdy nie zawiązują, tylko biegną dalej przed siebie. Wewnętrzne wyobcowanie bohaterów dramatu jest również alienacją w większej skali całego świata, w którym przyszło im egzystować. Tło plastyczne i muzyka, pochodzące ze snu Iwanowa, dla pozostałych osób powinny być niezauważalne, tak jak niezauważalna jest dla nich, a oczywista dla Iwanowa śmieszność i pustka ich poczynań. Jedynie Iwanow, broniący się uparcie przed ostatecznym upadkiem, widzi prawdziwe barwy i kształty swej przestrzeni życia. Konkretność scenografii i muzyki widzialnej i słyszalnej dla widzów i Iwanowa, a z założenia nieobecnej przez swoją naturalność i oczywistość istnienia dla wszystkich bywalców salonu Lebediewów jest kontrpunktem działań aktorskich. Scenografia i muzyka są jak gdyby ramą krzywego zwierciadła, w którym odbija się plan gry aktorskiej.

Inny wymiar przestrzeni scenicznego chce przekazać swoją scenografią Leszek Mądzik, który tak o niej mówi: „W miejscu, oddalonym od cywilizacji kultury, wygod życia, jest jakiś wiejski gościniec, wokół którego jak pszczoły wokół ula kręca się ludzie. Środkiem płynie rzeka. Czarne spopielone barwy faktury bocznej zostaną odcięte od poziomej, błyszczącej, czarnej folii — pewnego rodzaju błota, w którym masa ludzka toczy się, miętosi i przewija. Cała ta spopielona czarność jest

jak bruzda, w której zastyga wysuszony proces gnilny, a środkiem płynie rzeka, zabierająca ze sobą ludzkie kostiumy, myśli i w końcu rzucone na koło młyńskie ciało Iwanowa, który jest papierkiem lakmusowym rozpadu tego małego świata, gdzieś w dalekiej prowincji. Cierpienie Iwanowa, jego niemożność spełnienia się, lęk i uczucie zagrożenia, całe to napięcie, wypełniające jego czaszkę, chciałbym, aby się uwidoczniło w scenografii. Jedynym znakiem bliższego określenia miejsca, w którym rozgrywa się akcja, jest ikonostasowy zbiór obrazów, ukazany na horyzoncie kosmicznego pejzażu. Przywołanie przodków do wnętrza salonu, wprowadzenie tradycji tego, co było zarazem i portretem rodzinnym, i świętym obrazem, powinno być zgrzytem w świecie ludzi bez wiary. Te obrazy to opatrność, niemi świadkowie bezsilnej tęsknoty Iwanowa”.

Scena zbiorowa z aktu drugiego wyróżnia się swoim charakterem z pozostałych części dramatu, gdyż pojawiają się w niej postaci, które istnieją w innym planie, pełniąc rolę groteskowo-karykaturalnego tła dla pozostałych. Zbigniew Wilkoński opisuje zamierzenia twórców przedstawienia: „Zależałoby mi na tym, aby cały zespół z salonu Lebediewów nie był realistyczny, żeby wszyscy byli zdeformowani, gdyż funkcjonują na innym planie niż rodzina Lebediewów i mieszkańcy domu Iwanowa. Cwiczenia usprawniające, prowadzone przez Jana Urygę i przeze mnie mają na celu nadanie każdej postaci osobistego charakteru w sylwetce. Jeżeli się to uda, pojawiają się w spektaklu dwie warstwy gry aktorskiej — postaci stanowiących karykaturalne tło dla zespołu postaci realistycznych”. Ciągłe zwalnianie rytmu sceny zostaje wstrząsany falami sztucznego ożywienia, jakie wprowadza każdy z nowo przybyłych bohaterów. Umiejętność wejścia, włączenia się w dziejący się czas jest jednym z trudniejszych zadań dla aktora. Kiedy Anna wchodzi na scenę tak, jakby wiedziała, co się za chwilę stanie, reżyser proponuje: „odłóżmy tę scenę na jakiś czas, być może inne okoliczności będą bardziej sprzyjające”.

Próba rozpoczyna się od I aktu. W scenie rozmowy Iwanowa z Lwowem reżyser domaga się większego skonstrastowania postaci, mówiąc krytycznie o polskim teatrze, w którym w *Hamlecie* wszyscy aktorzy grają Hamleta. W teatrze, podobnie jak w życiu dążenie do wygrania indywidualności często przeradza się nawet w nieświadome naśladowanie postaci o silniejszej osobowości. Parokrotne powtórzenie sceny kończy się uwagą reżysera: „być może jest pan zbyt lojalny w stosunku do mnie, prawdopodobnie jakaś z moich uwag przeszkadza panu, niech pan spróbuje ją odrzucić”. Po pierwsze praca przebiega nad ustalaniem topografii aktu IV i nad unerwieniem sceny poprzez ruch. Najtrudniejsze i najbardziej uciążliwe są sceny z dużą ilością osób, ponieważ jednoczesna koncentracja wszystkich aktorów, biorących w nich udział, jest prawie niemożliwa, szczególnie na początku próby, gdy aktorzy nie są jeszcze rozgrzani, lub pod koniec, gdy są już zbyt zmęczeni. Reżyser musi umieć zauważyć, kiedy można zrobić przerwę, skrócić lub przedłużyć próbę. Mówi o tym Ignacy Gogolewski: „Czasem, kiedy widzę, że nic zupełnie się nie klei, jestem zdecydowany przerwać próbę, czy skończyć ją wcześniej, bo nie ma po prostu odpowiedniego nastroju.

Ilość pewnych emocji, którą przynoszą aktorzy z zewnątrz, widocznie jest tak wielka, że nie jesteśmy w stanie stworzyć tej atmosfery, jaka jest w sztuce, i wtedy daremny jest trud i wysiłek. Natomiast na innych próbach emocje się komasują i próba ożywa, posuwając nas trochę do przodu w poszukiwaniach”.

Sztuka rozwija się w stronę coraz bardziej pogłębiającej się ekspresji. Wszyscy czują, że jest to dobry kierunek. Scena rozmowy pary narzeczeńskiej Saszy i Mikołaja na początku IV aktu przeradza się w małżeńską, karczemną kłótnię, załoslwie smętne pienia Borkina zostają przerywane pijackimi czkniściami. Ostatnia scena śmierci Iwanowa staje się drobną sensacją dla uczestników pogrzebu. Jednakże stopień ekspresji nie wykracza poza normę świata realnego. Jedyńm aktorem, który pozwala sobie momentami grać na granicy świata rzeczywistego i jakiejś sennej pozareczywistości, jest Henryk Sobiechart. Odnoszę wrażenie, że w niektórych sytuacjach staje się niemalże uosobieniem swoich stanów psychicznych, jakby świat dramatu Czechowa był snem, w którym można znaleźć ujście dla sprężonych, nabrzmiałych w człowieku lęków i niepokojów. Taka interpretacja postaci Iwanowa znajduje swoje uzasadnienie w prologu, w którym majaki senne zostają przerywane gwałtownym przebudzeniem Iwanowa i rozpoczyna się... No właśnie, czym jest ciąg dalszy? Czy jest to kontynuacja snu na jawie, czy może rzeczywistość przystająca do skrzywionego świata snu? Bez względu na odpowiedź, jakiej sobie udzielimy, zabieg ten, nienowyy i wystarczająco ograny, by zaczął nużyć w teatrze, tym razem wydobywa z dramatu Czechowa nowe życie. Często podkreślane w utworach Czechowa przeciwstawienie tragicznej i komicznej strony życia objawia się tutaj jako opozycja tego, co ukryte w najwyższych i najniższych regionach podświadomości.

W próbach *Iwanowa* nie dostrzegam dialogu między twórcami tego spektaklu, a szczególnie między aktorami i resztą współtwórców. Wyobrażam sobie, że ten dialog, który udało mi się zaobserwować tylko w szcążkowej postaci — raczej jako potwierdzenie otrzymanych wskazówek, bądź pytania o nie — jest konieczny w procesie dochodzenia do prawdy. To, co widziałam na próbach, obrazuje raczej przyswajanie gotowych prawd, podawanych przez reżyserów i scenografa. Która ze stron ponosi winę za taki stan rzeczy? Przeważnie obciąża się stronę aktywną, narzucającą swoją siłę, ja winiabyłm także słabość, która nie musi przecież wynikać z braku racji do podjęcia głębszej współpracy, a może być rezultatem oportunistu, czy też braku odwagi. Niektóre z przedstawionych fragmentów prób mogą świadczyć o tym, że reżyser dążył do pogłębienia współpracy z zespołem aktorskim, jednakże tylko on był osobą inspirującą, wyznaczającą czas i zasięg owej współpracy.

Metoda budowy spektaklu polegająca na zlepianiu w całość różnorodnych, gotowych elementów, wydaje mi się, wynika z jednej strony z tradycji teatru reżysera, mającego swoje początki jeszcze w okresie „wielkiej reformy”, a z drugiej strony z właściwego naszym czasom bojaźliwego szacunku dla specjalisty. Reżyser spełnia rolę centrum, do którego kierowa-

ne są efekty pracy całego zespołu: aktorów, scenografa, muzyka, choreografa itd., którzy nie czują potrzeby wymiany doświadczeń ze swojej części pracy. Każdy z twórców zdaje sobie sprawę z tego, że jego działalność jest częścią większej całości, ale nikt, nawet reżyser, tradycyjnie mający pieczę nad całością przedstawienia, nie chce wykraczać poza pewne, stałe od lat, granice swojej pracy.

Przestrzeń teatralną w koncepcji Ignacego Gogolewskiego tworzy przede wszystkim aktor ze swoich słów, gestów, ruchu. Jest on centralnym punktem tej przestrzeni i do odgrywania tej głównej roli był przez cały czas trwania prób przygotowywany. Niemy i prawie nieruchomy aktor w teatrze Leszka Mądziaka podlega prawom otaczającej go przestrzeni, jest jednym z jej integralnych elementów. Jak wobec tego można było pogodzić te dwie przeciwstawne metody konstrukcji przestrzeni scenicznej w jednym spektaklu? Iwanow jest rezultatem porozumienia. Ignacy Gogolewski, proponując współpracę nad stroną plastyczną spektaklu Leszkowi Mądzikowi, zgodził się na światło, które często koncentrowało się tylko na fragmentach pracowicie skonstruowanego ruchu aktorów. Leszek Mądzik, licząc się z odmiennym udziałem aktorów w przedstawieniu niż w swoim teatrze, w dużym stopniu zrezygnował z ruchu i mowy muzycznej swojej scenografii. Czy jednak zostały wyciągnięte wszystkie konsekwencje z tak zaplanowanych obustronnych wyrzeczeń? Myślę, że nie. Powiązanie aktora ze światłem, wydobywającym przede wszystkim bryłę postaci z pominięciem szczegółów mimiki, charakteryzacji, kostiumów często było przypadkowe; głos aktorów, związany na próbach z zachowaniem postaci, zabrzmiał nieco inaczej, gdy w mroku został oderwany od aktora. Linie dążeń twórców *Iwanowa* biegną w tym samym kierunku, zbyt rzadko jednak spotykają się jak gdyby w strachu, że mogłyby się odwrócić przeciwko sobie. Ten równoległy układ sił charakterystycznych dla całości prób zaważył w decydującym stopniu na ostatecznym kształcie przedstawienia.

Zofia Zielińska

KRZYSZTOF JAROSŁAW BROZI

## PSYCHOLOGIA KRYZYSU\*

Powiązanie między dyspozycjami psychicznymi jednostek a generalnymi warunkami kultury jest mniej widoczne w przypadku analizy harmonijnego przebiegu procesów kulturowych; zaś bardziej rzuca się w oczy przy analizie jej stanów ekstremalnych, zakłóceń normalnego biegu rzeczy, w stanie generalnej dezintegracji kultury. Karl Mannheim rozważając to zagadnienie podkreśla trzy jego zdaniem główne czynniki dezintegracji: kryzys, dyktatura i wojna. Są to zarazem trzy następujące po sobie etapy dezintegracji.

W stanie harmonijnego rozwoju, mamy do czynienia z dającym się dość wyraźnie określić normalnym typem osobowości, charakteryzującym się daleko posuniętym konserwatywnym opartym na utrwalonych zestawach skojarzeń będących refleksem zwykłych zachowań kulturowych. Granice normy są tutaj jednocześnie granicami pojemności reakcji kulturowej i dopuszczalnymi, nie dezintegrującymi kultury stopień zmienności.

Wiąże się z tym typologia Floriana Znanieckiego, który omawiając biografie ludzkie i wynikające z nich cechy osobowościowe wyróżnia między innymi tzw. krąg ludzi „dobrze wychowanych”<sup>1</sup>. Są oni typem szczególnie dla zwykłego biegu kultury przydatnym, utrwalającym tradycje do jakiej zostali dobrze przystosowani („dobrze wychowani”). Nie mają oni większego znaczenia dla bardziej dynamicznych przemian kulturowych, reprezentują przeważnie konserwatywizm, są raczej spowiem kultury niż dynamizującą kulturę siłą. Cechy jakie można wyróżnić przy omawianiu tej grupy społecznej to:

\* Tekst ten jest fragmentem rozważań prowadzonych w ramach większej całości tzw. „antropologii integralnej”. Jest to teoria mająca swą rękę podstawi interdiscyplinarnych badań nad człowiekiem jako twórcą kultury. U podstaw tej koncepcji leży kategoria „standardu kulturowego”, której zarys przedstawiane są w „Studia Filozoficzne” nr 9/1981 r. J. Brozi, Metodologiczne znaczenie kategorii „standard kulturowy” przy opisie i wyjaśnianiu mechanizmów wzrostu, przemiany i upadku kultury, w: „Studia Filozoficzne”, nr 9/1981 r. Mannheim, Ciepłotek i społeczeństwo w dobie przebudowy. Warszawa 1974 r., por. s. 137.  
\* F. Znaniecki, Ciepłotek i społeczeństwo w dobie przebudowy, Warszawa 1974 r., por. zwł. s. 141—143.

skoncentrowanie się na tzw. „jaźni odzwierciedlonej”, przynależność do wyższej warstwy społecznej, poczucie zabezpieczenia przez grupę, uznanie określonego w danej kulturze systemu ocen, zgodnie z którymi walczą oni o uznanie i w ramach których zaspokajają swoje pragnienie wywyższania się. Wynika stąd brak walki o zmianę świata a przede wszystkim umiejętność dobrego działania tylko w takich zespołach, które już wcześniej zostały prawidłowo urządzone.

Jak łatwo przewidzieć, każda destabilizacja kultury, czyni nieskutecznymi ich działania a tendencje konserwatywne okleślają wyraźnie granice ich psychicznej odporności. Wskółana z nimi grupa „ludzi pracy”, mających podobne konserwatywne tendencje, lecz ogniskujących swoje zainteresowania na odmiennych niż grupy „ludzi dobrze wychowanych” czynnikach. Są to bowiem ludzie z istoty swojej nietwórczy i nie ceniący wybitnych indywidualności. Swoje zainteresowania koncentrują na stanie socjalnym, charakteryzują się dobiekiewiczostwem, protekcjonalizmem, konformizmem po wybitciu się małą zdolnością spontanicznego zrzeszania się, dążnością niwelacyjną i skłonnością do odwetu. Cenią pracowitość, porządek społeczny, spryt i uczciwość. Jest to więc również grupa konserwatywna, dotkliwie odczuwająca dezintegrację społeczną, zatem generalnie łatwo podlegająca dezintegracji psychicznej.

Odrębne grupy tzw. „ludzi zabawy” i „ludzi zboczeńców”, łatwiej przystosowują się do warunków dezintegracji społecznej, przy czym grupa pierwsza może brać w tworzeniu nowych struktur aktywny udział, lecz nie wiąże się z celami tych przemian, ostatecznie zachowuje większą niż grupy pozostałe stabilizację psychiczną. Należący do tej grupy skłonni są do „stępstw i kompromisów”. Grupa „ludzi zboczeńców” to bojownicy i mecenarzy, walczący o cele wyższe i identyfikujący się całkowicie z tymi celami. Nieustępliwi, gotowi do poświęcania innych i siebie, nie dający się przekonać, negują wszelkie odmienne poglądy i działania. W warunkach destabilizacji struktury kulturowej znajdują swoją szansę i swój żywioł, w niej się realizują. Stąd też destabilizacja kultury będąca źródłem destabilizacji psychiki dwóch pierwszych grup i stosunkowo obojętna dla grupy trzeciej, staje się dla nich normalnym środowiskiem, gdzie ich pod- lub nadnormalny stan w warunkach zwykłych, nabiera w niezwykłych warunkach normalności. To właśnie spośród przedstawicieli tej grupy, wywodzą się jednostki nieprzeciętne wielcy reformatorzy, twórcy ale i zbrodniarze, bowiem historia nadaje dążeniom tych ludzi niezamierzony, często nieludzki sens.

Warto tu podkreślić, że określona stabilizacja psychiczna osobowości jest wprost proporcjonalna do nacisku społecznego, który tę stabilizację wymusza. W chwili, gdy na skutek dezintegracji kultury ów nacisk społeczny maleje, stabilizacja ulega podważeniu. Interesująca jest sugestia Mannheim'a, który powiada, że zaburzenia struktury kulturowej powodują u członków społeczeństwa zanik „instynktów społecznych”, następuje rozkład struktury emocjonalnej i powrót do poprzedniego stadium rozwoju. Czyś taki częściowy rozpad porządku społecznego nie jest dominującą cechą stanu zagrożenia, którego powszechnym objawem stało się bezrobocie? — pisał Mannheim — Dla ludzi wszakże katastrofa nie polega jedynie na utracie obiektywnych możliwości pracy, ale również i na tym, że ukształtowana już struktura emocjonalna, ściśle powiązana ze sprawnym funkcjonowaniem instytucji społecznych, traci rację

rowych ni

K. M.

lecki, L.

bytu. Drobne cele, dla których ludzie podejmują większość wysiłków, nagle nikną i nie tylko tracą oni miejsce pracy, codzienne obowiązki i możliwości realizowania ukształtowanych za sprawą długotrwałego procesu postaw wobec pracy, ale nie mogą nawet zadość uczynić nawykowym pragnieniom i popędom. Nawet jeśli zasilek dla bezrobotnych zaspokaja elementarne potrzeby bytowe, zniweczeniu ulega cała organizacja życia codziennego, nadzieje i oczekiwania rodziny. Wystarczy sobie uprzytomnić, jak wiele energii w społeczeństwie kapitalistycznym inwestuje się w ambicje społeczne, ażeby zrozumieć, co to oznacza — i dalej — Lasswell wykazał, że kiedy zachwianiu ulegnie dotychczasowy ideał „powołania osobistego”, a dotychczasowe postawy zostaną pozbawione celu, stare popędy zwracają się „do wewnątrz” i przybierają postać „samoukarania”, która wyradza się w masochizm bądź samookaleczenie się psychiczne. W tej sytuacji kozioł ofiarny, jak na przykład Żyd, staje się prawdziwym wyzwoleniem dostarczając możliwości uzewnętrznienia skłonności agresywnych, możliwości chętnie akceptowanych przez wszystkich sfrustrowanych osobników, niezależnie od klasy<sup>3</sup>.

Wydaje się, że podobny problem występuje również u Ericha Fromma piszącego o „ucieczce od wolności”<sup>4</sup>. W moim przekonaniu jest to pewna interpretacja dezintegracji kultury. Porzucona w obcym świecie jednostka nie znajdując żadnego zabezpieczenia ani swoich materialnych oczekiwań, ani ambicji, skazana na niepewność, stabilizację psychiczną może odczuwać jedynie we współuczestnictwie w jakimś przedsięwzięciu, które niezależnie od jego realności, łączy ją z podobnymi sobie jednostkami lub daje nadzieję na odszukanie nowej społecznej struktury, w której mogłaby odczuć na powrót sens swojego działania i istnienia. Ucieka zatem od swojej wolności negatywnej, od samotności i odpowiedzialności. Sądzę, że owa ucieczka od wolności szczególnie charakterystyczna jest jako reakcja „ludzi dobrze wychowanych” i „ludzi pracy” — według terminologii Znanieckiego — na warunki dezintegracji kultury. Obie te grupy ulegając destabilizacji psychicznej poszukują jakiegokolwiek struktury działania, w której zaspokoiliby własną nieprzepartą konieczność współuczestnictwa w wyraznie określonym porządku społecznym niezależnie od jego celów. To dążenie staje się coraz silniejsze, by wreszcie zdominować większość pozostałych, wyraża bowiem głębokie, emocjonalne struktury psychiczne obecnie zachwiane, prowadzi ostatecznie do zepchnięcia w podświadomość racjonalnie dostrzeganych niebezpieczeństw, jakie przed taką strukturą wyłaniają się.

Tym można by tłumaczyć zjawisko powszechnej nieomal akceptacji faszyzmu w Niemczech, który narodził się właśnie z drastycznego kryzysu społecznego<sup>5</sup>. Wielu, widząc dramatyczne konsekwencje tego systemu, chciało o nich zapomnieć koncentrując się na aktywnej realizacji swoich własnych zadań jakie im powierzono stwarzając podstawy nowego porządku społecznego, narzuconego co prawda, lecz porządku, który dawał perspektywę realizacji własnych oczekiwań kulturowych (dawał pracę), odbudowywał wiarę w siebie (wyższa rasa) i wskazywał winnych dając ujście tendencjom samooskarżania (Żydzi). To mogło rodzić nawet pewien optymizm i bezkry-

<sup>3</sup> K. Mannheim, op. cit., s. 185—186.

<sup>4</sup> E. Fromm, *Ucieczka od wolności*, Warszawa 1970.

<sup>5</sup> A. Bullock, *Hitler. Studium tyrantii*, Warszawa 1969.

tyczne poddanie się władcom systemu. Faszyzm przyjął postać potwornego lekarza, który boleśnie uzdrawia bezpośrednio objawy choroby, dając jednocześnie jedyną nadzieję na wyzdrowienie. Jeżeli bezpośrednio objawy ustępują wzmagają się wiara chorego w skuteczność udzielanej mu pomocy, zwiększa się zaufanie do leczącego a to rodzi zgodę na dalsze drastyczne zabiegi na organizmie społecznym, po dokonaniu których już żaden protest chorego nie odniesie skutku, musi on udzielić przyzwolenia na znacznie więcej, niż mógł podejrzewać. Staje się bezradny, lecz nadal nie może przyznać się otwarcie do tej bezradności. Myśli więc, czy ma wręcz nadzieję, że i tym razem działania lekarza są właściwe i ostatecznie on wie lepiej co naprawdę dobre i bierze przecież tylko na siebie odpowiedzialność za wyniki zabiegów. Tak uspokojony chory nie tylko będzie starał się usilnie usuwać ze swej świadomości wszelką wątpliwość, lecz nie będzie wręcz dostrzegał wszystkich poczynań leczącego. To też będzie samoobrona psychiczna człowieka, który aby żyć musi mieć nadzieję, musi w coś wierzyć i musi komuś zaufać. „Ludzie dobrze wychowani” i „ludzie pracy” najłatwiej poddają się tego rodzaju manipulacjom, gdyż zarówno jednym jak i drugim zależy przede wszystkim na stabilizacji psychicznej, którą można uzyskać przez stabilizację kultury za każdą cenę. Do głosu dochodzą wówczas „ludzie zboczeńcy” i mogą z nimi współgzyzstować „ludzie zabawy”, o ile odnajdą w tworzonym porządku miejsce również dla siebie.

Usiłując wartościować można by powiedzieć, że „ludzie dobrze wychowani” jak i „ludzie pracy”, to konserwatywna część społeczeństwa ceniąca nade wszystko porządek. „Ludzie zboczeńcy” i „ludzie zabawy” są najbardziej dynamicznymi grupami społecznymi, przy czym, gdy pierwsi mogą być dla kultury wręcz niebezpieczni, i zazwyczaj tak jest, to ci ostatni są najbardziej ludzcy, nie biorą bowiem niczego zbyt serio, mimo że ich działania mogą przynieść niebezpieczny choć niezamierzony skutek. Mają oni ponadto niewielką skłonność do ucieczki przed wolnością, podczas gdy „ludzie zboczeńcy” nigdy tej skłonności nie przejawiają.

Dezintegracja kultury nie jest stanem, lecz procesem, który przebiega z różną szybkością w odmiennych dziedzinach kultury przebywając swoje kolejne fazy poddające się klasyfikacji. Na przykład Mannheim rozważa dezintegrację kultury w dwóch stadiach: „stadium niezorganizowanego zagrożenia” i „stadium zagrożenia zorganizowanego”. Przypatrzmy się jak charakteryzuje on obydwa te okresy. *Stadium niezorganizowanego zagrożenia obfituje w nie dające się przewidzieć możliwości. Jest to stadium wszechstronnych eksperymentów psychologicznych i emocjonalnych, a równocześnie jest to okres utraty wiary w instytucje, obyczaje, tradycje i historycznie ustalony prestiż. W tych warunkach społecznych ideologie tracą maskę i słuszność ustalonych zasad i wartości staje się wątpliwa. Jest to moment w którym zwycięża sceptycyzm, moment trudny dla jednostki, ale owocny dla nauki, albowiem załamują się wówczas ustalone nawyki myślenia. (...) Ustają również w tym okresie długoterminowe przewidywania, przynajmniej w tych grupach społecznych, które w największym stopniu uległy rozkładowi. Panika dochodzi do szczytu, gdy jednostka uświadamia sobie, że odczuwane zagrożenie nie dotyczy tylko jej osoby, że dzieli je z masą sobie podobnych, kiedy jasne się staje, że nie ma już autorytetów społecznych, ustalających*

bezsporne zasady postępowania, które określają całokształt zachowania się<sup>6</sup>.

Mamy więc tutaj do czynienia z rozbiem społeczeństwa na jednostki, pełna indywidualizacja struktury zrywa wytworzone wcześniej kulturowe więzi. Niektóre z nich mocą inercji mogą jeszcze przez pewien czas funkcjonować, lecz nie znajdując odpowiedniego rezonansu w zatowizowanym społeczeństwie powoli obumierają, stając się pustymi formami sparalizowanymi w swoim funkcjonowaniu. Rozkład więzi społecznych niszczy jakiegokolwiek efektywne współdziałanie. Dookoła działających wytwarza się coraz bardziej dotkliwie odczuwana próżnia, a zarówno psychika jak i kultura boi się próżni. Usunąć tę próżnię to sprawa integralności zarówno kultury jak i psychiki. Człowiek błąka się po wytworzonym przez siebie, lecz pustym już gmachu kultury i wszędzie napotyka próżne pomieszczenia. Jeżeli nie może napęlić ich jakiegokolwiek realną treścią, realnym działaniem, odwołuje się do symboliki, tworzy fikcje, które zaczynają działać na swój sposób. Kultura zostaje napęlniona tą fikcyjną rzeczywistością, która odtąd stwarza poczucie jej spójności, mimo że prawdziwy proces degeneracji nadal przebiega.

*Spółceństwo ludzkie niszczy spontaniczność reakcji — pisze Mannheim. — Człowiek, któremu odbierze się przedmiot jego normalnych dążeń, traci orientację i gubi się. Jego instynkty ukształtowane przez społeczeństwo stają się bezużyteczne z chwilą gdy warunki ulegają zmianie, jego dotychczasowe dążenia emocjonalne tracą — w warunkach niezorganizowanego zagrożenia — punkt zaczepienia, a jego poczucie rzeczywistości ma zbyt ograniczony zasięg, ażeby mógł zdawać sobie sprawę, co dzieje się wokół niego w tym niezrozumiałym społeczeństwie o niepojętej strukturze. (...) Pszczoły po utracie stadium reakcji instynktowych, natomiast człowiek pozbawiony pierwotnego celu znajduje wyjście w tworzeniu celów symbolicznych i w symbolicznej działalności<sup>7</sup>.*

Temu spostrzeżeniu Mannheim'a można nadać znacznie ogólniejszą postać. Otóż każdy kryzys w ludzkim życiu, jakim jest niepowodzenie w działaniu, poczucie bezsilności towarzyszące chorobie, śmierci, różnego rodzaju nieszczęściom — wszystko to narusza integralność psychiczną jednostki, która nie jest przygotowana do odwrotu, do rezygnacji. Człowiek nie potrafi przebywać drogi powrotnej od lepszego ku gorszemu, bez jednoczesnej dezintegracji psychicznej<sup>8</sup>. Każdemu niepowodzeniu, każdej bezsilności w działaniu towarzyszy wielkie napięcie emocjonalne, energia psychiczna skierowana na wykonanie zadania. Energia ta, nierozładowana, może być siłą psychicznie niszczącą, dlatego też towarzyszącym człowiekowi kryzysom w jego życiu, nie sposób skutecznie przeciwstawić się bez rozładowania owej niszczącej energii. Psychoanalicy widzą to rozładowanie w sublimacji nagromadzonych popędów. Nie znajdując żadnego zaspokojenia dla swoich oczekiwań i pragnień, człowiek wytwarza nadnaturalny, symboliczny świat spełnień, który pozwala mu przetrwać niepowodzenie i przywrócić równowagę psychiczną. Dziki przedstawiciel pierwotnych społeczności, niepowodzenie w polowaniu powetuje sobie

<sup>6</sup> K. Mannheim, op. cit., s. 187—188.

<sup>7</sup> op. cit., s. 189.

<sup>8</sup> B. Malinowski, *The Dynamics of Culture Change*, New Haven, 1961 r., por. zwł. s. 56.

uderzeniem dzidą w niezdarny rysunek ściganego zwierzęcia. Jeżeli jego polowaniu towarzyszyć będzie system magicznych zaklęć, to w miarę niepowodzenia w czynnościach łowieckich, będą te zaklęcia przybierały postać działania głównego. Będą traktowane jako taki sam środek działania jak rzut dzidą czy strzała wypuszczona z łuku<sup>9</sup>. Nie dotyczy to jedynie człowieka pierwotnego. Jakże często współcześni w dramatycznych kryzysach ich życia i życia całej kultury, odwołują się do bardziej lub mniej uświadomionych praktyk magicznych. Funkcją tę może równie dobrze spełnić zaklęcie, modlitwa, symboliczny gest, jak i zasięganie porad u wróżbitów tak częste chociażby w Polsce czasów okupacji niemieckiej. Niektóre z tych powszechnych w kulturze niepowodzeń, znalazły swoje instytucjonalne formy. Obrzędy pogrzebowe, zwyczaj stypy, wspomniane już wróżbiarstwo, przywoływanie duchów itp. — wszystko to ma przywrócić jednostce zgodę ze światem, który staje się niekiedy obcy, który może dostarczyć jedynie cierpień i krzywd.

Generalizując powiemy, że świat symboli staje się tym bogatszy, im nędzniejszy jest świat rzeczywisty. Symbole kompensują niedostatki rzeczywistości a efekt tej kompensacji jest zupełnie realny — przywrócenie integralności psychicznej bezradnego człowieka i częściowe choćby pogodzenie z otaczającym go światem. Kryzys kultury niesie w sobie olbrzymią potencję, która załamując się w psychikach poszczególnych jednostek rodzi sztukę, sprzyja religii i tym działaniom symbolicznym, które mogą stanowić realne spoiwo kultury, lecz mogą również nie sprostać temu zadaniu ginąc bezpowrotnie z całą kulturą. W tym też sensie wieszczą postawą wielkich romantyków mogła mieć i miała równie realne kulturowe skutki, jak pozytywna praca u podstaw, do której świat symboli jest często niezbędnym wstępem, symbolicznym preludium, bez którego nie może praca ta liczyć na powodzenie. Gdy cele działania stają się nieosiągalne — pisze Mannheim — *gdy niemożliwe jest uzyskanie pełnego, natychmiastowego zadośćuczynienia w postaci realnie istniejących rzeczy, wówczas symboli tych używa się jako substytutów<sup>10</sup>*. Tezę tę potwierdza również psychologia eksperymentalna: *W okresie niezorganizowanego zagrożenia normalna osoba, ze względu na niemożność uzyskania bezpośredniego i rzeczywistego zaspokojenia swoich pragnień w sferze pracy i uznania społecznego, może stać się „człowiekiem gestów”, żyjącym celami zastępczymi i zadowolającym się gestami i symbolami<sup>11</sup>*.

Przejdźmy teraz do odtworzenia fazy przejścia od stadium niezorganizowanego zagrożenia do zagrożenia zorganizowanego.

Stadium pierwsze wyczerpuje się w wytworzeniu systemu symboli mających wartość czysto zastępczą, stanowiących próbę kompensacji bezsilnego działania, będących odpowiedzią na tworzącą się próżnię w realnych sferach kultury. Symbole te traktowane są jedynie jako symbole do czasu, gdy pierwotny kierunek bezskutecznego działania jeszcze jest zachowany, gdy utrzymuje się wiara w skuteczne przeciwdziałanie powstałym zagrożeniom na drodze realnych czynności. Gdy wiara, że poprzez skuteczną pracę można zaradzić klęsce

<sup>9</sup> B. Malinowski, *Magic, Science and Religion and Other Essays*, r. 1954, Garden City, New York, por. zwł., s. 80—81.

<sup>10</sup> K. Mannheim, op. cit., s. 190.

<sup>11</sup> op. cit., s. 191.

jest jeszcze utrzymywana, symbol pozostaje jeszcze tylko symbolem. Natomiast (...) gdy tylko możliwa staje się zmiana pierwotnego poziomu aspiracji ludzi i nakłonienia ich do walki o cele symboliczne, tak jak gdyby to były cele pierwotne, słowem kiedy w miejsce masła zapragną oni prestiżu narodowego, wówczas nie będą traktować już owego prestiżu jako symbolu, lecz jako realne zadośćuczynienie. (...) charakterystyczną cechą każdego okresu rewolucyjnego jest załamanie się pierwotnych oczekiwań setek tysięcy ludzi jednocześnie, wspólny wszystkim rytm poszukiwania substytutów oraz wspólne ustalanie tego, co jest realne i tego, co jest nierealne. Jeżeli wielu ludzi uważa, że lepiej mieć armaty niż masło, to łatwiej jest jednostce zmienić dotychczasowy „układ napięć” i przyjąć nowy, niż w przypadku gdyby dokonać tego miała samotnie<sup>12</sup>.

W stadium drugim symbol przestaje być traktowany jedynie jako symbol, lecz staje się siłą motoryczną prowadzącą do wytwarzania nowych więzi społecznych w miejsce dawnych obumarłych, które pozostawiły po sobie ową próżnię, będącą właśnie źródłem symboli i działań symbolicznych. Kultura nie znosi próżni. Stąd też wytwarzanie nowych więzi społecznych w miejsce dawnych, które zniknęły, można uważać za powszechną prawidłowość wszelkiego rozwoju kulturowego<sup>13</sup>. Stadium to w nomenklaturze Mannheima nosi miano „stadium utopijnej funkcji symbolu”. Oto w jaki sposób opisuje on to stadium: *Utopijny symbol* — powiada Mannheim — skłania ludzi do działania przeciwko ustalonym systemowi porządków społecznych. Działając w tym kierunku pragną oni nie tylko zniszczyć istniejący układ stosunków, ale chcą również zakwestionować poprzednią definicję sytuacji odmawiając wartości i znaczenia pierwotnemu poziomowi aspiracji.

Nie tylko więc rośnie znaczenie nowego symbolu, ale podnosi się również jego rzeczywisty prestiż. Walka w imię honoru i sławy narodu wydaje się w każdym calu zadaniem równie realistycznym, jak walka o korzyści ekonomiczne. Drugą przyczyną, dla której nowe symbole wydają się czymś więcej niż substytutem i w istocie stają się nową rzeczywistością społeczną jest fakt, że za ich sprawą powstaje szereg nowych, wzajemnie ze sobą powiązanych działań. Aczkolwiek działania te mogą być przez pewien czas jałowe — mogą polegać głównie na nie kończących się dyskusjach bez ładu i składu bądź też na gromadnym wałęsaniu się i maszerowaniu, z czasem przecież zbliżają się do quasi-wojskowych ćwiczeń i prowadzą do formowania się „grup nacisku”, grup wywierających od czasu do czasu nacisk na system, uznawany jeszcze za obowiązujący.

W fazie utopijnej ważne zmiany zachodzą w samych jednostkach. Podczas gdy w pierwszym stadium symbol odrywał w ich życiu rolę jedynie okolicznościowego substytutu, obecnie staje się zarówno czynnikiem reorganizującym całą osobowość poszczególnych ludzi, jak i fermentem działającym w kierunku tworzenia się nowych więzi grupowych. (...) Stare tradycje rozpadają się, pojawiają się nowe formy przystosowania społecznego i możemy mówić o odrodzeniu człowieka i społeczeństwa<sup>14</sup>.

Faza druga, o której mówimy, jest już fazą nieodwracalną. bowiem przemiana dotknęła najgłębszych warstw psychiki

<sup>12</sup> op. cit.

<sup>13</sup> B. Malinowski, *A Scientific Theory of Culture*, Chapel Hill, 1944 r. por. s. 17 i n.

<sup>14</sup> K. Mannheim, op. cit., c. 192—193.

jednostek stając się istotną siłą motywacyjną ich wszystkich działań. oraz wytworzone zostały nowe więzi społeczne. Dawna struktura przestała opierać się zatem na realnych przesłankach, zawisła w próżni, wywołuje jedynie negatywne skojarzenia i nie jest już w stanie zdobyć poprzedniej akceptacji społecznej nawet za cenę realnych a nawet skutecznych działań i ustępstw pozostających poza sferą nowych symboli.

Spółczeństwo jako całość nadal jednak zostaje zagrożone, przez żywiołowe procesy dokonującej się mutacji. Droga jaką pójdzie nadal jest jeszcze nieznaną, znane są jedynie te granice, które przekroczone nieodwracalnie. W tym stadium zadane społeczeństwo nie może trwać zbyt długo, gdyż grozi to totalną samolikwidacją. Dominacja symboli nie może całkowicie zlikwidować elementarnych wymogów kulturowych związanych z biologicznym przetrwaniem społeczeństwa. Stąd też zwykle szybko następuje po fazie „utopijnej funkcji symbolu”, w której absolutystycznie rozumiane hasła są traktowane jako wartości ostateczne („równość”, „wolność”, „sprawiedliwość”, „prawda” itd...) — faza, w której symbol staje się jedynie uświęconym godłem zorganizowanej grupy, a hasła poprzednio podawane jako ostateczne stają się wartościami instrumentalnymi, choć nie wszyscy muszą zdawać sobie z tego sprawę<sup>15</sup>.

Stadium trzecie jest więc stadium pojawienia się organizacji, w których żywiołowy entuzjazm i energia psychospołeczna nim wywołana, zostają skierowane na realizację określonych społecznych celów a symbole mogą stać się puste i mogą być wykorzystane dla celów socjotechnicznych do sterowania grupami społecznymi. W stadium tym mamy zatem przejście od etapu „niezorganizowanego zagrożenia” do „zorganizowanego zagrożenia” kryzys psychiczny będący efektem dezintegracji kultury, zostaje wykorzystany dla nowych celów.

Utrzymujący się stan zagrożenia, a raczej pamięć o tym stanie, jest czynnikiem mobilizującym społeczeństwo na rzecz nowych struktur. Utrzymujące się niedostatki materialne me mają już takiego znaczenia jak poprzednio, ponieważ towarzyszy im zorganizowana i niekosztowna kompensacja psychiczna a co najważniejsze — działanie przestaje być odczuwane jako bezcelowe. Określone jeszcze w „stadium symbolu utopijnego” docelowe wartości nasycają życie jednostek nowym sensem, niezależnie od realności oczekiwań i zasadności określania winnych poprzedniego stanu rzeczy.

Mannheim następująco określa niektóre aspekty „stanu zorganizowanego zagrożenia”: *Wśród nowych możliwości pseudodziałania zarysowują się nowe formy przystosowania psychicznego. Dzięki instytucjonalizacji niekosztownego systemu zaszczytów i odznaczeń, zaspokajane zostają ambicje społeczne ludzi, którzy utraciwszy pracę, stracili szacunek dla samych siebie. Odzyskują go zajmując jakieś stanowisko w organizacji, w której sprawują władzę nad innymi. W partii nikt nie jest na samym dole, bo poniżej najniższego jest jeszcze wyrzutek — Żyd. Przywrócone zostaje przewidywanie i kalkulacja, bo wykonywanie zadań ma znów jakiś sens. Uroczystości i manewry przygotowuje się długo naprzód. Nie ma powodów uprawiać w dalszym ciągu samookaleczania się. Nie ma ku temu warunków wobec nieustannego prezentowania zorganizowanej siły państwa. Zagrożenie zorganizowane ma przede wszystkim tę*

<sup>15</sup> B. Malinowski, *Freedom and Civilization*, New York, 1944, por. s. 23, 24 i następane.



zaletę, że znika uczucie bezprzedmiotowości działania<sup>16</sup>. Stopniowe obniżanie stopy życiowej nie natrafia na opór, ponieważ każdą kolejną deprywację można zrównoważyć substytutami psychologicznymi, wynajdując kozły ofiarne i stwarzając okazję do zorganizowanych form entuzjazmu zbiorowego. Mniej chleba, więcej igrzysk<sup>17</sup>. W takim społeczeństwie przywódcy mogą jednego dnia wzniecać nienawiść, a drugiego dnia ją łagodzić. Społeczeństwo staje się urządzeniem reagującym w oczekiwany sposób na naciśnięcie guzika. Jednego dnia można ogłosić odrazę do sąsiedniego kraju, następnego może zapaść decyzja zawarcia z nim przyjaźni na dziesięć lat. Psychologia jednostki jest zupełnie inna w fazie niezorganizowanego zagrożenia, a inna w fazie zagrożenia zorganizowanego. W pierwszej z nich psychiczna reakcja ludzi miała ogromne znaczenie, psychologia mas rządziła wszystkim. W drugiej masę jak gdyby zatraciły indywidualne życie psychiczne, przynajmniej gdy chodzi o sprawy publiczne i są gotowe przeobrazić się w roboty. Wygląda to tak, jak gdyby socjologowie mogli tu zająć jedynie niezwykle cechy psychiki przywódców<sup>18</sup>.

Opisana przez Mannheima faza „zorganizowanego zagrożenia”, może w znacznym stopniu służyć do opisu większości procesów rewolucyjnych i niebezpieczeństwa degeneracji pierwotnych celów rewolucji, mimo że jego obserwacje poczynione były na konkretnym przykładzie źródeł i rozwoju faszyzmu w Niemczech. Wszelka rewolucja wynika bowiem z dezintegracji dotychczasowego systemu kultury i opanowuje masy społeczne a mechanizm psychiczny ich reakcji jest wszędzie zasadniczo podobny. Istotnym momentem w przebiegu rewolucji, jest zdolność nowych organizacji do utrwalania podstawowych tendencji i wartości, które będą w stanie mobilizować energię społeczną w pożądanym, z punktu widzenia przywódców, kierunku. Działanie w tym celu jedynie na podstawie siły i przymusu z pominięciem aktywności propagandowej pobudzającej siły psychospołeczne, nie może być na dalszą metę uprawiane w społeczeństwie masowym. Jeżeli z kolei treści propagandowe będą pozostawały w rażącej sprzeczności z faktycznym stanem rzeczy i autentycznymi aspiracjami społecznymi, to symbole zostaną znowu odebrane jedynie jako symbole i pojawi się nowe, znacznie już głębsze „zagrożenie niezorganizowane”, które pochłonie wytworzony właśnie system.

Próbując przeciwdziałać takiemu stanowi, nowe organizacje usiłują zazwyczaj odwrócić uwagę mas od dramatycznego położenia drogą wojny, mającej przeciwdziałać alienacji społecznej i mającej ostatecznie utwierdzać nowe porządki. W tym też sensie rewolucji sprzyjają tyleż trudności ekonomiczne, ile przeciwnik polityczny a nawet militarny. Można powiedzieć, że do pewnego stopnia wzrost siły przeciwnika rewolucji utwierdza samą rewolucję a bezwzględność w jej zwalczaniu staje się czynnikiem konstruktywnym dla nowego porządku społecznego. Męczennicy przydają rewolucji charyzmy i być może bez nich nie może się ona obejść. Wrogowie przydają jej spoistości i usprawiedliwiają drakońskie metody stosowane wobec wewnętrznych przeciwników. Wojna tworzy legendę bohaterstwa. Cele rewolucji wznoszą się ponad rzeczywiste potrzeby jej uczestników w postaci symboli, które rozszarpują tych, którzy je niosą. Zrodzona z kryzysu kultury i rewolucji władza, wy-

korzystująca stan zorganizowania psychicznego społeczeństwa poprzez operowanie zagrożeniami dawnymi i aktualnymi, staje się tym bardziej niebezpieczna, im mniejsze znajduje społeczne poparcie. Następujące wtórnie załamanie psychiczne ogarniające społeczeństwo — już po stadium „zorganizowanego zagrożenia”, kiedy istnieją silne organizacje określające cele i środki działania, nie są one jednak już zgodne z aspiracjami społeczeństwa — prowadzi tę osłabioną władzę prosto do wojny, która ma szansę zmobilizować psychicznie na powrót społeczeństwo, odwołując się do najniższych, lecz konkretnych instynktów nienawiści, zysku, szowinizmu itd., a przez to przeciwdziałać samoalienacji władzy, która nie ma już akceptacji.

W takim wypadku wojna zrodzona z totalitaryzmu jest równie konieczna i niezależna od nikogo, jak zjawisko przyrodnicze. Niebagatelny udział w tym procesie mają opisane powyżej zjawiska psychospołeczne, które mogą podlegać manipulacji w określonych kryzysie kultury warunkach i przejawiać się w najniebezpieczniejszym ze zjawisk psychospołecznych: totalizacji psychiki.

Krzysztof Jarosław Brozi



<sup>16</sup> K. Mannheim, op. cit., s. 197.

<sup>17</sup> op. cit., s. 196.

<sup>18</sup> op. cit., s. 198.

JÓZEF DĘBOWSKI

## U ŹRÓDEŁ FIKCJI PRZETRWANIA

Pośród wielu idei filozoficznych Romana Ingardena znaleźć można i taką, która mówi o dwu zasadniczo odmiennych typach doświadczania („przeżywania”, „odczuwania”) czasu. (Por. R. Ingarden: *Człowiek i czas*). Jest to idea tym bardziej interesująca, że każdy z dwu wyróżnionych przez Ingardena typów doświadczania czasu implikuje określony sposób percepcji świata i siebie jako człowieka w tym świecie; każdy z tych typów jest ostatecznym źródłem poznawczym określonej postawy teoretycznej i praktycznej, filozoficznej i światopoglądowej. Nie jest jednak u Ingardena tak, że każdy z wyróżnionych przez niego typów doświadczania z a k ł a d a określoną wizję świata, koncepcję człowieka oraz odpowiednio do tego obraz miejsca i roli człowieka w tym świecie. Nie jest tak, jak usiłują to interpretować niektórzy (np. M. Gołaszewska w artykule *Ingardenowska koncepcja osoby*), że wcześniej powzięte założenia ontologiczne (w sensie przeświadczeń metafizycznych) wyznaczają następnie odpowiednio dwa różne sposoby doświadczania czasu. Porządek teoretyczny jest u Ingardena — jak się wydaje, winien taki być — odmienny: ostatecznym źródłem poznawczym — zarówno w kontekście odkrycia, jak i uzasadnienia — jest zawsze pewien rodzaj bezpośredniego doświadczenia, pewna naoczność, która niezależnie od schematyczno-pojęciowego (np. naukowego bądź tradycyjnie filozoficznego) obrazu rzeczywistości wyznacza określony typ refleksji, a także implikuje określony typ zachowań światopoglądowych — postawę wobec świata i siebie samego.

Wszelkie próby takiej percepcji świata przyrodniczego, społecznego, człowieka w tym świecie, które są sprzeczne z daną nam bezpośrednio i w oryginale rzeczywistością a mimo to „triumfują” (wypierają dane naoczne), rodzą fikcję — świat nierzeczywistości, pozorów i kłamstw, świat iluzyjny, opaczny, zafalszowany. Można zatem powiedzieć, iż królestwo fikcji jest zawsze konsekwencją rozziwów pomiędzy naocznie i bezpośrednio danym całokształtem rzeczywistości a jej faktycznym bądź postulowanym skrótem pojęciowym czy także pozapojęciowym, np. „artystycznym”, „obyczajowym”, „ideologicznym” itp. Z tak rozumianą fikcją niewiele zdaje się mieć wówczas wspólnego tzw. fikcja literacka, teatralna czy filmowa. ale pod tym wszakże warunkiem, że zgodnie ze swoim powołaniem jest ona autentycznym nosicielem wartości: Prawdy, Dobra, Piękna — nośnikiem więc całkiem specjalnych sensów a nie jedynie „umiejętnie” spreparowaną namiastką tegoż.

Wracając jednak do punktu wyjścia, zacznijmy jeszcze raz: zdaniem Filozofa z Krakowa istnieją dwa zasadniczo odmienn-

ne typy doświadczania czasu: jeden — gdy człowiek w najgłębszej swej istocie czuje się od czasu niezależnym i drugi — kiedy w każdej chwili swego istnienia uświadamia sobie własną niemoc wobec przemijania, kruchość swej egzystencji i siebie samego jako konstytuowanego przez każdorazowe „teraz”. W pierwszym przypadku, rzeczywistym, „prawdziwym” bytem ludzkim okazuje się być to, co transcendentne względem rzeczywistości przyrodniczej (w tym własnego ciała), ale także i wobec zmiennych przeżyć świadomych, w których przejawia się nasza — wciąż ta sama (bo zawsze „moja”) — istota. I jakkolwiek to w strumieniu świadomości najwyraźniej widzę samego siebie, to jednak mój byt ani nie jest elementem owego „odbicia”, ani tym bardziej nie wyczerpuje się w zmysłowo „namacalnej” cielesności. Innymi słowy: „ja” — natura moja, to ta szczególna (niepowtarzalna i niewrażliwa na przemijanie) kwalifikacja, która — mimo przejawiania się na rozmaite sposoby w zmiennych, ciągle nowych przeżyciach świadomych oraz stanach i procesach psychicznych — sama pozostaje wciąż tym samym, zawsze jednym i tym samym indywiduum — sobą. I tak oto, bez względu na wpływ czasu i rozmaite sposoby uzewnętrzniania swej istoty, czuję się w swym bycie niezagrożonym. Nie jestem bowiem samym działaniem się, lecz czymś, co ponad to wyrasta, co w każdej chwili jest tym samym „ja” i czego realności i tożsamości żadna zmiana nie jest w stanie zatrzeć.

W przypadku natomiast drugiego typu doświadczania czasu, rzecz się ma zdecydowanie inaczej. Wszystko to, co jest, istota czasu ogranicza w bycie do terażniejszości. Sam człowiek zaś, w każdej chwili wydaje się być czymś innym. Co więcej, zachodzi nawet obawa, że go w ogóle nie ma, ponieważ każdorazowo dostrzeżona terażniejszość nie jest wcale jakościowo określoną fazą, ale najzupełniej bezjakościowym „punktualnym »teraz«”. Jak więc mówić o istniejącym hic et nunc, uposażonym w określone własności, osobowym „ja”, skoro — jak zauważa H. Bergson — albo j e s z c z e albo j u ż nas nie ma; „punktualne »teraz«” nie istnieje, a „jest” wyłącznie działanie się (stawanie), stąd albo wciąż się stajemy, albo stawszy się przestajemy istnieć. W przekonaniu Ingardena, ten rodzaj doświadczania samego siebie poprzedzony jest bądź to uświadomieniem sobie totalnie niszczącej siły czasu, bądź to złudnym przeświadczeniem; każdorazowy kształt naszej egzystencji zależy od tego jak widzimy siebie z przeszłości (za pomocą np. przypomnienia lub tzw. „żywej pamięci”), zależy zatem od wiedzy, którą aktualnie dysponujemy na temat nas samych z mniej lub bardziej odległej przeszłości. Inaczej jeszcze mówiąc: o tym, jaki naprawdę jest nasz ludzki byt dowiadujemy się na podstawie wyglądów naszego „ja” widzianych z rozmaitych perspektyw czasowych, zależnych od aktualnych wartości „naszej” terażniejszości. Przy czym, nawet nas samych, istniejących w aktualnej terażniejszości, nie potrafimy uchwycić inaczej, jak jedynie obciążonych bagażem uznanej „dzisiaj” za realną „historii”. I tak, każda coraz to nowa perspektywa „realności” względna zawsze bywa wobec zawartości wciąż nowej terażniejszości. Jest przy tym osobliwym paradoksem, że owe za każdym razem inne perspektywy „historii” — jej kolejne wizje „rzeczywistego” bytu ludzkiego — z jednaką mocą (albo i wzrastającą) roszczą sobie pretensję do „prawdziwości” — „jedynej słuszności”, „jedynej naukowości”, „jedynej ważności” itd...

Jednocześnie kto nie jest pirrończykiem, łatwo zgodzi się z Arystotelesem, iż z dwóch zdań względem siebie sprzecznych a traktujących o tym samym tylko jedno jest prawdziwe. Tam więc, gdzie dwóch świadomych tego czego głoszą spiera się ze sobą, tylko jeden ma rację. Prawda bowiem zawsze godzi się z prawdą, a zatem sporów nie ma tam, gdzie wszyscy odpowiedzialnie i zgodnie z prawdą orzekają ten sam stan czy porządek rzeczy. Głoszenie wszakże tylko i wyłącznie prawdy, tudzież dochodzenie do niej, nie zawsze jest jednak sprawą łatwą i prostą. Często wymaga bardzo wiele wysiłku, trudu a nawet przeprowadzenia wielu skomplikowanych operacji, którym — z racji ich złożoności a co za tym idzie i stopnia trudności — nie każdy jest w stanie sprostać. Bywają jednak sytuacje, podyktowane np. potrzebą skutecznego działania, w których osiągnięcie jednomyślności, a więc wyeliminowanie rozbieżności, waśni i sporów, wydaje się być dla wszystkich sprawą absolutnie nadrzędną. Pojawia się wobec tego pytanie, czy istnieją inne sposoby eliminowania sporów, niż wygłaszanie zawsze i tylko twierdzeń prawdziwych. Praktyka życia społecznego, w tym także praktyka współżycia wewnątrz środowisk naukowych, pokazuje, że są.

Przymus i terror (fizyczny i psychiczny) jest bodajże najstarszą i bez wątpienia najprostszą (najprymitywniejszą) formą osiągania jedności w działaniu. Jej niezawodność jest z pewnością duża, choć i tu ograniczona, bo niemal jednoznacznie wyznaczona arsenałem i mocą stosowanych środków „perswazji”. Poza tym, istotną „wadą” terroru (szczególnie w czasach nowszych) jest to, że budzi na ogół sprzeciw — niepożądaną żądę odwetu, tym większą, im dotkliwszy był terror. Cóż więc takiego należy ustanowić, by zagwarantować ową pożądaną skądinąd jedność, a jednocześnie nie być narażonym na przykrości w przypadku gdy jedność ta przestanie istnieć, bądź siła jej zostanie wymierzona w „niewłaściwym kierunku”?

Już starożytni Grecy i Rzymianie — jak rzadko kto inny — świadomi byli siły perswazji. To oni pierwsi wyraźnie pojęli, że mocą słów, siłą argumentów, wspólną modlitwą (niechby nawet do „fałszywych bogów”), prośbą i groźbą trudno wprowadzić (bądź zgoda to niemożliwe) wyjednać coś u bóstw, lecz ludzi zdobyć się udaje — pozyskać ich jedność i to nierzadko bez względu na daleko głębiej sięgające różnice, bo np. co do płci, rasy, narodowości, pokolenia, wyznania itp. Przy czym rychło dostrzeżono, że uprawianie się w dialektyce i retoryce jako metodach dochodzenia do prawdy tym większą „wartość” przedstawia, jeśli — będąc swoistą gimnastyką umysłu i języka — służy jednocześnie zjednywaniu członków tej czy innej zbiorowości ludzkiej, w duchu tej lub innej idei, mniejsza o to — prawdziwej czy fałszywej, za to — „odpowiednio” uzasadnionej i zaprezentowanej. Dostrzeżono też, co potem przez wieki całe niesłychanie trudno było wyartykułować, że mianowicie człowiek, społeczeństwo, przyroda, wszystko to może być pojmowane jako czysto intencjonalny produkt aktualnie dokonujących się przeżyć świadomych konkretnych ludzi. Wystarczy zatem pokierować, podszeptać kierunki percepcji lub w jakiś inny sposób wpłynąć na przebieg strumienia świadomości, a ukonstytuowany w ten sposób świat ludzkich przeżyć powoła natychmiast do życia inny, bardziej „realny” świat: „jedynie rzeczywisty”, „jedynie prawdziwy”.

„jedynie sprawiedliwy”, a wszystko to takie „jedyne”, ponieważ faktyczne.

Tymczasem to, co faktyczne może być nosicielem zarówno Dobra, jak i zła, zarówno Piękna, jak i szpetoty, zarówno Prawdy, jak i fałszu. Czy zatem w imię tego, co faktyczne (co jest takie lub inne, ale tylko o takie jakie jest) warto zadawać sobie trud widzenia, słuchania, rozumienia i na koniec — działania? Oczywiście — nie. Ale ponieważ na ogół wszyscy zgodnie są przeświadczeni, że wszelka świadoma ludzka aktywność zmierza w trzech głównych kierunkach: ku Prawdzie, Dobru i Pięknu oraz biorąc pod uwagę, że nie tyle idzie o to, by człowiek wartości te rzeczywiście tworzył i stosownie wyrażał, ale o to, by w imię dopiero co uświęconego porządku głęboko był o tym przeświadczony, wystarczy zatem, iż za pomocą określonych sposobów (byle skutecznych) utwierdzi się go w przekonaniu, że to co robi, to nic innego jak właśnie poznawanie „jedynie słusznej prawdy”, czynienie „jedynie pożądanego dobra”, kształtowanie „jedynie prawdziwej piękna”. Omamiony wizją udziału w tworzeniu „wiekopomnych i niezniszczalnych wartości” — któż bowiem zdoła „te-raz” zmierzyć „zasługi dla pokoleń”, „zasługi dla współczesnych”, „zasługi dla miast, wsi, osiedli”?! „Historia osądzi”?! — albo cicho i niepostrzeżenie zapomina o sobie, albo, karmiąc się obficie podawaną fikcją, hałaśliwie, z podniesionym głosem (czołem też!) od siebie ucieka. Czy rzeczywiście istnieją powody, by tak czynić? Owszem — tak, jeśli hałas ów ma za zadanie zagłuszyć pierwotny, bardziej podstawowy lęk przed zatraceniem się w czasie, obawę przed przemijaniem i unicestwieniem, strach przed śmiercią. Czy są to raczej dostateczne? Nie, ponieważ w ten sposób zachować i utrwalić siebie z pewnością nie zdołamy. Nie, ponieważ w ten sposób nasza tęsknota i pogoń za bytem trwałym zasada się jedynie na czymś z istoty swej zjawiskowym, zmiennym, fenomenalnym. Często ulegamy złudzeniu, że z natury zmienne przejawy swej egzystencji uda nam się utrwalić w dziełach nauki, techniki, sztuki i w ten sposób przewyciężymy czas, i w ten sposób przedłużymy indywidualny wymiar istnienia wlewając się niejako w potok czasu historycznego. Ale i czas historyczny, to przecież nic innego jak ciągle przemiany. Tu także wszystko, co go „wypełnia” w toku nieuchronnych przemian kruszeje, starzeje się, rozpada i ginie.

Oczywista, człowiek ów — z jednej strony ląkający wieczności, z drugiej zaś zanurzony w czasie i zdruzgotany przemijaniem — tworzy sobie także inne pozory przetrwania. Wymyśla sam, bądź tylko przystaje na zęczenie mu podsunietą fikcję „boskości”, fikcję „obowiązku i podporządkowania”, fikcję „bycia potrzebnym”, fikcję „tytanicznej pracy”, fikcję „istoty racjonalnej, rozsądnej, wykształconej”, fikcję „homo faber”, „homo oeconomicus”, „homo creator”, „homo ludens”, fikcję „osoby” oddanej tej lub innej „sprawie”. A wszystko to po to, żeby nawet tam, gdzie nie ma już szans — jak się wydaje — na „pozostanie dla historii”, chociaż dla współczesnych stworzyć pozory doniosłości, pozory wagi i sensu własnego jednostkowego istnienia. Tylko czemu człowiek ten ucieka od siebie? Czyż nie rozumie, powiada Ingarden, że tłumiąc w ten sposób lęk przed groźącą mu pustką, sam pustką się staje? Czyż nie wie — o czym przestrzegał La Rochefoucauld — że nawet prawda nie sprawia tyle dobrego, ile złego sprawiają jej pozory. Skąd tyle gorliwości w pochop-

nym samookreślaniu się, deklarowaniu, powierzchownym manifestowaniu swoich uczuć, sympatii, przekonań i upodobań?! Skąd i po co ta skłonność do przypodobania się często za wszelką cenę, łatwość identyfikowania się z kimś lub cudzym poglądem?! Skąd ta, jakże często groteskowa wylewność, łatwość i „elegancja” wypowiedzi, tym więcej szokujące, że miast służyć porozumiewaniu się ludzi między sobą, jak na ironię pogłębiają rozbieżności, wzniecają niepokoje i tym samym przeczą istocie języka, jego funkcji komunikacyjno-informacyjnej?! Czyż nie stąd to wszystko, że człowiek pragnie uciec od siebie, że prościej zanurzyć mu się w tworzonym przezeń bądź skwapliwie oferowanym przez innych świecie nierzeczywistości, pozorów i fikcji aniżeli samemu (często niestety „w kajdanach” i „bez ulud”) dążyć do Prawdy, czynić Dobro i kształtować Piękno? Czyż nie wie, że przystając na instrumentalne w rzeczy samej potraktowanie go zaprzepaszcza swą jedyną w swoim rodzaju, niepowtarzalną podmiotowość, że w gruncie rzeczy odczłowiecza się i uprzedmiotawia, że więc tym samym niemal „dobrowolnie” sam rezygnuje z siebie, sprzedaje swoje osobowe „ja”? Tym więcej to gorzkie, że jakże często energia i upór z jakim każdy z nas rozgląda się za możliwością „oddania się”, „poświęcenia”, „podporządkowania”, „zobiektywizowania”, „przetwarzania”, czyli po prostu nadania czysto zjawiskowej stronie naszej osobowości (czemuś z istoty swej zmiennemu, nikłemu i przypadkowemu) pozorów bytu trwałego, mogłyby służyć rzeczywistemu utwierdzeniu i właściwemu manifestowaniu swej podmiotowości — swego osobowego „ja” jako wartości prawdziwie najwyższej. Czyż doświadczenia tysiącleci, wieków, pokoleń nie pouczają, że jedynie wracając „do siebie” człowiek odnajdzie na powrót swą wyalienowaną tymczasem istotę?!

Cóż jednak znaczy ów „powrót do siebie”? „Wrócić” i „pozostać przy sobie” nie znaczy w każdym razie „zamknąć się w sobie”, ale — jak pisze Ingarden — *nie ulegać pozorowi bycia rzeczą na świecie, to znaczy nie tylko zwiększać samowiedzę własnego „ja” w różnych jego kolejach, lecz nadto mieć się we władzy swojej i w starciu z przeciwnościami losu, z sobą, z zagadnieniami życia budować siebie samego jako wciąż wzmagającą się moc wewnętrzną.* (por. R. Ingarden: *Książeczka o człowieku*, Kraków 1972, s. 68) Cóż znaczyć to może jeszcze? „Pozostać przy sobie” znaczy tu jeszcze tyle, co nie czuć się ograniczonym przez zawsze w końcu „punktualny” wymiar teraźniejszości („prywatnej” i „historycznej”), stale go (ów wymiar) przekraczać tak jak transcenduje się własny strumień świadomości, nie godzić się na czas teraźniejszy, przeszły i przyszły, lecz żyć tak, jak gdyby w każdym momencie naszego istnienia zawierało się wszystko, co nas dotyczy — przeszłe, obecne i przyszłe. Trzeba wiedzieć, że tylko wtedy wyrastamy ponad zmienność, przemijanie, skończoność, gdy czas staje się dla nas czymś najzupełniej zjawiskowym, gdy — dzięki rosnącej samowiedzy własnego „ja” — budujemy siebie samych jako osoby, jako istoty zawiadujące prawem do stanowienia o sobie — podmiotujące nie tylko własne przeżycia, ale i swobodnie dokonywane czyny. Nie wolno oddać się złudzeniu, że rzeczywistość jest jednopoziomowa, jednowymiarowa czy płaska i że jedynie wola „władców” stanowi tu jedyne źródło gradacji, nad- i podporządkowania, reszta jest pochodna bądź nijaka. Nie dajemy się oszukać. To, co z istoty swej „zmiennie”, zja-

wiskowe, fenomenalne, co stanowi objawy jakiegoś istotnościowego stanu rzeczy, może być takie lub inne, może manifestować się na rozmaite sposoby, ale nigdy nie jest w stanie zastąpić istoty, której jest przejawem. I to bez względu na to, kto kiedy i jak bardzo pragnąłby porządek ów odmienić. Bez względu także i na to, jakich sposobów używa się dla uwiarygodnienia tego, co samo przez się pretenduje do czegoś innego niż mu się nadaje. Stwierdzenia te odnoszą się w szczególności do nas samych i wiedzy o sobie samym — wiedzy w zdobywaniu której nikt nas nie wyręczy, przeciwnie nawet: zainteresowanych utwierdzeniem naszej „niewiedzy” w tym względzie nie trzeba wcale szukać. Nic bowiem z taką łatwością nie pozwala manipulować drugim człowiekiem, jak skutecznie zaszczerpiona wiara w to, iż jest się takim lub innym: herosem, tytanem, bogiem, uczciwym, pracowitym, potrzebnym etc.

Absolutyzując więc któryś z licznych przejawów ludzkiej egzystencji, tj. podnosząc go do rangi istoty bytu, otrzymujemy oczywista zafalszowany, skrzywiony obraz naszego człowieczeństwa, ale wobec natarczywości i bezpardonowości fikcji — owych „jedynie słusznych prawd” — jakże często jesteśmy bezbronni, jakże łatwo uciekamy od własnego „ja” i samodzielnego odkrywania prawdy o nim. Stąd, tak bardzo ważnym jest, by umieć pozbyć się dogmatyzmu, bezkrytycznie żywionych przeświadczeń, dziecięcej bezwoli. Trzeba umieć omijać pułapki kryptodogmatyzmu — także i tego, o którym pisał K. Ajdukiewicz w *O wolności nauki* — aby osiągnięta dzięki temu „swoboda wewnętrzna” mogła podczas dyskusji, rozmów, polemik i praktycznie doniosłych działań skutecznie niwelować ograniczoność sił twórczych pojedynczego człowieka. Jedynie bowiem w czynach wolnych (w tym — czynach duchowych), dokonywanych niejednokrotnie wbrew licznym oporom zewnętrznym i wewnętrznym, w zagrożeniu przykrymi konsekwencjami, w czynach — mimo to — spełnianych w najgłębszym przekonaniu co do ich słuszności, wagi i piękna, tylko w takich czynach najpełniej przejawia się nasze osobowe „ja”, nasza siła i trwałość istnienia, tylko wówczas nie zdradzamy samych siebie i tym samym nie rozpadamy się w czasie.

Zdarza się, iż wolność jednostki mierzona bywa zakresem sprawowanej władzy nad innymi ludźmi, jej skutecznością. Należy chyba przystać, iż tam gdzie w grę wchodzi społecznie doniosły czyn (np. produkcyjny), niezbędność władzy (tj. rządzenia) nie może być kwestionowana, choć i tu pod tym warunkiem, że sprawowanie władzy nie urąga ludzkiej godności, sumieniu i rozumowi. Tam jednak, gdzie władza zakłada także „rządy dusz” — kierowanie ludzkimi pragnieniami (wola), uczuciami i umysłami (myśleniem) — tam nie dość, że nigdy nie wchodzi w rachubę swobodny rozwój osobowości, ale także bezpowrotnie zaprzepaszczona zostaje możliwość dowiedzenia się kiedykolwiek czego ludzie naprawdę chcą, co czują i co myślą. Tam również ginie, często bez śladu, szansa przetrwania dla pokoleń i dla historii (jakkolwiek by ją pojmować). Jeśli bowiem prawdziwymi są przesłanki, że aby skutecznie sprawować władzę należy „umiejętnie” upraszczać (godzić, niwelować) różnice między „interesami” i przekonaniem poszczególnych jednostek ludzkich oraz, że ostatecznym źródłem i generatorem wiedzy jest jednak jednostkowy umysł, to również prawdziwym wydaje się być stwierdzenie, że wszędzie tam gdzie triumfuje władza (religijna, polityczna i inna), tam w tym bardziej żalosnym położeniu znajduje się kultura (wiedza, nau-

ka, moralność, sztuka etc.), tam — miast rzeczywistego rozkwitu kultury duchowej człowieka — napotyka się mdłe namiastki (pozory prawdy, dobra i piękna), fikcję człowieczego bytu.

Innymi słowy: silna władza — w łamaniu indywidualności wyrażająca swą moc, zmierzająca ku fikcji „powszechnej zgodności” czy „jednomyślności”, kontrolująca i uniformizująca nie tylko praktyczne działania, czyny i zachowania, ale także np. systemem informacji, wyznaczająca zainteresowania, przekonania i poglądy ludzi — taka władza klóci się nie tylko z myślą krytyczną, ale pozostaje w sprzeczności z wszelkim myśleniem, z bogactwem życia duchowego człowieka, którego swoboda doznawania, przeżywania jest czynnikiem konstytuującym to życie. Idzie więc o to, by — łącząc ludzi pod sztandarami wielkich słów, dumnych haseł, szczytnych idei — wyzwać wielkie erupcje mocy twórczych nie w imię doraźnie podejmowanych a „jedynie słusznych” celów czy intencjonalnie wytworzonych a „jedynie rzeczywistych” światów, ale tylko wtedy, gdy istnieje niezachwiana pewność i wola wszystkich co do autentyczności prawdy, którą warto poznać, dobra, które należy czynić lub piękna, które wypada mnożyć i pielęgnować. O tym zaś, co dla ludzkości naprawdę jest cenne tym trafniej zadecyduje on (sam) wtedy, gdy każdy pojedynczy człowiek będzie miał niczym nie ograniczoną (przynajmniej ze strony pobratymców) możliwość wyboru sposobu odkrywania i doświadczania tego, co dla niego samego jest najbardziej znaczące, istotne dla życia i „człowieczeństwa”.

Podsumujmy: życie chwilą, życie we wszystkim sprowadzone do terażniejszości oraz widziane i rozumiane przez pryzmat za każdym razem innej terażniejszości, to być może życie — jak mówi B. Suchodolski — na poziomie satysfakcji, ale jednocześnie życie nakierowane jedynie na odnajdywanie w najbliższym otoczeniu gotowych środków zaspakajających najbardziej doraźne — łatwe do manipulowania, dostosowane do każdorazowo innych warunków i okoliczności — potrzeby. To życie, w czasie trwania którego bezpowrotnie zagubiona jest — zmiażdżona tokiem nieuchronnych i nieodwracalnych przemian — ludzka o s o b o w o ś ć. To życie pozbawione „mocy wewnętrznej”, prawdziwie wielkich wzlotów i upadków, wielkich dążeń i pragnień — życie, którego „siły twórcze” (gdyby można o takich mówić bez obawy powoływania do życia kolejnej fikcji) do końca i we wszystkim zdeterminowane są przedmiotowo. Życie człowieka o tej właśnie osobowości (jeśli „osobowość” rozumieć w sensie aksjologicznie neutralnym) — osobowości, jak ktoś kiedyś powiedział, radarowej — to życie, w którym samowiedza własnego „ja” osobowego sprowadzona jest do minimum z racji szczególnego sposobu doświadczania (odczuwania i przeżywania) czasu. Jest nim mianowicie takie przeżywanie czasu, w którym jawi się on jako siła nie do przewyciężenia, jako siła jednostronnie powodująca tokiem przemian unicestwiających wszelką podmiotowość. I taka to właśnie najzupełniej pierwotna percepcja czasu — nie zawsze i nie u każdego do końca uświadomiona i tym mniej zrationalizowana — tkwi u źródeł przeświadczenia, iż nie ma żadnego innego sposobu utrwalenia siebie jako osoby ludzkiej, jak tylko bierne w gruncie rzeczy poddanie się biegowi przemian, jak każdorazowo inne konstytuowanie własnej osoby w zależności od kierunku i zawartości tej czy innej perspektywy czasowej (generalnie: filo- bądź ontogenetycznej, ale także np. fizycznej, biologicznej, społecznej, historycznej czy innej). Szczytem aktywności i „mocy twórczej” człowieka pozostają-

cego w tym sposobie doświadczania czasu jest koncentracja uwagi, wysiłku i sił na utrwalaniu czysto zjawiskowej strony swojej osobowości w równie fenomenalnym (co do natury) aspekcie jakiejś rzeczywistości, istniejącej poza nim samym, ale wobec licznych pozorów „jedyniej słuszności, prawdziwości, wiarygodności,...” etc. pretendującej do rangi bytu trwałego, niezniszczalnego, by tak rzec — metafizycznego. Stąd — „ucieczka od siebie”. Stąd — fikcja „przetrwania” poza sobą. Stąd — co krok to inne fikcje teje podporządkowane.

Józef Dębowski



# słowa i metody

JERZY ŚWIĘCH

## SF I PAN COGITO

Wśród rozlicznych przesądów uporczywie pokutuje dzisiaj i ten, który rozgłos, jakim cieszy się tzw. literatura fantastyczno-naukowa, przypisuje jej ścisłym powiązaniom z nauką, z najbardziej oczywistymi zdobyciami dzisiejszej wiedzy technicznej i przyrodniczej, co odpowiada, najogólniej mówiąc, społecznym nastawieniom wobec wszelkiej wiedzy. Sukcesy nauki mierzymy stopniem praktycznych zastosowań jej wyników; czujemy się pewniejsi, kiedy wrodzony instynkt bezpieczeństwa szepce nam, że to wszystko, co dzieje się w ciszy gabinetów naukowych, laboratoriów, pracowni jest w jakimś stopniu cenne i pożądane ze względu na interes zbiorowy. Cieszą nas, irracjonalnie, te osiągnięcia, których wynik jest widoczny, o którym zwykliśmy sądzić, spodziewać się, że prędzej czy później staną się one powszechnie dostępne. Docierają, do nas zewsząd w mocno uproszczonej, schematycznej i zbanalizowanej formie rewelacje naukowe i pseudonaukowe, do których zdążyliśmy już przywyknąć, jak do wszelkich informacji, które niemożliwe do sprawdzenia osobiście a po wielekroć powtarzane, osłabiają nawyk kontroli i przestają komunikować treści naprawdę nowe. Niemala w tym właśnie „zasługa” i literatury spod znaku Science Fiction, której zadaniem jest uwierzytelnić sens współczesnych odkryć naukowych przy pomocy mało wymyślnych zabiegów i ogranych chwytów. Dlatego nie dziwi, iż najwierniejszym sojusznikiem tego gatunku jest dzisiaj młodzież. Zysk poznawczy, jaki czytelnik wynosi z lektury tych dzieł jest raczej znikomy, jakkolwiek nie należałoby lekceważyć wpływu, jaki na kształtowanie się tzw. naukowego obrazu świata w umysłach ludzi przeciętnych ma właśnie owa wiedza komiksowa.

Spróbujmy jednak na chwilę rozważyć zamiary bardziej ambitne (a przecież nie brak ich), które sytuują literaturę fantastyczno-naukową na pograniczu wiedzy specjalistycznej, filozofii, religii, antropologii. Poszukuje ona mozolnie odpowiedzi na pytanie, jak pogodzić odwieczne ludzkie pragnienie do uchwycenia sensu, ładu, wartości z hipotezami i eksperymentami nauki, które z takimi pragnieniami wcale się nie liczą. Nie ma żadnej rozsądnej racji, twierdzi głośny dziś pisarz-popularyzator, Holmar von Ditsfurth, by uważać, że człowiek znalazł się na takim szczeblu umysłowego i cywilizacyjnego rozwoju, który orzeczeniom jego przyznawałby nieomylną, absolutną słuszność. Przeciwnie, okazuje się, że nasz ludzki, zwykły horyzont poznawczy jest nader ograniczony; niewyobrażalność zjawisk, o których mówi fizyka molekularna, zastępująca dane empiryczne równaniem matema-

tycznym, czy kosmologia operująca teorią — niepojęciową, przecież — „zakrzywionej przestrzeni”, nie mogą być żadnym argumentem „przeciw” dla badacza, dla naukowca. Wyszczególnione dziedziny wiedzy o wszechświecie, o początkach życia w przyrodzie schodzą dziś najwyraźniej poniżej czy powyżej sfery danych empirycznych. Werner Heisenberg ustawicznie podkreśla „niepoglądowy charakter współczesnej fizyki atomu”.

Na tym tle, jakże grubo i nieprecyzyjnie zarysowanym, czyż może dziwić fakt, że pisarz, którego nazwisko stało się głośne w świecie, tropi ze szczególną uwagą i konsekwencją, zjawisko, któremu na imię „alienacja nauki”, alienacja wszelkiej technologii. Stanisław Lem, bo o nim tu mowa, zawarł w swojej „Summa technologiae” sporo zastrzeżeń „wobec potęg, któreśmy sami uruchomili”. Człowiek coraz bardziej dotkliwie przestał dostrzegać swój udział w dobrodziejstwach cywilizacji technicznej, którą przecież sam powołał do życia. Nauka straciła swoje „ludzkie” oblicze, ma charakter czysto przedmiotowy, uczy sprawnego posługiwania się narzędziami („operacjonizm”), jest formą działania, w które się wierzy nie angażując się osobiście, gdyż zdaje się ono nam zapewniać spokój, sukces, bezpieczeństwo itp. Grozi nam „otorbienie informacyjne” (metafora Lema), polegające na tym, że przestaliśmy jako istoty rozumne uczestniczyć w przyroście wiedzy, zadowalając się jedynie tą jej znikomą częścią, która jest nam do życia i użycia najbardziej potrzebna. Grozi nam jakże niebezpieczne wyalienowanie z natury przez sztuczne pobudzanie procesów myślowych, nad którymi straciliśmy kontrolę. Chodzi o to, czy Natura jest mądrzejsza od człowieka, czy jest ona w stanie stymulować i kontrolować te procesy, na które nie mamy wpływu, gdyż raz poruszone rozwijają się one dalej prawem własnej, swoistej dialektyki: „posługując się wytycznymi heurystyki, które sugerują, mi, że człowiek jest jednak istotą, dość sobie zwykłą, że mogą być od niego »rozumniejsze« że procesy Natury można naśladować i różnymi drogami dochodzić do pewnych stanów, do których Natura doszła sekwencją innych stanów”.

A jednak ta nauka, jakże śmiała w swoich projektach i hipotezach, jakże — rozumnie — ryzykowna w swoich eksperymentalnych penetracjach, nie może przecież odrzucić pokusy motywacji antropocentrycznych: „jakieś — niechby najodleglejsze — podobieństwo Nadawców kodu do jego odbiorców było czymś więcej niż uspokajającą mrzonką, bo hipotezą, na której ostrzu ważyły się losy całego Projektu”, czytamy w „Głosie Pana” Lema. Snując rozległe fantazje na temat komunikacji międzygalaktycznych pisarz nie może odrzucić idei osobowego Nadawcy. Przypisywać „kosmitom” (jeśli w ogóle istnieją) dobre intencje: szczerść, zaufanie, życzliwość wobec istot z innej planety, czyż nie jest to projekcja antropomorficzna zbyt daleko posunięta a jednocześnie niezbędna? Wszystko jest dziełem przypadku i konieczności, twierdzi wielki uczoney-genetyk, laureat nagrody Nobla, Jacques Monod, a jednak i w nauce dzisiejszej żyje tradycja animistyczna. „Przez animizm Monod rozumie rzutowanie na Naturę, gdzie rządzi przypadek i konieczność, naszych ludzkich, pochodzących z działań naszego nerwowego systemu, potrzeb ładu i celu, przez co padamy ofiarą antropocentrycznej iluzji” (Czesław Miłosz). Wspomniany von Ditsfurth także tropi przejawy „antropocentrycznych urojeń” w myśleniu naukowym, gdzie w grę wchodzi abstrakcje Wielkich Liczb. Bajkowe urozczenia fantastyki niestety tak długo nimi pozostaną, jak długo ludzie zostaną w świecie maszyn pozbawieni decyzji, a same maszyny tak sprytnie skonstruowane, by w programach swych wyeliminować wszelkie ludzkie elementy. „Jeśli dwie maszyny dają niejednakowe rezultaty, człowiek nie może zrobić nic innego, jak tylko rzucić monetę, aby wybrać: staje się z „najwyższego nadzorca” mechanizmem losowym wyboru” (Lem). Jakkolwiek ocenić tę rolę człowieka w „sporze” między maszynami, trudno nie przyznać, że to właśnie jemu, a nie im

przynależy rola arbitra. Tę rolę podkreśla pisarz tym chętniej, im bardziej bezczelnie stają się uroszczenia technologii. „Moc decyzji ostatecznych musi na zawsze pozostać w ręku człowieka”.

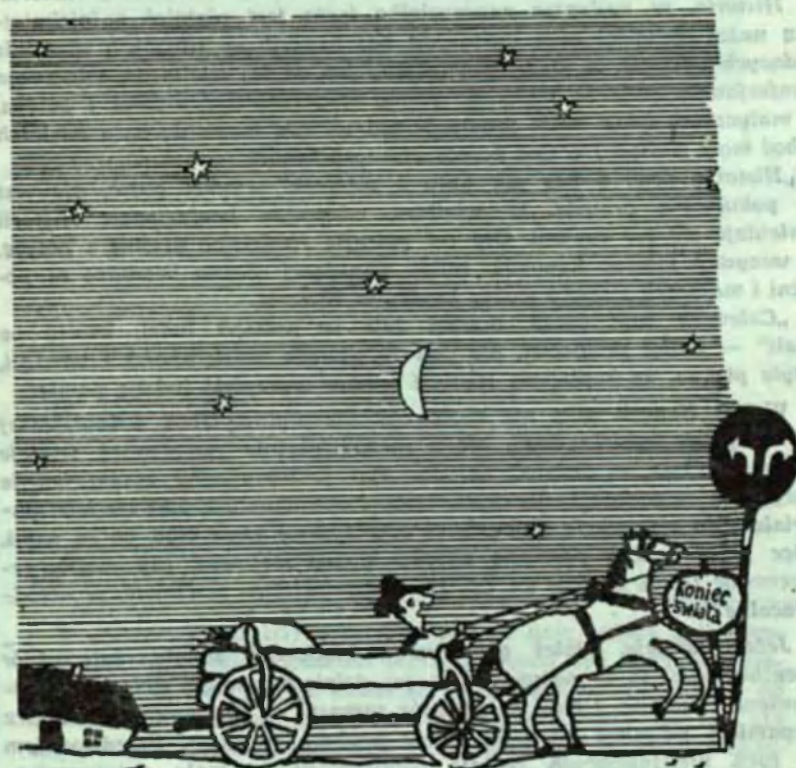
Nie jest to wcale paradoks, lecz im większa polać rzeczywistości zostaje zawładnięta przez naukę, poddana jej wyłącznym prawom, a tym samym wylączona ze „zwykłej” rzeczywistości, tym bardziej roznosi się i fascynuje wyobraźnię pisarzy sfera niepoznanego. Za świadomym „ego” człowieka wlecz się jego „cień”, twierdzi Carl Gustaw Jung. Nauka dzisiejsza ma także swoje „cienie”, obejmujące sferę tego, nad czym nie mogła czy nie potrafiła jeszcze skutecznie zapanować, czego konsekwencji nie umiała w porę dostrzec i przewidzieć. Z chwilą gdy nauka utraciła swoją autonomię (a tak się dzieje obecnie), szczególnego znaczenia nabrała kwestia etyki uczonych. Jeśli przyjąć, jak dawniej, że działalność nauki nie uznaje innego trybunału ponad Trybunał Nauki, wtedy bezzasadne staje się pytanie, jakim celem ich działalność ma służyć. Lecz nauka w naszych czasach, powtórzmy, utraciła swą autonomię, pytania o cel, skuteczność przestały być zagadnieniami abstrakcyjnymi, którym nie odpowiada żadna realna rzeczywistość poza rzeczywistością samej nauki. Przeciwnie, unoczniają one groźbę działań nieświadomych i jest to „cień” nauki, na którego teren tak chętnie wkracza dziś fantastyka literacka.

W naszej epoce darzącej szacunkiem tylko specjalistów, czyli uczonych poruszających się swobodnie na pewnych tylko, arbitralnie wyodrębnionych terenach wiedzy, istnieje nader mała szansa pojawienia się jakiegokolwiek wiedzy o ambicjach totalnych, tłumaczącej wszystko; scientia universalis jest mitem, tworem myśli przednaukowej. I dlatego literatura SF nie przestaje z uporem penetrować możliwości stworzenia takiej wiedzy, która byłaby niczym innym jak obliczem dawnej greckiej Mądrości, Logosu ogarniającego cały Wszechświat, mikro- i makrokosmos. Czyż nie taka jest fantazja Borgesa, zafascynowanego gnostyczną Liczbą, dla którego wszystko, z czym spotyka się myśl ludzka, przybiera geometryczne kształty, staje się bądź skomplikowanym, ale logicznym Labiryntem, albo doskonale uporządkowaną Biblioteką. Science Fiction typu Borgesa jest poszukiwaniem symbolicznych ekwiwalentów Mądrości i dlatego tak chętnie sięga ona do wizji „przednaukowych” (jak wcześniej u Blake’a, a obecnie — Miłosza). Ta wiedza tym się odznaczała, że miała właśnie charakter totalny. Największym genialnym uczonym był ten Bibliotekarz, który odkrył powszechne prawo Biblioteki: „wszystkie książki, jakkolwiek by się między sobą różniły, składają się z jednakowych elementów: odstępu, kropki, przecinka, dwudziestu dwu liter alfabetu”. Reszta jest nieważna, stąd stwierdzenie, że „Biblioteka jest totalna i że jej szafy rejestrują wszelkie możliwe kombinacje tych dwudziestu kilku symboli ortograficznych”. Czyż trudno odkryć, czemu ta wiedza służy? „Wszechświat był usprawiedliwiony, wszechświat przybrał nagle nieograniczone rozmiary nadziei”. Choć istnieje też i udręka tej wiedzy, która popycha ludzi do poszukiwań istoty, jej centrum; ogarnia ich aż do obłędu pragnienie, że „musi istnieć jakaś księga, która jest doskonałą esencją i kompendium wszystkich pozostałych” (wszystkie cytaty z „Fikcji” Borgesa).

Umysł ludzki został wydziedziczony, skazany na przebywanie w krainie Ulro, gdzie wszystkim rządzi liczba, a człowiek pozbawiony rozumu pozostał marnym cieniem samego siebie. Przywrócić mu utracone w wyniku rozszewnienia dzisiejszej nauki prawo współdecydowania o świecie, oto ambitny zamiar fantastyki literackiej. Nauka jest zajęciem śmiertelnie poważnym, onieśmiela swoją skomplikowaną aparaturą pojęciową. Ma swoje rytuały, których zazdrośnie strzeże przed ingerencją osób niepowołanych, ma swoje szyfry, tajemne zaklęcia, które budzą nabożny szacunek. Ma pewną wyodrębnioną, przez siebie sferę zjawisk, do której nie ma przystępu zwykły śmiertelnik. Literatura SF rozładowuje okrutne serio nauki zdrowym, czasem ironicznym śmiechem (prze-

czytajcie „Dzienniki gwiazdowe” Lemal). Status pisarza w tej dziedzinie jest doprawdy wielce dwuznaczny. Ma on pełne prawo, by uważać się za specjalistę czy „profesjonalną” wśród amatorów, a jednocześnie w towarzystwie uczonych, wśród których z taką swobodą się porusza, nie przestaje odgrywać roli „enfant terrible”. Gwałci dobre obyczaje tu respektowane, lekceważy reguły mowy fachowej, pozwalając sobie na śmiało quasi-naukowe znaleziska, stać go na wolty, gdy z wyżyn abstrakcji przechodzi natychmiast do zjawisk przyziemnych, zwyczajnych; „rozpuszcza” niejako naukę przybliżając jej wysokie abstrakcje do poziomych dolów życia. Dokonuje stale wylomu w tym, co w społecznym odczuciu uchodzi za sferę sacrum: sfera zjawisk rozpoznanych i sklasyfikowanych przez naukę jest sferą świętą. Rekompensuje w ten sposób zawód, jaki spotyka „zwykłego” człowieka w kontaktach z nauką. Jedną z przygód Herbertowego Pana Cogito jest daremna próba osiągnięcia myśli czystej, wolnej od wszelkich domieszek, przypominającej stan „satori” w ascezie. Próba, jak się rzekło, daremna, bowiem Pan Cogito „nie mógł oderwać /wewnętrzny okaj od skrzynki na listy/ w nozdrzach miał zapach morza /świerszcze łaskotały ucho/ i czuł pod żebrzem palce nieobecnej”. Literatura SF ponawia próby Pana Cogito, lecz zawsze z tym samym ujemnym wynikiem.

JERZY ŚWIĘCH



OBJAZD







W dniu 6 czerwca 1982 r. zmarła w Lublinie Maria Bechcyc-Rudnicka (właściwe nazwisko: Maria Ksenia Wrocka). Urodziła się 1 lutego 1888 r. w Warszawie, studiowała w Petersburgu i Paryżu. W latach 1923—1944 mieszkała w Warszawie, od roku 1944 w Lublinie. Po wojnie była m.in. współorganizatorką PEN Clubu (w latach 1947—1969 członek Zarządu) i Oddziału Związku Zawodowego Literatów Polskich w Lublinie (w latach 1949—1952 prezes oddziału). Od 1952 r. współredagowała „Kamień”, pełniąc w latach 1960—1965 funkcję redaktora naczelnego. Otrzymała szereg wysokich odznaczeń państwowych i nagród. Jest autorką znanych opowieści historycznych, kilku zbiorów nowel i felietonów teatralnych oraz drukowanych w prasie wierszy, wspomnień, recenzji i przekładów.

Pani Maria była w życiu kulturalnym Lublina postacią najbardziej aktywną. Do ostatnich miesięcy pisała, odbywała liczne podróże, utrzymywała ścisły kontakt z teatrem. Szczególną sympatią darzyła pisarzy młodego pokolenia, zawsze gotowa służyć radą, pomocą i duchowym wsparciem. Była dla nas wzorem człowieka i pisarza. Jej nieobecności nie odczuwa się z dnia na dzień: nie zostawiła po sobie pustego miejsca, lecz przetworzony przez siebie świat.

„Akcent”

#### akcent 2(8) 1982

EWA ODACHOWSKA-ZIELIŃSKA: *Preodwilż, czyli rok 1955 w literaturze polskiej* ✧ URSZULA JAROS: *wiersze* ✧ MARIAN PANKOWSKI: *Matuga idzie (fragmenty)* ✧ SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK: *Etyka czuwania* ✧ BOHDAN ZADURA: *1.08.1979 7.45—22.45 czternaście godzin z Piotrem Sommerem (fragmenty poematu)* ✧ JANUSZ LEWON: *Pożytki ze światła komet* ✧ KINGA OLEWICZ: *wiersze* ✧ MATYLDA WEŁNA: *Apollinaire w Salonie Jesiennym* ✧ URSZULA M. BENKA: *Savoir-vivre i nekrofagia* ✧ JERZY K. MISIEC: *wiersze* ✧ JAN RYBOWICZ: *Tatusz i córka* ✧ LASZLO BENJAMIN: *Pod krwawiącymi sztandarami* ✧ SERGIUSZ STERNA-WACHOWIAK: *Rondo* ✧ ANDRZEJ W. PAWLUCZUK: *Miazga w „Miazdze”* ✧ *Malarstwo Jerzego Dudy-Gracza* ✧ ZOFIA ZIELIŃSKA: *Teatr w okresie przełomów politycznych* ✧ KAZIMIERZ JODKOWSKI: *„Wszystko ujdzie”* ✧ STEFAN KRUK: *Trzy razy o lubelskiej scenie* ✧ *Reprodukcje obrazów Jerzego Dudy-Gracza.*

#### akcent 4(10) 1982

JÓZEF CZECHOWICZ: *Pierwodruki utworów prozą* ✧ WACŁAW OSZAJCA: *wiersze* ✧ JAN SOCHON: *Poezja wiary* ✧ JAN RYBOWICZ: *wiersze* ✧ ANTONI BEDNAREK: *Kilka uwag o współczesnej eseistyce* ✧ SŁAWOMIR RUDNICKI: *Miniatury* ✧ RYSZARD WŁODZIMIERZ BORKOWSKI: *wiersze* ✧ MONIKA ADAMCZYK: *Czy Kubuś Puchatek to Winnie-to-Pooh?* ✧ MARIAN YOPH-ŻABINSKI: *wiersze* ✧ IAN MAC EWAN: *Cementowy ogród* ✧ ZYGMUNT MIKULSKI: *Blisko książki Matuszewskiego* ✧ ANDRZEJ OGRODOWCZYK: *Bohater naszych czasów* ✧ ANTONI BEDNAREK: *Sztuka rozmowy* ✧ JAN SOCHON: *Dopiero zaczynamy* ✧ JANUSZ BOGUCKI: *Sytuacja artystyczna w Polsce około roku 1950* ✧ JADWIGA MIZIŃSKA: *Ucieczka od samowiedzy* ✧ TADEUSZ SZKOŁUT: *O awangardzie i neoawangardzie* ✧ JERZY ŚWIĘCH: *„nienazwane niejasne”* ✧ *Reprodukcje prac malarzy polskich.*

Fotografie na okładce

DIONIZY GLADYSZ (KAW)

Adres redakcji  
20-022 Lublin

ul. Okopowa 7, I piętro,  
tel. 274-00

Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Cena prenumeraty: półrocznie 130 zł, rocznie 260 zł. Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW Prasa—Książka—Ruch i urzędy pocztowe. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW Prasa—Książka—Ruch, Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 21, 20-500 Warszawa, Konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1180-001045-100-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Wydawca: Wydawnictwo Lubelskie, 20-022 Lublin, ul. Okopowa 7  
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Lublin, ul. Unicka 4.  
Zam. 000. Oddano do składania w kwietniu. Druk ukończono we wrześniu. Nakład 2000 egz. R-5. Cena zł 50.—